

Lettery

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
w GDAŃSKU
CZYTALNIA, GŁOSNIA, OŚWIATLALISMA
GDAŃSK ul. Długa 12

miesięcznik społeczno-kulturalny wybrzeża

rok IX, nr 7 (103)

GDAŃSK lipiec 1970

Cena 5.- zł



● kształt i funkcje głównego miasta ● humanizacja techniki ● przetarg 70 ● borchardt, fenikowski, śramkiewicz, teliga—morze i twórczość ● memoriał conrada ●



Henryk Mądrawski

Jedno życie (sucha igła)



Związek Polskich Artystów Plastyków wraz z Gdańskim Towarzystwem Przyjaciół Sztuki organizują konkursy kwartalne na grafikę. W konkursie wiosny, pierwszą nagrodę za pracę „Jedno życie” (sucha igła) uzyskał Henryk Mądrawski, drugą nagrodę Piotr Zajęcki za „Corridę” (akwaforta), zaś nagrodę trzecią za „Ulicę” (akwaforta) – Łukasz Rogiński. Na wystawie pokonkursowej w Dworze Artusa, honorową nagrodę publiczności otrzymała praca Łukasza Rogińskiego „Sąd ostateczny”. Nagrodę gdańskiego środowiska artystycznego uzyskał „Dzban” Stanisława Żukowskiego.

Fot. Jerzy Hajdul

SPOŁECZEŃSTWO I MORZE

- Stanisław Telega
TRZY ODKRYCIA „MODROOKIEGO
MARZENIA”
- Paweł Dzianisz
KAPITAN NAJWIĘKSZEGO REJSU
- Mieczysław Widernik
ZARYS ROZWOJU PORTU I MIASTA
GDYNI W LATACH 1921–1939
- Grzegorz Kurkiewicz
PROFESOR URBANOWICZ.
CZŁOWIEK I DZIEŁO
- Jadwiga Winter
ZNANY CZŁOWIEK I MORZE
- Ewa Moskalówna
ROZMOWY O MORZU I TWÓRCZOŚCI
- Ewa Nawrocka
„MORZE DALEKIE, MORZE BLISKIE”
- Mirosław Komendecki
CZY ZMIERZCH MARYNISTYKI?
- Joseph Conrad
MEMORANDUM

SPRAWY I LUDZIE

- Edgar Milewski
HISTORYCZNY KSZTAŁT
I WSPÓŁCZESNA FUNKCJA
- Bronisław Mieszkowski
- Henryk Raczyński
- Barbara Rol
- Ryszard Massalski
- Tadeusz Chrzanowski
OPINIE O GDAŃSKU
- Bogusław Holub
SALON CZY SALOON
- Stanisław Pestka
SUKCES MUROWANY?

LITERATURA

- Wilhelm Szewczyk
ŻOŁNIERZE I LOTTY
- Bernard
LETNIA WODA
- Robert Frost
WIERSZE

SZTUKA

- Andrzej Ściepuro
STANISŁAW BORYSOWSKI

NAUKA

- Bogumił Grott
W SPRAWIE RETRY – RADOGOSZCZY
RAZ JESZCZE

LEKTURY

- Mikołaj Duszyński
POEMAT O KOPERNIKU
- Włodzisław Zajewski
CIEKAWA MONOGRAFIA
- ZAPISKI WYDAWNICZE

Stanisław Telega

TRZY ODKRYCIA „MODROOKIEGO MARZENIA”

„Modrookim marzeniem” nazwał kiedyś Conrad — morze. Ta błękitna metafora zrodziła się pod żaglami herbacianych kliprów z końca XIX w., ale pierwsze spięcia jej pojęć błysnęły autorowi „Zwierciadła morza” chyba nad kartkami warszawskiego „Wędrowca”. Było ono jego ulubionym pismem w młodości, pierwszym u nas pismem podróżniczo-morskim, drukującym np. słynny wówczas „Dziennik podróży naokoło świata” Artura Grasseta czy podróżnicze wspomnienia morskie innych żeglarzy i podróżników, w tym również polskich, takich jak St. Rogoziński, A. Gruszecki, W. Anczyz, W. Bełza i inni. Do spisywania wrażeń ze swych rejsów właśnie w „Wędrowcu” namawiał Conrada wuj Bobrowski, zatroskany nie tyle o jego rozwój pisarski, ile o wćwiczenie się do polszczyzny i niezapominaniu o niej na wodach malajskich.

To „modrookie marzenie” uwiodło również wyobraźnię M. Zaruskiego nad Morzem Czarnym i na wodach polarnych, zachwyciło Sienkiewicza i Żeromskiego nad Atlantykiem i na Morzu Śródziemnym, skusiło St. Rogozińskiego do zorganizowania pierwszej polskiej wyprawy afrykańskiej, a A.B. Dobrowolskiego do udziału w wyprawie belgijskiej na Antarktydę. Ono to zapalało się Przybyszewskiemu „błękitną godziną” nad fiordami Morza Północnego i Atlantykiem, wyrывało się westchnieniem Sieroszewskiemu, że nie został w młodości marynarzem, a dziesiątki poetów i pisarzy modernistyczno-młodopolskich kierowało nad Morze Śródziemne, gdzie żagiel, łódź i fala stały się niezmiennymi elementami słynnych liryków Tetmajera, Staffa, Langego, Rydla, Konopnickiej, Kasprowicza, Mięcińskiego i innych, a samo morze inspiracją do wyrażenia pewnych najistotniejszych treści swego czasu.

„Stąd również — jak zauważył trafnie K. Wyka w swym „Modernizmie polskim” — szczególne upodobanie do obrazu morza, oceanu, fal, upodobanie, które zostało przez modernistów wyeksploatowane aż do zupełnego wyczerpania” (s. 222).

Te „szczególne upodobania” to właśnie początki naszej marynistyki, której narodziny przypadają na lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku. Powstawała ona z mórz dalekich i obcych, olśniewających egzotyką, obejmowała morza polarne i południowe, Atlantyk i Pacyfik, Antarktydę

i Ocean Indyjski oraz kilkanaście różnych mórz świata. Może właśnie dlatego, że były to morza obce i dalekie, abstrakcyjne niejako dla szerszego ogółu, a własne Morze Bałtyckie stanowiło w tym obrazie tylko wąski i ogólnikowy fragment, podany zresztą u Gruszeckiego („Tam, gdzie się Wisła kończy”), Parczewskiej („Nad morzem”) czy Deotymy („Panienka z okienka”) w sposób artystycznie słaby i niepełny — pierwsze odkrycie morza zostało na ogół prawie nie zauważone przez naszą krytykę czy historię literatury.

A przecież bez tego pierwszego, odkrycia następne byłyby albo niezrozumiałe, albo też nie wystąpiłyby z taką siłą, z jaką pojawiły się u progu naszej pierwszej niepodległości.

„Morzem obłąkana” literatura

Drugie odkrycie morza, tym razem na wielką, narodową skalę, związane było z dwoma niezwykle wyjątkowymi wydarzeniami. Pierwszym było odzyskanie niepodległości państwowej po 150 latach, drugim — odzyskanie własnego morza po 250 bez mała latach zupełnego wyobcowania tego żywiołu, krajobrazu i gospodarczego regionu, a zarazem granicy państwowej ze świadomości narodowej. Nic dziwnego zatem, że odzyskanie własnego morza musiało wywołać euforię w społeczeństwie i literaturze czy sztuce.

Takim wyrazem euforii narodowej i literackiej jest przede wszystkim trylogia nadmorska Żeromskiego („Wisła” — „Wiatr od morza” — „Między morzami”). Stała się ona wyrazem swoistego zamówienia narodowego u tego pisarza, tak zawsze czulego na wszystkie newralgiczne sprawy narodowe. Pojawienie się jego trylogii u progu powstania państwa, w momencie wzrastającej euforii narodowej, miało swój szczególny rezonans.

Wyłanianiu się bowiem państwa z ciemności historycznego niebytu odpowiadała w świadomości narodu w jakiś szczególny sposób książka przedstawiająca pojawianie się problemu morza i wybrzeża w historycznej tysiącletniej skali, wydobywania z wiekowych zapomnień pamięci o morzu jako integralnej części ojczyzny. Stąd niebywały sukces tej książki, wydanej dwukrotnie w tym samym 1922 roku, w odstępach paru miesięcy i w dość dużym na ówczesne czasy nakładzie. Stąd również znamienna nagonka

nacjonalistycznych pism niemieckich. na „Wiatr od morza” i w rezultacie tego stanu rzeczy utracenie kandydatury Żeromskiego do nagrody Nobla.

Jest poza tym w trylogii coś jeszcze bardziej znamiennego. Oto pisarz ten, tak czuły na wszelkie odmiany piękna przyrody polskiej, tutaj niemal u mety swej twórczości — podniósł region morski i samo morze do najwyższej miary piękna, do „najpiękniejszego widoku na ziemi”, wyrażając to dosłownie w ten sposób:

„...pokazać najpiękniejszy widok na ziemi: ślad słońca odchodzącego, który wygasa na morzu. Jakże wieloraka, jak nie do naśladowania dla żadnej ze sztuk i dla żadnego z usiłowań człowieka jest złotolita i srebrnolita, rubinowa i diamentowa wstęga na morzu”.

To wyznanie Żeromskiego jest w pewnym sensie zamknięciem długiej, przeszło czterowiekowej inspiracji sztuki polskiej przez krajobraz wiejski, a otwarciem drogi do innego źródła piękna, do morza. Stało się ono inspiracją — już typowo bałtycką — przede wszystkim dla ówczesnej poezji. Dźwięczy w niej ton nie tylko olśnienia estetycznego, zachwytu, ale też i niebezpiecznej, przesadnej fetysyzacji morza. Czasem są to szczere i pełne uroku wiersze Eug. Małaczewskiego z tomiku pt. „Pod lazurową strzechą”:

Kornie ukląknę w piasku, twarz nachyliłem ku fali,
W dłoń zaczerpnąłem wody, błyszczącej jak garść opali,
Czystej jak pocatunek dziecka, na rękę mi stopniały,
I usta me, jakby w szczęście, w tę wodę się wcałowały.

W większości jednak wypadków — zwłaszcza u poetów drugorzędnych i przez to zbliżonych w swym odczuwaniu morza do ogółu społeczeństwa — fascynacja morską prowadzi do znamiennej fetysyzacji i mitomanii morskiej, wyrażającej się w modlitewnym niemal stosunku do morza. Oto parę przykładów.

— Na twarz przed tobą padam
Morze (Józef A. Teslar)
— I dlatego w radości i dumie
myśmy morze wywiedli na oltarz...
(W. Zechenter)
— Spiewajcie poeci o morzu...
Słijcie modlitwy do morza — wielkiego bóstwa żywiołów
(Fr. Lipiński)

Metaforom tym trudno przypisywać tylko poetycką przesadę, skoro ten sam ton dźwięczy także w prozie i publicystyce tego czasu. „Wiedziało o tym — napisze wprost w r. 1920 jeden z czołowych ówczesnych publicystów, Z. Dębicki — tylko morze polskie z rozkazu Boga bijące o brzeg polski... I cud się stał, przed którym olśnione stoją oczy naszego pokolenia: najszcześliwszego z szczęśliwych, bo odzyskującego wolną drogę do morza” („Powitanie morza”, s. 10).

Ten sam publicysta, podobnie jak wielu innych, wierzy, że morze wykształci nowy typ Polaków.

„Młynarz polski, od chłopca okrętowego chłostany słonym wiatrem, obryzgiwany wodą, ogorzały na słońcu, wyrośnie na innego człowieka, stworzy nowy typ Polaka o szerokiej klatce piersiowej i szerokiej duszy” („Powitanie morza”, s. 19).

Podobne mity szerzyła również proza, zwłaszcza w utworach takich pisarzy jak M. Żaruski, J. Bandrowski, K. Makuszyński, J. B. Rychliński, J. Szarecki, St. Grabiński i inni. Wyłania się z tej literatury — w zasadzie również podrzędniejszej natury i może właśnie dlatego typowej dla omawianego zjawiska — obraz morza jako na w pół świętego i na w pół mitycznego żywiołu, często nawet o charakterze religijnym (np. w powieściach J. Bandrowskiego) czy też obraz morza utrzymanego w tonacji hołdu i wielkiej patetyczności (np. w reportażach Żaruskiego czy Makuszyńskiego) lub obraz morza jako siły na w pół fantastycznej w powieściach i opowiadaniach St. Grabińskiego i J.B. Rychlińskiego.

„My Polacy — mówi np. bohater „Zołojki” J. Bandrowskiego — nie patrzymy na morze

jak na dziki i wrogi sobie świat... i nie rzucamy obelg na odmęty niezmierzonych wód pamiętając, iż nad wodami unosi się Duch Boży” (s. 263).

W innym miejscu tej powieści bohater mówi jeszcze bardziej jednoznacznie w ten sposób:

„Zrozumiałem, że tu nad morzem jest coś, co tę nabożność nie tylko budzi, ale może ją wzmocnić... smak potraw po modlitwie porannej był zgoła inny niż przedtem. Wiedziałem, że jem dary boże. To, proszę pani, to jest wpływ morza” (s. 9).

O „obłąkaniu morzem”, mówi na odmianę Makuszyński w „Wielkiej Bramie” (wyd. 1: 1936, wyd. 4: 1957) i to w opętaniu w najbardziej pozytywnym znaczeniu. „Obłąkany morzem” jest nie tylko młody Piotruś, ale także stary, doświadczony kapitan Baran i jego żona. Oddawanie hołdu morzu należy do ich codziennych czynności.

„— Polska — mówi autor — ogarnęła morze taką miłością, serca tak się na jego rozśpiewały widok, wchłonęły je w siebie z taką żarliwością, że jak Kordian był „Polską obłąkaną”, tak Polska stała się „morzem obłąkaną”.

Taka literatura, taka poezja i taka publicystyka, a często i nauka, musiały stwarzać podatny grunt do narastania fali mitów o

morzu, zaszczepiać je społeczeństwu w postaci różnych popularnych sloganów obiegowych w rodzaju „naród w służbie morza” (a nie — „morze w służbie narodu”), „światopogląd morski”, „frontem do morza” i wiele innych — w sumie propagować wielkość i szczególną odrębność wszystkiego, co morskie.

Można zrozumieć zachwyt narodu, który dzięki skrawkowi morza rozszerzył niejako pojęcie ojczyzny. Można też zrozumieć dumę narodu, który z małej, nędznej wioski kaszubskiej liczącej w roku 1921 zaledwie 1300 mieszkańców, do której jeszcze w r. 1923 wpłynęły na „piaski gdyńskie” zaledwie 3 statki, zbudował wielkim wysiłkiem jeden z najnowocześniejszych portów, do którego w r. 1939 wpłynęło 6 498 statków. Można więc rozumieć i siłę mitów, które w jakiś sposób uskrzydlały wyobraźnię morską narodu.

Nie można jednak zapominać, że mity te — już w chwili narodzin w naszym kraju — były anachroniczne, zapóźnione intelektualnie jak np. mit o „narodzie w służbie morza”, wywyższający pojęcie geograficzne ponad naród czy mit o całkowitej, integralnej odrębności wszystkiego, co morskie w stosunku do wszystkiego, co lądowe.

Tylko nieliczni pisarze nie poddawali się

KAPITAN

Nie trzeba nam już oczekiwać Jego powrotu. Kapitan popłynął daleko za ostatnią smugę cienia, w rejs, z którego się już nigdy nie wraca. Pozostawił po sobie legendę. Legendę jednak, która będzie wiecznie żywa, będzie natchnieniem dla wszystkich przyszłych pokoleń polskich żeglarzy i marynarzy. Legendę o pierwszym Słowianinie i pierwszym Polaku, który samotnie okrążył kulę ziemską, stawiając czoła wszystkim groźnym mocom mórz i oceanów, wszystkim ludzkim uprzedzeniom i powątpiewaniom. Legendę o Polaku, który wpisał się w rejestr największych żeglarzy świata, obok Slocuma, Pidgeona, Gerbaulta, Willisa, Bardiaux, Chichestera, Rose’a, garstki najsławniejszych, których imiona znane są dobrze tam wszędzie gdzie morze, jego groźna i zniewalająca moc, oddziałuje na rozum i wyobraźnię, na życie człowieka.

„Wprawdzie nie odkryję ani nowych lądów, ani nowych ludów — pisał gdzieś z dalekiego świata — ale dawno odkrytym lądom i ludom odkrywam polską banderę”. Intymne to zwierzenie jasnym blaskiem oświeca jeden z głównych motywów Wielkiego Rejsu, jaki przedsięwziął żeglarz. Podobnie intymnie brzmi wyznanie; „...kocham walkę w atawistyczny sposób i uważam, że walka z naturą przeistacza się we współpracę z nią, jest jej najsłabszym rodzajem. Gdybym umiał budować tamy, rozbijając atomy — pewnie upajałbym się tym równie jak żeglowaniem”. I gdzie indziej: „Człowiekowi sprawia satysfakcję zmaganie z sobą i otaczającym go światem. Lubię to i to mnie pasjonuje”. To więc inny motyw Wielkiego Rejsu. Nie umiał budować tam, ani rozбивać atomów. Umiał żeglować. Na morzu wykazał największe męstwo, choć życie nie skąpiło mu okazji do wykazania dzielności.

Leonid Teliga urodził się w Wiaźmie (ZSRR) 28.5.1917 r. Po powrocie do ojczyzny osiedlił się w Grodzisku Mazowieckim. W 1933 r. odwiedził Gdynię. To pierwsze spotkanie z morzem było pewnie chwilą poczęcia myśli o Wielkim Rejsie, którą miał zrealizować dopiero po trzydziestu przeszło latach. Zafascynowanie morzem nie ustąpiło przecież nigdy w jego życiu, choć w kampanii wrześniowej walczył jako podporucznik piechoty. Ranny pod Tomaszowem Mazowieckim, dostaje się do Związku Radzieckiego. Tam poznaje tajniki morskiego rzemiosła, zdobywa na Morzu Azowskim kwalifikacje szypa. Kuter jego jako ostatni wycofuje się z akcji ewakuacyjnej okrążonego Rostowa. Dalsza droga Leonida Teligi prowadzi przez Bliski Wschód. Jako dowódca kompanii piechoty zaciąga się do RAF i po przeszkoleniu lotniczym walczy w Dywizjonie Bombowym 300 im. Ziemi Mazowieckiej. Po wojnie chwyta za pióro dziennikarza, pisarza, tłumacza, jest członkiem komisji rozjemczych w Korei i Laosie, nigdy pewnie jednak nie przestaje myśleć o wyprawie swego życia. Za własne oszczęd-

presji tych mitów, podporządkowując wizji artystycznej tło i realia morskie.

Takie były „Opowieści morskie” St. Salińskiego, oryginalne mimo pewnych wpływów rosyjskich, zadziwiająco trafnie sprzęgające surowe i bezkształtne losy ludzkie z mrocznym i potężnym urokiem mórz polarnych czy też podkreślające tragizm losu ludzkiego dysonansami i muzycznymi frazami tropikalnych mórz południa.

Wolna od tych mitów jest też surowa i zwięzła relacja Cz. Centkiewicza z pierwszej polskiej wyprawy polarnej w jego „Wyspie mgieł i wichrów” oraz przygód rybacko-myśliwskich w „Białej foce”.

To samo można powiedzieć o cyklu liryków morskich M. Pawlikowskiej, których głęboki liryzm i refleksyjność wypływają najściślej z morskich impresji, podobnie jak pojedyncze i nieliczne wiersze morskie u niektórych wybitnych poetów tego czasu (Tuwim, Słonimski, Wierzyński). Jedyną natomiast próbą — słabą jednak intelektualnie — odmitologizowania pewnych ogranych stereotypów morskich jest „Pamiętnik morski” Zb. Uniłowskiego.

Jak na całe dwudziestolecie międzywojenne i wielki dzwon euforii morskiej, dzwiczący przez cały ten okres — dorobek to bardzo skromny i ubogi.

W stronę wszystkich mórz

Trzecie odkrycie morza było przede wszystkim odkryciem bałtyckiego „mare longum” z jego pierwszych, historycznych związków z Polską. Przesunęło to zdecydowanie dotychczasowe zainteresowania morzem i międzymorzem „kępy oksywskiej” na cały Bałtyk, a zwłaszcza na jego piastowsko-skandynawski region. Dlatego pierwszy kierunek odkrycia poszedł nie drogą bezpośrednich styków z morzem, które było wówczas — jak to określił w 1946 roku inż. E. Kwiatkowski — „zaminowaną pustynią, a wybrzeże cmentarzyskiem życia”, lecz drogą historii, śladami „Sagi o jarlu Broniszu” J. Wł. Grabskiego, odkrywaniem „Arkony, grodu Świętowiata” A. Swirszczynskiej czy fragmentami morskimi powieści Gołubiewa, Bunscha i innych.

Potem wybrzeże zaczęło się szybko odbudowywać, flota handlowa i rybołówcza wypływać na morza świata, sam jednak Bałtyk pozostał na długo, bo na całe dziesięciolecie „terenem zamkniętym” dla powszechnego kontaktu ze społeczeństwem. Głęboko też zaciążyło na pomniejszeniu roli morza zderzenie literatury z historią, a życia społecznego wąskimi kryteriami politycznymi. Zlikwidowano wówczas

szereg cennych inicjatyw społecznych, np. „Ligę Morską”, pismo „Wiatr od morza”, a z Conrada uczyniono pisarza w Polsce nieznanego.

Pełne odkrycie morza nastąpiło dopiero po roku 1956, który stał się cenzurą przełomową również i dla marynistyki. Dopiero teraz ujawniły się w pełni nawarstwiająca się od lat nurty marynistyczne, takie jak np. nurt historyzmu morskiego, motywów rybackich, wypraw żeglarskich czy naukowych, nurt wspomnieniowy czy wreszcie społeczno-obyczajowy.

W tej wielokrotnej literaturze wyróżnił się zwłaszcza — nazwijmy go tak umownie — nurt obyczajowo-psychologiczny czy obyczajowo-społeczny. On to przyniósł przede wszystkim powieści St. Salińskiego z „Hieroglifami” i „La Palomą” na czele, ambitne i jedyne tego rodzaju opowieści o mrocznym, skomplikowanym świecie Dalekiego Wschodu, a jednocześnie o dramatycznym losie jednostek opętanych miłością i pięknem, o ich dramacie postaw moralnych wobec zła i okrucieństwa.

W nurcie tym pojawiły się też pierwsze próby odmitologizowania zawodu marynarzkiego, najpierw od strony dramatu rodzin marynarskich w znanych powieściach St. Muskat-Fleszarowej czy w powieści R. Radowicza „Zazdrość”, potem od strony samego świata marynarskiego w powieściach i opowiadaniach L. Bądkowskiego, U. Krzyżanowskiego, E. Szumańskiej i innych. W nurcie tym wyróżniły się też opowiadania J. Papugi i jego świat prostych marynarzy, z którego autor potrafił wydobyć dużo moralnego piękna i poezji.

Tu mieszczą się również powieści egzotyczne E. Szumańskiej i równie egzotyczne, choć zmistyfikowane opowiadania J. Makarczyka, relacje obyczajowe i psychologiczne L. Proroka, a także wiele powieści i opowiadań St. Goszczurnego, M. Promińskiego, W. Zaczka, J. Surdykowskiego czy M. Nowakowskiego, które niestety nie wniosły nic odkrywczego do tej literatury.

Innym nurtem marynistycznym stał się historyzm, który po okresie swej dominacji w pierwszych latach powojennych teraz znowu odżył głównie w powieściach Fr. Fenikowskiego i J. B. Rychlińskiego. Podejmując w 12 powieściach historycznych epizody czy okresy naszej historii morskiej autorzy ci wypełnili — choć nie zawsze ze szczęśliwym skutkiem — dotkliwą lukę w zobrazowaniu artystycznym tej historii od IX do XVII wieku. Na uwagę zasługuje tu zwłaszcza powieść Fenikowskiego „Wielkie morze”, pełna dramatyzmu, poezji i rewizjonistycznego spojrzania na postać Mieszka I-go.

Ambitną, choć nieudaną próbą, była też jego trylogia o początkach naszej floty kaperskiej w XVI wieku.

Innego typu rewizjonizm historyczny zastosował J. B. Rychliński w trylogii morskiej o kapitanie Morze, usiłując stworzyć mit narodowego bohatera floty polskiej XVI wieku, jednakże po dwóch na ogół udanych tomach rozdrobnił i spłycił w dalszych tomach istotę samej „famy morskiej”, a z „Łatającego Szkota”, którego bohaterstwo i tak podważyła ostatnio nauka — uczynił westernowską postać dla młodzieży.

W inną problematykę wprowadza nas nurt rybacki nowej marynistyki rozrastający się i różnicujący w miarę wzrostu społeczności rybaków przybrzeżnych czy dalekomorskich. Początkowo przykuwa w tym względzie uwagę pisarzy przede wszystkim teren bałtycki, przybrzeżny. Z trzech jego regionów domeną największej penetracji pisarskiej stał się region kaszubski, mający już przedwojenną dużą tradycję literacką.

Region ten stał się tematem trzech trylogii rybackich — J. Znamierowskiego, A. Necia i N. Rydzewskiej oraz pięciu powieści i opowiadań takich autorów jak St. Muskat-Fleszarowa, M. Nowakowski, Cz. Czerniawski, M. Jarosławski i M. Zydler.

Z trylogii wyróżnia się zwłaszcza niedokończony cykl „Rybaków bez sieci” N. Rydzewskiej, z powieści — książka Fleszarowej „Zatoka śpiewających traw”, z opowiadań — „Przystań” M. Nowakowskiego.

NAJWIĘKSZEGO REJSU

ności, jako członek Jachtklubu Morskiego LOK w Gdyni „Gryf” buduje „Op-ty”, jacht, który razem z nim wszedł do legendy. 5 ton wyporności, 43 metry kwadratowe żagla, 10 metrów długości. Mikroświat, który miał przez dwa przeszło lata pomieścić jego samotność.

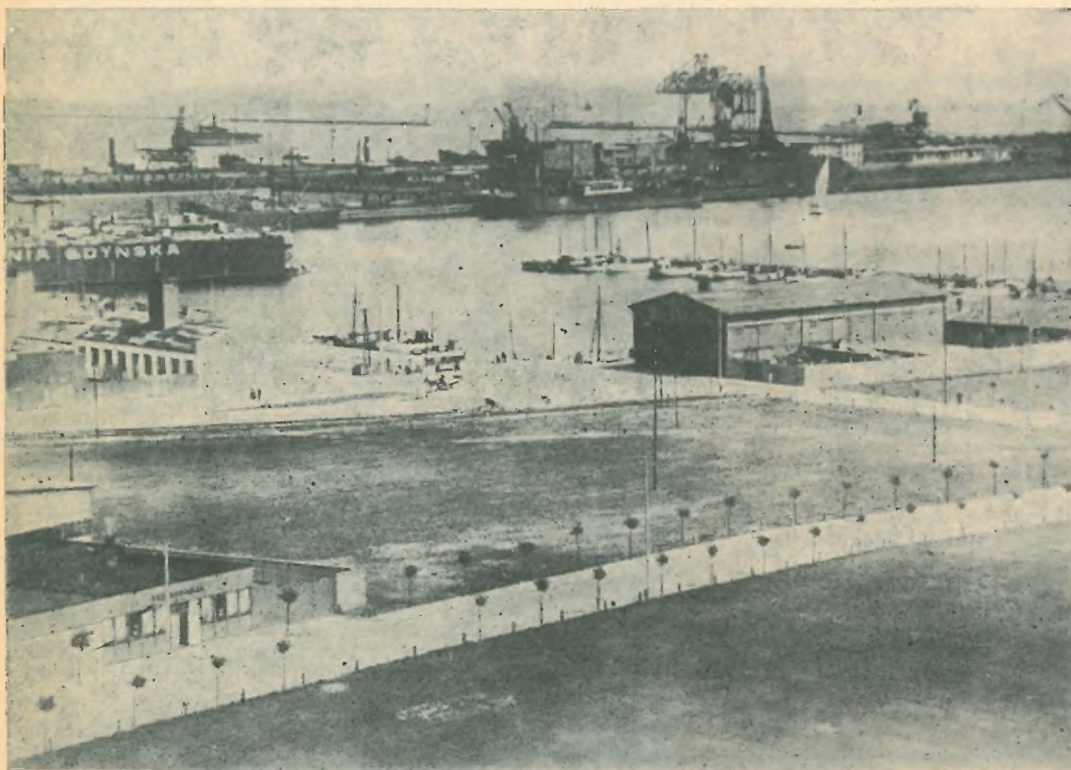
Wyrusza na grudniu 1966 r., 21 stycznia 1967 startuje z Casablanki. Przez Las Palmas, Barbados, St. Lucia, Grenadę, Cristobal, Balboa, Galapagos, Nuku-Hiva, Tahiti, Bora-Bora, Fidzi, Dakar, Las Palmas znów do Casablanki rozwija wokół świata najpiękniejszą z bander: białą-czerwoną. Samotny i zdany tylko na własne umiejętności, poddaje się wielkiej próbie w imię tych właśnie motywów, które wyrażał w listach. Przez pustkę między wysokim obojętnym niebem, a morzem łaskawym lub okrutnym mały polski jacht kapitana Leonida Teligi parł naprzód i naprzód. Wspierany milionami polskich serc, ale przecież w codziennej walce tam właśnie i w tamtej chwili prawdziwie samotny i przez to prawdziwie heroiczny. Nie po rekordy płynąc, przecież rekord pobił. W wielkim skoku z Fidzi do Dakaru przebył bez zawijania do portu 16,5 tys. mil morskich. 165 dni. Pięć i pół miesiąca najgłębszej samotności na oceanie. Do Casablanki powrócił 29 kwietnia 1969 r., po przeszło dwu latach największego rejsu, przebywając ponad 28 tysięcy mil morskich, związując białą-czerwoną banderą wielką pętlę opasującą świat.

Ojczyzna powitała go radością, uznaniem, zaszczytami. Odznaczono Go Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, złotą odznaką Zasłużonego Pracownika Morza, złotym medalem „Za wybitne osiągnięcia sportowe”, odznaką „Zasłużonego Mistrza Sportu”, złotą odznaką im. Janka Krasickiego, pucharem ministra spraw zagranicznych, tytułem Sportowca Roku 1969. Ojczyzna powitała go milionami serc wdzięcznych, że spełnił ich marzenia i oczekiwania, że wykazał męstwo i wytrwałość, które będą przykładem dla przyszłych pokoleń, że przydał polskiej rzeczywistości morskiej najpiękniejszą morską legendę.

Niedługo już żył po swym wielkim triumfie, ściskając serdeczne dłonie, zaspokajając wyżęzony słuch, pokazując się ciekawym oczom, rozrywany, latający po całym kraju jak długi i szeroki. Majowego dnia 1970 r., odrywając się od spotkań, radia, telewizji, pióro składając obok niedokończonych wspomnień — wyruszył w rejs największy. Taki, z którego się już nie wraca. Płyne zapewne na białą-czerwoną obłoku przez tajemnicze oceany niebytu, płynie bez trwogi, bo morze — jak mawiał — przyjazne jest dla tych, którzy mają przed nim respekt.

Nam pozostawił legendę.

PAWEŁ DZIANISZ



GDYNIA. WIDOK NA PORT

W obrazie tym region słowiński jest prawie niezapisaną kartą literacką, natomiast trzeci region, szczeciński, stał się domeną twórczości Cz. Schabowskiego, pokazującego w swych opowiadaniach proces tworzenia się nowego regionu rybackiego, jego moralności i nowej tradycji.

Rybacka tematyka dalekomorska natomiast podjęta została interesująco jedynie w opowiadaniach Pachlowskiego.

Bardzo obszerny krąg tematyczny tworzy nurt wspomnieniowy, uprawiany głównie przez ludzi morza. Z kilkudziesięciu mniej lub więcej interesujących pozycji wybijają się tu jedynie wspomnienia K. Borchardta „Znaczy kapitan” czy „Krążownik spod Somosierry”, będące pięknym „zwierciadłem morza polskiego”. Równie dokumentalne, choć mniejszej miary artystycznej, są wspomnienia A. Kołodzieja „Ich trzydziestu trzech” czy E. Wasilewskiego „Powrotne szlaki”.

Osobnym wreszcie nurtem, zbliżonym do wspomnieniowego, jest tematyka żeglarska czy żeglarsko-wyprawowa. Przyniosła ona w efekcie kilka interesujących pozycji jak Cz. i A. Centkiewiczów „Kierunek Antarktyda”, J. J. Szczepańskiego „Zatoka białych niedźwiedzi”, B. Kowalskiego „Wyprawa Koral”, czy wydany wreszcie w całości dopiero teraz A. B. Dobrowolskiego „Dziennik wyprawy na Antarktydę”, jeden z najciekawszych dokumentów naszego podróżnictwa morskiego XIX w.

Ten różnorodny i wielokierunkowy rozwój marynistyki spowodował próbę określenia samego jej zjawiska i rozwoju zarówno w gwałtownych dyskusjach prasowych, jak i publikacjach naukowych (Miazgowski, Tuchoński) czy formach stowarzyszeniowych (Klub Marynistów, Stowarzyszenie Marynistów). Towarzyszyła mu znamienna w pewnym okresie, lecz nieudana próba B. Miazgowskiego, przeszczepienia pewnych przedwojennych, choć zmodyfikowanych mitów morskich. Spotkała się ona jednak z gwałtownym sprzeciwem wielu pisarzy i publicystów, w tym twórcy jednego z największych mitów o „światopoglądzie morskim”, J. Borowika.

W sumie — trzecie odkrycie „modrookiego marzenia” poszło już prawidłową drogą. Sama marynistyka — jako użytkowy termin literacki stała się powszechnym, przydatnym pojęciem, pozwalającym podobnie jak wiele podobnych pojęć komparatystycznych, wnikliwiej i sumiennie określić pewne zja-

wiska literackie. Weszła do wszystkich encyklopedii i słowników oraz terminów literackich, choć jej nadużywanie i upraszczanie jest jeszcze dość powszechne.

Dzięki niej wzbogaciłmy, niewątpliwie w niejednym, naszą narodową literaturę, a z pojęcia morza uczyniliśmy jeden z zasadniczych elementów przesuwających naszą odczynną daleko poza nasze państwowe granice. Daleko — bo w stronę wszystkich mórz i wszystkich krajów świata.

Mieczysław Widernik

Zarys rozwoju portu i miasta Gdyni w latach 1921-1939

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Polska otrzymała około 140 km wybrzeża bez żadnego portu handlowego. Możliwości budowy portu na skrawku polskiego wybrzeża nie były zbyt wielkie. Po przeanalizowaniu istniejących warunków wybór padł na małą wieś rybacką — Gdynię. Sprawa budowy portu w Gdyni była przedmiotem szeregu dyskusji publicznych i konferencji, na których ścierały się różne koncepcje. W społeczeństwie polskim nie było powszechnego przekonania o konieczności budowy własnego portu, skoro Polska mogła korzystać z gdańskiego. Opinię publiczną dezorientowały także różnorodne koncepcje dotyczące miejsca budowy. Sprawa tego przedsięwzięcia ostatecznie znalazła odbicie dopiero na Sejmie w 1922 r., który uchwalił ustawę o budowie portu w Gdyni. Przewidywała ona etapowy charakter tej inwestycji. Projekt budowy portu w brzmieniu ustawy miał do pewnego stopnia na celu wywarcie politycznego nacisku na Gdańsk, by zmienił dotychczasową politykę, nacechowaną wrogością wobec Polski.

Budowa portu w Gdyni została rozpoczęta w 1921 r., jeszcze przed uchwaleniem ustawy sejmowej. Fragment przyszłej inwestycji pod nazwą „Tymczasowy Port Wojenny i Schronisko dla Rybaków” ograniczał się do taniej, drewnianej konstrukcji, która została ukończona w 1923 r. W pierwotnej formie port w Gdyni był budowany jako baza Marynarki Wojennej oraz przystań — tzw. „mały port”. Miał on służyć jako uzupełnienie portu gdańskiego. Uroczyste otwarcie przystani w Gdyni odbyło się w kwietniu 1923 r. w obecności ówczesnego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Stanisława Wojciechowskiego. W tym samym roku przybił do nabrzeża w Gdyni pierwszy statek oceaniczny „Kentucky” o pojemności 661 BRT, pływający pod banderą francuską.

W pierwszych latach tempo budowy portu było wolne. Główną przyczyną tego stanu rzeczy były trudności finansowe i ciągła nadzieja na zmianę stanowiska Gdańska względem Polski. Istniejące potrzeby polskiego handlu morskiego nie wymagały również szybkiej budowy własnego portu. Gdy minęły złudzenia na polepszenie stosunków polsko-gdańskich, zaczęto myśleć o budowie w Gdyni stałego portu. W lutym 1924 r. Morska Komisja Sejmowa podjęła uchwałę dopuszczającą kapitał prywatny do udziału w budowie celem przyspieszenia realizacji tej inwestycji. W lipcu tego roku Rząd Polski podpisał umowę z przedstawicielami firm francuskich i polskich (Konsorcjum), które zobowiązały się zakończyć budowę portu do końca 1930 r.

Sytuacja wytworzona w 1925 r. zasadniczo wpłynęła na zmianę planów budowy portu i tempa jego rozwoju. Z dniem 15 maja 1925 r. wygasła tzw. konwencja górnośląska, podpisana w 1922 r., na mocy której Niemcy zobowiązały się przyjmować takie ilości węgla, jakie były wysyłane ze Śląska w okresie zaborów. W ramach tej umowy Polska eksportowała około 7 mln ton węgla rocznie. Po wygaśnięciu konwencji Rzesza Niemiecka zerwała stosunki handlowe z Polską, praktycznie zamknęła swój rynek dla wyrobów polskich. Gwałtowne zahamowanie eksportu zwłaszcza węgla do Niemiec zmusiło koła gospodarze Polski do szukania nowych rynków zbytu. Sprzyjającą okolicznością stał się w roku 1926 trwający około sześciu miesięcy strajk górników angielskich, który umożliwił Polsce zdobycie rynków skandynawskich. Wydarzenia te miały decydujący wpływ na skryształowanie się polskiej polityki morskiej na tle nowych kierunków handlu zagranicznego. Wobec tego rząd polski podjął decyzję stworzenia w Gdyni wielkiego portu o zdolności przeładunkowej 9 mln ton rocznie. Tak więc śmiało można powiedzieć, że wybudowanie w Gdyni wielkiego, uniwersalnego portu było jednym z następstw niemiecko-polskiej wojny celnej. Od tego czasu wzrosła rola i znaczenie zagadnień morskich w polityce gospodarczej rządu polskiego. Świadczy o tym wypowiedź ówczesnego ministra przemysłu i handlu, Eugeniusza Kwiatkowskiego: „gdyby zaś nie zaszedł przykry — choć w skutkach błogosławiony — wypadek wojny gospodarczej zainicjowanej przez Niemcy, być może nie doszlibyśmy długo jeszcze do postawienia tego zagadnienia na porządku dziennym”. Minister, a następnie wicepremier, Eugeniusz Kwiatkowski położył poważne zasługi dla rozwoju portu gdynieńskiego. To on był głównym inicjatorem budowy w Gdyni wielkiego portu. Dzięki swym energicznym interwencjom przyczynił się w decydującym stopniu do szybkiej realizacji inwestycji. Twórcą portu gdynieńskiego pod względem technicznym był inż. Tadeusz Wenda.

Możliwości eksportu węgla przez Gdynię sprawiły, że wielkie koncerny węglowe czynnie zainteresowały się budową, przystępując do inwestowania w urządzenia przeładunkowe. Pierwszym z nich był „Robur”. Za nim poszły inne koncerny, co w znacznej mierze przyczyniło się do zespolenia gospodarczego Górnego Śląska z Pomorzem. Wyrazem tego

była budowa linii kolejowej łączącej Śląsk z Gdynią.

W październiku 1926 r. została zawarta nowa umowa z Konsorcjum. Koszt robót nią objętych miał wynosić 29 mln złotych, a termin ukończenia inwestycji wyznaczono na koniec 1930 r. Zawarcie umowy pozwoliło na rozwiniecie robót na szeroka skalę i od tego roku można mówić o etapie właściwej budowy portu w Gdyni. W latach 1926—1930 został zbudowany port przelotowy, specjalizujący się w eksporcie węgla.

Od 1931 r. rozpoczął się następny, trzeci etap budowy portu, który trwał do 1934 r. Gdynia z fazy portu przelotowego przeszła w fazę portu dyspozycyjno-rozdzielczego. Czwarty etap budowy obejmował lata 1935—1939. W końcu tego okresu Gdynia stała się portem uniwersalnym. Posiadała już znaczną przewagę nad Gdańskiem, koncentrowała poważną część obrotów polskiego handlu zagranicznego i prowadziła walkę z portami niemieckimi o tranzyt nadnaddunajski. Port gdyński dzięki naturalnemu położeniu stanowił węzeł komunikacji tranzytowej z południa na północ. Nowoczesny technicznie, o dużej powierzchni krytych magazynów i urządzeń specjalnych (chłodnie, elewator zbożowy itp.), przystosowanych do składowania znacznych ilości różnych towarów, sprawnością pracy i tanim przeładunkiem przyciągał klienta. Cały port zajmował w 1936 r. 1010 ha powierzchni, z czego na powierzchnię wody przypadało 335 ha, a na ląd 675 ha. W tym roku port gdyński obsługiwał 50 linii żeglugowych.

O rozwoju portu gdyńskiego świadczą następujące liczby: w 1928 r. znajdowało się w porcie 6 urzędów przeładunkowych, a w 1937 r. było ich 76 o łącznej nośności 303 t; ogólna powierzchnia magazynów portowych w 1928 r. wynosiła 5 tys. m², a w 1937 r. — 217 tys. m². W 1925 r. na terenie portu znajdowało się 10 km torów kolejowych, a w 1937 r. — 204 km. Nastąpił również wzrost udziału Gdyni w handlu zagranicznym Polski. Wzrost ten w latach 1929—1938 wyniósł około 37% pod względem tonażu i 46% pod względem wartości. W roku 1925 wpłynęło do Gdyni 85 statków, a w roku 1937 — 5766. Towarzystwo temu znaczne zwiększenie obrotów towarowych. W 1938 r. osiągnęło



centrum miasta. Wymownym tego dowodem był fakt, że do 1939 r. obszar położony między ul. Świętojańską a torami kolejowymi nie został zabudowany. Zofia Nałkowska w następujący sposób opisała wygląd ówczesnej Gdyni: „Miasto placów, porośniętych dziką trawą tuż przy rozległych blokach nowoczesnych — to jeszcze wciąż miejsce na życie, które przyjdzie jutro i pojutrze”. O ile speculacja terenami w normalnie rozwijającym się mieście jest rzeczą szkodliwą, to w warunkach gdyńskich była wprost zabójczą dla racjonalnej zabudowy. Magistrat, chcąc prowadzić właściwą politykę w zakresie budownictwa, powinien posiadać od 30 do 35% obszaru administrowanego miasta jako swoją własność. Tymczasem w roku 1936 własność miasta stanowiła zaledwie 5% terenu Gdyni. Stan ten w innych miastach przedstawiał się znacznie korzystniej, np. w Toruniu tereny będące własnością miasta stanowiły 25%, w Poznaniu 17%, w Krakowie 13% obszaru administrowanego tych miast.

W śródmieściu Gdyni przy trzech głównych ulicach znajdowała się większość budynków administracyjnych i handlowych. Ich nowoczesne sylwetki, szerokie i dobrze utrzymane ulice sprawiały wrażenie wielkomiejskiego ośrodka. Nie należy jednak zapominać, że Gdynia była miastem kontrastów. Obok wielkich nowoczesnych budynków istniały do 1935 r. zmurszałe chaty rybackie, które zostały później zburzone w ramach porządkowania zabudowy miasta. Śródmieście Gdyni otaczały dzielnice peryferyjne, których prowizoryczna, brzydka zabudowa w niczym nie przypominała Centrum.

Szybki rozwój miasta spowodowany był głównie dwoma czynnikami: wzrostem terytorialnym i zwiększeniem liczby jego mieszkańców. Gdynia w 1925 r. zajmowała obszar o powierzchni 638 ha. Po przyłączeniu Oksywi, w grudniu tegoż roku, powierzchnia wzrosła do 1463 ha. W latach 1925—1936 nastąpił 10-krotny wzrost terytorialny miasta. W tym samym tempie wzrastała liczba jego mieszkańców, w roku 1938 w Gdyni zamieszkiwało 122 tys. osób. Na proces rozwoju terytorialnego Gdyni zasadniczy wpływ wy-



GDYNIA — MIASTO KONTRASTÓW. ULICA ZEROMSKIEGO

tylko Warszawie, Wilnu, Poznaniowi, Bydgoszczy i Lwowowi.

Jednym z głównych czynników zapewniających prawidłowy rozwój miasta były inwestycje komunalne, wśród których należy wyróżnić: instalację wodociągowo-kanalizacyjną, elektryczną i budowę dróg i ulic. Ich budowa została zapoczątkowana w latach 1925—1928. Pierwszą z gdyńskich inwestycji komunalnych była elektryfikacja. Miasto otrzymało energię elektryczną w 1925 r. z Okręgowej Elektrowni w Rutkach w pow.

Inwestycje wodociągowe rozpoczęto w 1928 r. Główne ujęcie wody dla Gdyni wraz ze stacją pomp w Rumi zostało oddane do użytku w 1935 r. Ujęcie to było obliczone na zaopatrzenie w wodę ponad 200 tys. osób. Wysoki koszt instalacji wodociągowej sprawił, że np. w 1936 r. tylko 18% ogółu budynków mieszkalnych korzystało z sieci wodociągowej.

Projekt układu sieci kanalizacyjnej w Gdyni był wykonany według systemu rozdzielczego, tj. oddzielnie dla wód opadowych, atmosferycznych, które były bezpośrednio odprowadzane do morza i oddzielnie dla wód ściekowych, fekalii. Sieć kanalizacyjna, jakkolwiek dobrze zaprojektowana i wykonana była wykorzystana jedynie w niewielkim procencie. W 1936 r. tylko 17% budynków korzystało z tej instalacji. Poza wymienionymi w Gdyni istniała również słabo rozwinięta sieć instalacji gazowej.

Ważną rolę w rozwoju miasta odgrywała budowa dróg i ulic. Magistrat miasta przejął od gminy wiejskiej 5,5 km ulic, które w znacznym stopniu musiały ulec przebudowie. W 1938 r. długość ulic w Gdyni wynosiła ponad 84 km, a ich powierzchnia 513 tys. m². Nawierzchnia ulic była różnorodna, przeważał kamień polny. Prowadzenie inwestycji drogowych napotykało poważne trudności, wynikające z częstych zmian planów urbanistycznych i niezabezpieczenia terenów pod ich realizację.

Rozwijająca się Gdynia, miasto i port, wymagały zorganizowania nowej administracji. Gdynia jako gmina wiejska nie mogła spełniać należycie roli zaplecza gospodarczego budującego się portu, będąc skrepowana ciasnymi ramami ordynacji gminnej. Rada Gminna już w 1923 r. rozpoczęła starania u władz zwierzchnich o rozbudowę administracji i przekształcenie gminy wiejskiej w twór miejski, który byłby w stanie sprostać zadaniom wynikającym z budowy portu. Na licznych konferencjach ścierały się dwie koncepcje odnośnie formy przyszłej administracji: ustroju samorządowego i komisarycznego. Ostatecznie zwyciężył projekt samorządu miejskiego, zgodny z myślą miejscowej ludności kaszubskiej. W maju 1925 r. Rada Gminna podjęła uchwałę o przyjęciu przez gminę ordynacji miejskiej, wyprzedzając decyzję władz państwowych w tej sprawie. W lutym 1926 r. Rada Ministrów nadała Gdyni prawa miejskie. Odpowiednie rozporządzenie zostało ogłoszone w Dzienniku Urzędowym dopiero dnia 4 marca 1926 r. Na jego pod-



GDYNIA, SKWER KOŚCIUSZKI (ZDJĘCIA ZE ZBIORÓW MIEJSKIEJ PRACOWNI URBANISTYCZNEJ W GDYNI)

warło powstawanie osad peryferyjnych, ciągnących ku miastu, które były stopniowo włączane w jego granice administracyjne. Dodatkowym ułatwieniem było to, że część terenów przylegających do miasta była własnością państwa. Pod względem wielkości administrowanego obszaru Gdynia w 1936 r. była szóstym miastem w Polsce. Ustępowała

kartuskiemu. Ponieważ możliwości tej elektrowni były ograniczone, a potrzeby Gdyni ciągle wzrastały, władze miejskie zawarły umowę z drugą elektrownią w Gródku, na Czarnej Wodzie. Jakkolwiek elektryfikacja objęła swym zasięgiem cały obszar Gdyni, tylko 50% budynków na terenie miasta korzystało z energii elektrycznej.

stawie Gdynia otrzymała przestarzałą pruską ordynację miejską z 1853 r., która nie uwzględniała specyfiki budującego się od podstaw miasta portowego i zaciążyła ujemnie na jego rozwoju.

W kwietniu 1926 r. została powołana Rada Miejska, w skład której weszło 12 radnych, przeważnie członków dawnej Rady Gminnej. Został również powołany Magistrat składający się z burmistrza i dwóch członków. Pierwszym burmistrzem był Augustyn Krause, Kaszub z pochodzenia, urodzony w Pierwoszyńcu, w powiecie puckim. W swej karierze zawodowej pełnił szereg funkcji administracyjnych. Przed przybyciem do Gdyni pracował w Pomorskim Urzędzie Wojewódzkim w Toruniu.

W grudniu 1926 r. odbyły się wybory do samorządu miejskiego, w wyniku których została wybrana nowa Rada Miejska. W swej działalności Rada natrafiła na szereg trudności, wynikających z braku doświadczeń w rozwiązywaniu problemów administracyjnych szybko budującego się miasta. Warunki administrowania Gdynią były dodatkowo utrudnione ze względu na ingerencję szeregu ministerstw zainteresowanych jej budową (Ministerstwo Przemysłu i Handlu, Ministerstwo Robót Publicznych, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Ministerstwo Skarbu itp.). Brak sił fachowych w różnych dziedzinach życia, szczególnie w administracji samorządowej, utrudniał racjonalne rozwiązywanie wyłaniających się problemów. Doprowadziło to do szeregu nieprawidłowości w zarządzaniu miastem. Wymienione czynniki, jak również znaczenie Gdyni dla gospodarki Polski spowodowały, że Rada Ministrów w październiku 1928 r. podjęła uchwałę o rozwiązaniu Rady Miejskiej i zawieszeniu burmistrza w jego czynnościach. Władze państwowe straciły zaufanie do miejscowych władz samorządowych, czego wyrazem było powołanie Delegata Rządu przy Magistracie w Gdyni. Zadaniem jego było sprawowanie nadzoru nad gospodarką miejską.

Obok władz samorządowych istniała w Gdyni władza państwowa w postaci starosty. Istniejący dualizm utrudniał współpracę wymienionych władz. Szybki rozwój portu i miasta, permanentne bezrobocie oraz wzrost nastrojów rewolucyjnych sprawiły, że władze państwowe zdecydowały się na przeprowadzenie reform zmierzających w kierunku ujednolicenia administracji Gdyni. W listopadzie 1930 r. wprowadzono tymczasowy ustrój komisaryczny. Naczelną władzę w Gdyni sprawował Komisarz Rządu, skupiający w swym ręku zakres władzy burmistrza, przewodniczącego Rady Miejskiej oraz starosty grodzkiego. Pierwszym pełniącym obowiązki Komisarza był Bronisław Biały, inspektor Wojewódzkiego Urzędu Pomorskiego w Toruniu. Okres jego działalności był bardzo krótki, trwał jedynie trzy miesiące. Jego dwaj następcy, Zygmunt Zambrowski i Seweryn Czerwiński, pełnili tę funkcję również bardzo krótko. Następny z kolei Komisarzem był Franciszek Sokół, przeniesiony ze stanowiska wicewojewody stanisławowskiego. Okazał się on dobrym gospodarzem i administratorem, odanym całkowicie Gdyni. Funkcję Komisarza sprawował od lutego 1933 r. do września 1939 r. Brał czynny udział w obronie Wybrzeża w 1939 r., jako Komisarz Obrony Cywilnej.

Po wygaśnięciu kadencji Rady Miejskiej z 1929 r. w 1933 r. została wybrana nowa Rada Miejska w liczbie 20 radnych, w tym 10 z nominacji władz państwowych. Komisaryczna forma rządów w Gdyni została wprowadzona początkowo jako tymczasowa na okres pięciu lat. W r. 1935 została przedłużona na dalsze trzy lata i ostatecznie z małymi modyfikacjami przetrwała do 1939 r.

Budowa portu i miasta Gdyni była wyrazem racjonalnego wykorzystania dostępu Polski do morza. Wywołała ona duże zainteresowanie społeczeństwa polskiego problematyką morską i pobudziła uczucia patriotyczne, które znalazły swój wyraz nie tylko w emocjonalnym ale i materialnym poparciu dla budującego się miasta. Gdynia

była zarazem początkiem polskiej samodzielnej polityki morskiej i zapoczątkowała rozwój własnej floty handlowej. Godnym podkreślenia było szybkie tempo budowy portu i miasta. Gdynia, która w latach 1926–1939 przekształcona została z małej wioski w wielki ośrodek miejski II Rzeczypospolitej, odgrywając doniosłą rolę w życiu gospodarczym kraju. Stworzone zostały niezbędne warunki dla funkcjonowania portu i miasta jako organicznej całości ściśle powiązanej z jej zapleczem gospodarczym.

Dynamiczny rozwój portu i miasta Gdyni przyniósł obok pozytywów również szereg elementów negatywnych, mających swe źródło w słabości gospodarczej Polski oraz brak doświadczeń w zakresie prowadzenia gospodarki morskiej.

Grzegorz Kurkiewicz

Profesor Urbanowicz – człowiek i dzieło



Przypadkowo natrafiłem kiedyś w gdańskiej bibliotece PAN na książeczkę pt. „10 lat związku „Korab”, wydaną w 1936 roku staraniem Związku Studentów Polaków Techniki Okrętowej Politechniki Gdańskiej. Zauważyłem, że często powtarza się w niej to samo nazwisko. Ten sam student narysował okładkę i winietki broszury, był autorem ciekawego i odkrywczego w treści artykułu o zmierzchu wielkich żaglowców, wreszcie z racji pełnionej funkcji prezesa związku rzecz opatrzył wstępem. Czytamy we wstępie, co następuje:

„...Składamy w ręce społeczeństwa polskiego księgę pierwszą i jedyną w swoim rodzaju. Czynimy to jednak bez wahania, gdyż, aczkolwiek świadomi jej braków, zapoczątkowaliśmy nią nowy dział polskiego piśmiennictwa technicznego — dział techniki okrętowej. Jest to dziedzina obca i nowa w całości polskiej myśli technicznej, gdyż bierze ona swój początek dopiero we współczesnej niepodległej Polsce i dopiero w latach ostatnich całość spraw morskich Polski zaczęła poważnie odczuwać jej brak dotychczasowy.

Technika okrętowa, a za nią i wielki przemysł okrętowy, stanowiący tak ważną

pozycję gospodarczą tylu państw morskich, dający pracę setkom tysięcy ludzi i ponad stu przemysłom pomocniczym, stwarzający mocarstwa morskie, polityczne i handlowe i zdobywający bogactwa dla swego kraju — ta technika okrętowa w dawnej Polsce nie istniała. Nasze dawne korwety i fregaty, które zwycięskie boje morskie staczały, były budowane zawsze przez zmyślnych majstrów-cudzoziemców, którzy starożytną sztukę skutniczy z dziada-pradziada w rodzinie strzegli, a tajemnicę jego niechętnie obcym zdradzali...”

Poglądy to dojrzałe, świadome celu, ale raczej w okresie międzywojennym odosobnione. Nasza myśl morską koncentrowała się wówczas na zagadnieniach żeglugi, gospodarki portowej, rybołówstwa, na złudnych mirażach kolonialnych itp. — pomijając przy tym, jako nierealną, możliwość uruchomienia rodzimego przemysłu okrętowego z odpowiednio rozbudowanym zapleczem. Hasło „Jutro na Madagaskar!” było bardziej popularne od konkretnej sprawy budowy „Olzy” w trudnych warunkach niewielkiej stoczni w Gdyni.

W takich czasach studiować budowę okrętów... Najbliższa rodzina z pobłażaniem obserwowała naszego studenta: — Z Witolda zawsze był taki romantyk! Mądrzy i doświadczeni ludzie doradzali jemu i innym zapaleńcom spod znaku Korabia: — Pano wie, chcecie zarabiać, to lepiej idźcie na medycynę! Czeka was po studiach tylko emigracja, bo w Polsce zdechniecie z głodu!

W takich czasach studiować w „Wolnym Mieście”... Trzeba było na to — nie wstydzmy się wielkich słów — hartu ducha, heroizmu, na współczesną nam miarę murzyńskiego studenta Jamesa Mereditha w USA. To wtedy właśnie na drzwiach „Cafe Langfuhr” we Wrzeszczu przybito tablicę z napisem „Polen und Hunden ist der Eintritt verboten”, a burszowie z rechem twierdzili, że jest to zniewaga... dla psów. Garstka Polaków-studentów tonęła w morzu niemieckim; żadnych kontaktów między nacjami nie było, formalni koledzy nie dostrzegali się wzajemnie. To w najlepszym przypadku, bo częstsze były ekscesy i szykany, niekiedy nawet ze strony części profesorów.

Ostoją i twierdzą polskości był Polski Dom Akademicki Bratniej Pomocy we Wrzeszczu, zachowany z pożogi i wykorzystywany dziś jako budynek szkolny. Związek „Korab” istnieje nadal, stosunkowo wielu byłych przedwojennych absolwentów zalicza się do ludzi szanowanych, możnych, wpływowych itd. — tym bardziej dziwi więc brak na zachowanym budynku jakiegokolwiek tablicy pamiątkowej. Reporterowi zwraca na to uwagę prof. Witold Urbanowicz, bo o nim tu mowa, mówiąc w zadumie:

— Mieszkam niedaleko i chodzę tam nieraz wieczorem na spacer. Zaglądam wtedy w okna mojego dawnego pokoju...

Nietypowy inspektor

W roku 1937 inżynier Urbanowicz miał już w kieszeni zdobyty solidną pracą dyplom, a za sobą ciekawe praktyki: w maszynowni duńskiego transatlantyka „Frederik VIII” do Ameryki, w St. Nazaire i w Le Havre, gdzie uczestniczył m.in. w budowie zamówionych dla Polski okrętów wojennych. Ale mimo zdobytych kwalifikacji i otwartej głowy nie było dla niego pracy w mizernej stoczni gdańskiej, ani też w Modlinie. Gdyby był absolwentem kierunku budowy maszyn okrętowych, to ostatecznie mógłby się przekwalifikować i znaleźć się w jakimkolwiek zakładzie przemysłowym. Komu jednak był potrzebny inżynier-okrętowiec czystej próby, czyli „architectus navium” według stosowanej na gdańskich dyplomach nomenklatury?

Był synem polskiego inżyniera-nafciarza z Baku, okręty urękały go jeszcze w czasie dziecięcych pobytów na Krymie, w Batumi, w czasie wycieczek do Odessy. Nie mógł ich budować, ale była szansa pośredniczenia w zamawianiu ich u innych, nadzoru nad budową i opieki w trakcie eksploatacji. Był młody i przedsiębiorczy, toteż znalazł się



w końcu tam, gdzie dotąd nikt jeszcze inżyniera budowy kadłubów okrętowych nie oglądał: w Spółce Akcyjnej „Żegluga Polska” w Gdyni, stowarzyszone z „Polbriem”, czyli Polsko-Brytyjskim Towarzystwem Okrętowym. Odtąd miał służyć swą wiedzą obu tym armatorom.

Młodemu, świeżo upieczonemu inżynierowi, według dzisiejszej terminologii po prostu stażyscie, dyrektor Kolał na przywitanie wręczył kilkanaście projektów ofertowych z różnych zamorskich stoczní z takim poleceniem:

— Niech pan z tym idzie do domu, wróci do mnie za tydzień i powie, która oferta jest najlepsza!

To się łatwo mówi i pisze, ale dzisiaj nazywamy to uczenie wyborem optymalnego wariantu statku, zatrudniając w tym celu — i słusznie — cały sztab konstruktorów. Młody inżynier siedział w pojedynkę dniami i nocami nad stosiem ofert, wkładając w zadanie całą wiedzę i entuzjazm. Po tygodniu, z uzasadnioną decyzją, zgłosił się u dyrektora. To się spodobało: całkiem niespodziewanie został z miejsca inspektorem technicznym, sam pośród wilków (morskich), starych praktyków-mechaników okrętowych, nieufnie patrzących na nowego... Ci ludzie, jak wspomina profesor Urbanowicz po latach „...doskonale wiedzieli, jak pływa się statkiem, ale jego budowę znali na tyle, na ile motorniczy wyznaje się w konstrukcji wozu tramwajowego...”

Pozycja młodego inżyniera stale rosła, a inspektorzy żyzmali się po cichu: — Niesłychane rzeczy, zachciewa mu się badań teoretycznych u Maiera w Bremie! Przez tego inżyniera jeszcze Żegluga Polska i Polbrić zbankrutują!

Ale kierownictwo darzyło te nowinki zaufaniem, popierał m.in. inżyniera Urbanowicza dyrektor handlowy Stanisław Darski,

znany po wojnie naukowcem i ekonomistą, jeden z ministrów żeglugi w odrodzonej ojczyźnie.

Wojna na własny rachunek

Jeszcze po maturze młody Witold Urbanowicz, zamiast służby w szkole podchorążych kawalerii, zgłosił się do służby w marynarce wojennej. Nie skorzystał przy tym z uprawnień cenzusu maturalnego, ale po kursie rekruckim w Świeciu jako zwykły, a potem starszy marynarz zamustrował na okręt wojenny „Wicher”. Na pokładzie „Wichra” popłynął m.in. do Francji po trumnę z prochami Słowackiego. A gdy nadszedł czas wrześniowej próby, w niewysokim stopniu starszego marynarza rezerwy został, jako inżynier, przydzielony do warsztatów naprawczych na Helu. Wojnę odbył na własny rachunek: zabrakło dla niego munduru i kwatery, mieszkał u rybaka na prawach letnika i rankiem wychodził... na wojnę.

Komizm sytuacji i tragiczne dni. Na jego oczach zatoneły okręty Rzeczypospolitej „Gryf” i „Wicher”, pod ostrzałem i bombami uczestniczył w demontażu dział, przenoszonych z wraków na ostatni brzońcy się jeszcze skrawek polskiego terytorium...

Po kapitulacji Helu starszy marynarz z cenzusem dał nura pomiędzy cywilów. Gestapo i policja wymiotły z Helu takich podejrzanych przybyszów do obozu we wsi Graniczna koło Gdańska. Obóz „Grenzdorf” był stosunkowo łagodną filią Stutthofu — reżim polegał na bezmyślnym noszeniu kamyków, pracy na niby, obliczonej na upokorzenie, na zmiękczenie. W końcu ich wypuścili na wolność. Już nie wracał do Gdyni; przez zieloną granicę dostał się do GG. Tam przetrwał — w małej fabryczce pracował w produkcji kieratów, wialni i młocarni.

— To była dla mnie dobra szkoła warszta-

towa — wspomina profesor Urbanowicz okres spędzony w zakładziku maszyn rolniczych.

Dyrektor

Nadeszło wyzwolenie. Grupa gdynian-tulaczy skrzyknęła się pod Warszawą, w Jaktorowie, w Milanówku. Podobno w Lublinie powstał jakiś rząd!

— No dobrze — ktoś zapytał — ale czy ten rząd interesuje się w ogóle sprawami morskimi?

To było dla nich najważniejsze. Oczekiwali, że tam ktoś sobie o nich przypomni, że będą nowej władzy potrzebni. Nadszedł taki sygnał: w połowie lutego 1945 roku około piętnastu osób, wśród nich inż. Urbanowicz, jedyny okrętowiec — znalazło się w Łodzi. Były nudy na pudy, oczekiwanie, zabijanie brydżem, wreszcie zjawił się w Łodzi inż. Henryk Sobański z Ministerstwa Przemysłu, człowiek obrotny i zaradny.

Z Łodzi etapami dążyli ku morzu. Był dłuższy postój w Bydgoszczy, dostatecznie długi, aby pewne sprawy przemysłu. Jeszcze na Wybrzeżu Gdańskim toczyły się walki, gdy 5 marca 1945 inż. Urbanowicz opracował memoriał, dotyczący przyszłości stoczní w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie.

A gdyby tak spróbować znaleźć ten dokument, wymykający się do tej pory profesjonalnym historykom? Jestem uparty, po wskazanym przez profesora śladzie trafiłem do Muzeum Morskiego w Gdańsku. I oto z wzruszeniem wertuję plik cienkich przebitek, zarejestrowany pod numerem inwentarzowym 252:

...W dobie obecnej aspekt ogólny przemysłu okrętowego zmienia się całkowicie — pisał inż. Urbanowicz w przededniu wyzwolenia Gdańska i Gdyni. — Musimy znaleźć dla niego miejsce, czyniąc przesunięcia historycz-

nie zupełnie nowe, bez precedensu przed wojną, do którego można by nawiązać. Podstawą są względy następujące:

1) uważamy za udowodnioną konieczność rozwoju handlu morskiego, którego instrumentem jest flota handlowa, wynosząca co najmniej 500 tys. BRT i zbudowana przez polski świat pracy w polskiej stoczni;

2) w przeciwieństwie do indolencji przedwojennych czynników rządowych, które nie doprowadziły do realizacji tak poważnej dziedziny przemysłu krajowego, obecny departament morski nie może kontynuować tego błędu i ujmie niewątpliwie całe zagadnienie w nowym świetle;

3) objęcie licznych stoczni, z których kilka stanowi wielkie zakłady, nakłada obowiązek zapoczątkowania dużego przemysłu okrętowego w Polsce, stwarzając nowe warsztaty dla świata pracy i nowe drogi rozwoju dla przemysłów pomocniczych;

4) kwestię sił fachowych uważamy za rozwiązana, gdyż w kilku latach przedwojennych do pracy wszedł zastęp kilkunastu inżynierów tej specjalności, których praca szybko zaznaczyła się w wynikach rozbudowy floty;

5) krajowy przemysł hutniczy i maszynowy może dostarczyć niezbędnych wyrobów, jak profile i blachy specjalne, silniki, maszyny, pompy, agregaty i turbiny typu morskiego, co było zapoczątkowane już przy budowie okrętów wojennych i handlowych w okresie przedwojennym...

Kapitałny to dokument i aż dziw, że do tej pory nie dostrzegany. Dziś wszyscy wiemy o tym, czym jest przemysł okrętowy dla kraju, dziś tezy memoriału zdają się być truizmami — ale wówczas? Mało tego — w części szczegółowej, której dla braku miejsca nie cytuję, dokument zawiera rozwiązania organizacyjne, które po wcieleniu w życie zdają się z powodzeniem trudną próbę praktyki. Praktyki niezapomnianego 1945 roku i następnych, pionierskich lat.

Autorowi ktoś bardzo chyba mądry pozostał realizację memoriału. Do oswobodzonego właśnie Gdańska dotarli z tzw. Morską Grupą Operacyjną i garstką przyszytych współpracowników. Rozpoczął od prozy życia, od wyszukania miejsca na ziemi. W dniu 13 maja 1945 r. zalegalizowano prowizorycznie Zjednoczenie Stoczni Polskich, a inż. Urbanowicz mianowano „tymczasowym kierownikiem”. Dnia 14 czerwca, po licznych zabiegach i obronie stoczni przed zakusami Centralnego Urzędu Planowania, efemerycznego Północnego Zjednoczenia Przemysłu Metalowego i innych chętnych na ulokowanie na stałe w obiektach stoczniowych produkcji wagonów i lokomotyw, minister przemysłu już na serio usankcjonował ZSP. Inż. Urbanowicz został dyrektorem technicznym, dyrektorem naczelnym mianowano inż. Henryka Umiastowskiego.

W zimie 1945 roku wyjechał do Szwecji na rekonesans, a potem do Londynu, gdzie znalazła się większość polskich przedwojennych okrętowców. Spotkali się z przybyłym z nieznanego, nowej, „komunistycznej” Polski w mieszkaniu prywatnym. Mówił przez trzy godziny bez przerwy, do zdarcia gardła. A potem była runda pytań. Widział, że mu zadrzeczka. Tłumaczył, że jest nareszcie szansą tego, co było sensem ich życia — budowy okrętów w Polsce. Mówił, że tu entuzjazm, że ludzie pracują, nie pytając o pieniądze. Opowiadał, jak o szklanych domach — o polskich stoczniach „od Braniewa aż po Szczecin”, koloryzował w imię sprawy.

— Może byśmy spotkali się dziś po lunchu — telefonował do inż. Urbanowicza nazajutrz jeden z uczestników spotkania, młody, energiczny blondyn o twarzy cherubinka. Był absolwentem gdańskiej uczelni, a w Londynie dostał pracę w stoczni Vickers-Armstrong. Obiecujący młodzieniec, inż. Jerzy Doerffer, wrócił do kraju i jest dziś uznanym luminarzem nauki; wraz z nim wróciło kilku jeszcze namówionych.

Pięć lat technicznego dyrektora: mieści się w nich „Soldek” i udane „lewanty”, zmaganie się z trudnościami startu, triumfy i upadki. Mieści się w nich męska decyzja rezygnacji z zajmowanego stanowiska.

— Słuchajcie dyrektorze — trzymał go za guzik pewien raczej słusznie zapomniany wiceminister — wy tu musicie zrobić nam dużo statków, bardzo dużo, o wiele więcej, niż nam namalowaliście na tym rysunku!

Wiceminister ów był dziennikarzem z warszawskiego czerwonika, drugi zaś z wiceministrów, też od żeglugi, był... ginekologiem. Inż. Urbanowicz nie poszedł na łatwy kompromis, na „jakoś to będzie”. Kilka miesięcy upłynęło, zanim — po rezygnacji — zgłosił się następca.

— Panie kolego — zwierzył się ów następca, miły i jowialny starszy już inżynier — ja jestem specjalistą od rur żelaznych, statku na oczy nie widziałem. Mam u nas na Śląsku piękny domek, ogródek...

— Na miłość boską, to jak pan tu trafił?

— A po prostu: wysłano mnie do stolicy, a tam kazano zgłosić się w Ministerstwie Żeglugi. W ministerstwie powiedziano: — Pojedźcie towarzyszu do Gdańska, będziecie dyrektorem! No to jestem...

Dwaj dyrektorzy, stary i nowy, poszli pod kadłub stojącego właśnie na pochylni „lewanta”. Był wykład:

— Popatrz pan — to właśnie jest statek. Tym ostrym końcem jedźcie do przodu. Niech pan nigdy nie mówi „tył”, tylko „rufa”. I to, panie kolego, nie są żadne ściany boczne, tylko burty...

Ten nowy dyrektorzył tylko rok. Odszedł, gdy kompendium wiadomości o rufie i burtach okazało się już niewystarczające. A tymczasem inż. Urbanowicz, po krótkim okresie, jak to nazywa, „w lodowce”, otrzymał zadanie organizowania nowej, tym razem naukowo-badawczej placówki.

Nowy MIT, czyli Morski Instytut Techniczny, pączkował przy boku już istniejącego biura projektów. Po pewnym czasie połączył się z istniejącym jeszcze przed wojną Instytutem Bałtyckim w Instytut Morski. Inż. Urbanowicz sprawował w nim funkcje zastępcy dyrektora do spraw naukowych; w tym okresie, trochę przypadkowo, doszło do pierwszego kontaktu z Politechniką Gdańską, konkretnie z wydziałem architektury.

Zaczął się od serii odczytów...

Architektura okrętów

Okręty, a zwłaszcza statki pasażerskie, winny nie tylko odpowiadać parametrom technicznym i wymogom ekonomiki. Okręty powinny być piękne. Odpowiadać określonym gustom epoki, przywołać obserwatorowi na myśl siłę, prędkość, dzielność morską.

To instynktownie tkwi w umyśle projektanta, to odczuwają wszyscy ludzie morza — nikt jednak prawdy tak oczywistej nie wyraził językiem nauki, nikt jej nie oparł o naukowy aparat badań i czynności pomocniczych.

Profesor Witold Urbanowicz stworzył od podstaw nową dyscyplinę architektoniczną, zajmującą się estetycznym kształtowaniem nadwodnej części statku, projektowaniem układu przestrzennego i kształtowaniem okrętowego wnętrza.

Trzeba było znaleźć przede wszystkim wspólny kod, zrozumiały dla konstruktorów i architektów. Trzeba było pogodzić zrozumią ambicję zawodową tych pierwszych z stale rosnącym udziałem tych drugich, specjalistów dziedziny organizacji przestrzeni, komfortu i estetyki. Konstruktorzy uważali początkowo to za ingerencję w własne prawo do tworzenia statków; nie pojmowali tego, że architektki muszą odą uczestniczyć w ich pracy w stopniu bodaj większym od elektryków, projektantów okrętowych chłodzi, klimatyzacji.

Nową koncepcję atakowano z różnych stron, w zacietrzewionych i niewybrednych niekiedy polemikach. Zasadniczą trudność stanowiła tu odmienność kryteriów: konstruktorzy są tylko technikami, myślą tylko technicznie i racjonalnie. Architektki, to też technicy, ale w pewnym sensie i z racji przygotowania — także humaniści; wszak miarą ich poczyną i celem jest człowiek — w tym przypadku żyjący, pracujący i mieszkający na okręcie.

Do zespolenia kryteriów — wyklada profesor w „Architekturze okrętów” — muszą świadomie dążyć obie strony. Bo przecież (tu zacytuje) „...technika stoi na usługach życia i jest środkiem do wydobycia jego walorów, a nie celem sama dla siebie...” (Architektura okrętów, wyd. II, s. 113).

Trudność dodatkowa, to odmienne konwencje rysunku, stosowane przez konstruktorów i architektów. Tym ostatnim właściwa jest większa swoboda, stosowanie kolorów. Trzeba jednych i drugich nauczyć swobodnie odczytywać i rozumieć rysunki partnera.

W swoim dziele odpowiedział profesor na dziesiątki temu podobnych problemów. Ale „Architektura okrętów” to nie tylko praca naukowa, fundament nowej dyscypliny — to także podręcznik; uczy, jak w praktyce przeżywać tu naszkicowane przykładowo trudności.

Niezwykła to książka. Grube, bogato ilustrowane, prawie albumowe tomisko (druk trwał rok i osiem miesięcy!) napisane jest doskonałym, starannym językiem, pełnym jednocześnie ekspresji a niekiedy i humoru. Porywa czytelnika, pozyskuje dla spraw morza, uczy pojmować piękno okrętów.

Mamy już dwa wydania, przy czym drugie zawiera dużo nowych myśli i informacji. Pierwsze wydanie w całości przetłumaczono na język rosyjski i wydano jako „Architektura sudow” w ZSRR. Autor kilkakrotnie zapraszany był przez uczelnie radzieckie na gościnne wykłady. Piszą już do profesora radzieccy czytelnicy; docent R.P. Powilejko z Nowosybirsk nadesłał np. ośmiostoronicową i jak się zorientowałem — pełną komplemętów epistolę. Były bardzo pochlebne recenzje w fachowej prasie na Zachodzie, m.in. w NRF i w Anglii. Toczą się pertraktacje w sprawie dalszych tłumaczeń. Szczególnie nową dyscypliną interesują się w krajach, które — jak Włochy — zaangażowane są w budowę statków pasażerskich.

Nowy typ specjalisty — architekta okrętów — po okresie nieufności zdobywa sobie uznanie. Takim specjalistą jest m.in. współtwórca projektu statku „Manifest Lipcowy”, mgr inż. arch. Jan Netzel.

W zakładzie, prowadzonym przez profesora, powstaje wiele ciekawych i możliwych do aplikacji w praktyce projektów statków. Są to głównie projekty jednostek pasażerskich, przeznaczonych dla rodzimej, „bezewizowej” turystyki morskiej, będącej idea profesora. Rocznie dyplomy specjalistów w dziedzinie architektury morskiej uzyskuje trzech do siedmiu absolwentów. Nie ma trudności z ich zatrudnieniem, gdyż skwapliwie pochłania ich zaplecze konstrukcyjne naszego przemysłu okrętowego. ■

Jadwiga Winter

Znany człowiek i morze

W Barczewie, gdzie się urodził, powstało muzeum jego imienia, swoim patronem mianowała go Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Olsztynie, szkoły muzyczne w Szczecinie, Gdańsku, Tucholi, Kwidzynie i Braniewie a także w amerykańskim Detroit. W różnych miastach Polski istnieją ulice jego nazwiska. Fragmenty jego melodii są stałymi sygnałami rozgłośni w Poznaniu i Olsztynie jak również telewizji w Gdańsku. Jeden z dziesięciotysięczników PLO otrzymał jego miano. W 1966 roku odbyła się w Gdańsku sesja naukowa poświęcona jego twórczości.

Feliks Nowowiejski, bo o nim mowa, z morzem zetknął się najpierw na Warmii, skąd pochodził. Później zwiedził wybrzeże od Sambii po Rugię, poznał Kartaginę i Bliski Wschód. W drodze do Ameryki przeżył gwałtowną burzę morską. Wszystko to znalazło wyraz w jego twórczości. Chociaż osie-

dłił się na stałe w Poznaniu, sentyment dla żywiołu morskiego pozostał.

Skomponował blisko pół setki pieśni o morzu. Jedną z pierwszych jego pieśni solowych została napisana do słów irlandzkiego poety Tomasza Moore'a — „O święta godzino, gdy na cichym morzu”. W r. 1919 powstał Hymn do Bałtyku („Wolności słońce”), który wkrótce osiągnął taką popularność, jak skomponowana dziewięć lat wcześniej „Rota” do słów Marii Konopnickiej. Sukcesy tych i innych podobnego typu pieśni sprawiły nawet, że Nowowiejski zaczął stanowić przedmiot ataków i jadowitych wierszyków. Krytycy widać zawsze uważali, że jeżeli coś osiągnęło popularność, to już tym samym jest niewiele warte. Morskie pieśni Nowowiejskiego zostały wydane w dwóch zbiorach — „Śpiewnik morski” (1935) i „Pieśni o morzu” (1948), ten drugi już po śmierci kompozytora. Wśród tych utworów na chór mieszany, obok pieśni przeznaczonych do wykonywania na estradzie, są także masowe, przeznaczone do śpiewania przez ogół. W „Śpiewniku morskim” pieśni mają układ historyczny — od „Śpiewu rycerzy Krzywoustego” poprzez „Zwycięstwo floty polskiej pod Oliwą” do „Młotów Gdyni”.

28 listopada 1924 roku w Poznaniu odbyła się prapremiera pierwszej polskiej opery poświęconej Morzu Bałtyckiemu. Była to „Legenda Bałtyku” Nowowiejskiego. Akcja tej opery, do której libretto napisała Waleria Szalay-Groele rozgrywa się w erze wczesnohistorycznej w noc z 23 na 24 czerwca. Treść w największym skrócie wygląda następująco: żeglarz Doman kocha córkę starego Mestwina, Bognę. Mestwin sprzyja jednak bogatemu handlarzowi bursztynów, Luborowi, który również stara się o rękę Bogny. Stawia więc Domanowi nierealny pozor nie do spełnienia warunek — odda mu rękę córki, jeżeli Doman zdobędzie pierścień Juraty, królowej zatopionego miasta Winetę. Młody żeglarz rusza na poszukiwania, Lubor tymczasem usiłuje zdobyć dziewczynę siłą. Odepchnięty mści się — oskarża Bognę o czary. Od śmierci ratuje ją powrót Domana z czarodziejskim pierścieniem. Lubor rzuca się ze skały do morza. Obraz trzeci obrazujący poszukiwanie Domana rozgrywa się w całości na dnie morza.

„Legendę” pisał Nowowiejski właściwie przez całe życie. Niektóre fragmenty istniały już przed rokiem 1914, inne zmieniał przed każdorazową premierą. Opera zyskała na ogół uznanie. Pierwsza realizacja osiągnęła liczbę blisko pięćdziesięciu przedstawień. Po wojnie Poznań znów wystawił „Legendę” w 1955 roku. Grano ją poza tym we Lwowie, Katowicach, Warszawie, Wrocławiu a w 1959 roku wystawił ją Rostock. W nadmorskim Gdańsku nie znalazła chętnych do realizacji, choć wydawać by się mogło, że Opera Bałtycka powinna być zainteresowana bałtycką operą.

W 1935 roku skomponował Nowowiejski poemat na sopran z orkiestrą „Róże dla Safo” do słów Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej. Nieszczęśliwie zakochana Safo chce „morze zarzucić na głowę”, by nikt nie dojrzał jej łez, które wylewa z rozpacz, że żeglarz Faon, darzony przez nią uczuciem, nie rozumie jej ani jej poezji.

W tym samym roku co „Róże dla Safo” skomponował Nowowiejski III Symfonię, której „wstępne allegro jest chyba niedwuznacznie obrazem burzy. Trochę przypomina w ogólnej ekspresji „Legendę Bałtyku”, aczkolwiek inwencja i harmonia są zupełnie różne. W andante i finale szmerze łagodnie fala morska”, jak opisuje syn kompozytora „Tyg. morski”, 1962 nr 31.

Wśród utworów na chór męski a capella „Danae” do słów Symonidesa z Keos przedstawia obraz burzy morskiej, która stopniowo zamienia się, za sprawą Zeusa, w cichą pogodę. Impresjonistyczne fale uderzające o brzeg morza słychać w fantazji fortepianowej „Gontyna w Arkonie”.

W bibliotece Raczyńskich w Poznaniu spłonęły zaawansowane szkice do orkiestralnych „Obrazów Palestyńskich”. Pierwszy spo-

śród trzech fragmentów miał być zatytułowany „Morze Martwe”.

Nowowiejski myślał jeszcze o muzyce symfonicznej opiewającej urok Bałtyku, ale ciężka choroba neurologiczna udaremniła jego zamysły. Pozostała z tego tylko naszkicowana kartka, do której nie było mu już dane powrócić. Czy ktoś podejmie jego dzieło? Wielka symfonia Bałtyku czeka na swojego kompozytora. ■

Ewa Moskalówna

Rozmowy o morzu i twórczości

MORZE JEST W NAS

Pierwszy raz morze zobaczyłem w 1933 roku — mówi Kazimierz Sramkiewicz — miałem wtedy 19 lat i byłem po pierwszym roku studiów na Politechnice Lwowskiej. Na tej właśnie uczelni, tak przecież pozornie od morza dalekiej, była grupa osób nim zafascynowanych. Tak dalece, że założyli Akademicki Związek Morski.

Akademicki Związek Morski zorganizował letni obóz międzynarodowy nad Bałtykiem — przy tej okazji mój rozmówca zobaczył morze po raz pierwszy w życiu.

Wojna zaskoczyła Kazimierza Sramkiewicza u rodziny w Poznańskim. Okupację spędził pracując jako „rysownik techniczny” w



urzędzie miejskim małego miasteczka. Wtedy to malowanie było mu ostoją moralną. Kiedy uspokoił się chaos pierwszych powojennych dni widzimy go znowu — jak przed wojną — jako asystenta tym razem na Politechnice Gdańskiej.

Z czasem rzucił architekturę dla malarstwa — przechodził z Politechniki Gdańskiej do Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Sopocie. Jest posiadaczem dyplomu

nr 1 Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Toruńskiego.

Jego syn jest już gdańszczaninem, ale on sam też się nim czuje po tylu latach spędzonych na Wybrzeżu. Dla morza ma duży szacunek jako żywiołu niebezpiecznego, niepodległego człowiekowi, dlatego tak bardzo ceni ludzi, którzy muszą ten żywioł ujarzmić w codziennej pracy.

Zapytany o swoje malarstwo Kazimierz Sramkiewicz mówi: — Malarstwo jest dla mnie formą afirmacji życia, dialogiem z innymi ludźmi. Wyrażam w swoim malarstwie coś, coś istotnego, poza fabułą. Ale dlatego właśnie nie mogę zamykać się w jednym temacie. Uważam, że morze jest żywiołem określającym nas, jako naród, w sposób istotny. Morze można oczywiście sprowadzić do symbolu widokowego. Ale dla mnie jest ono żywiołem wizualnym, przemawiającym do instynktu, poprzez zmysły. Okręt na morzu jest przedmiotem realnym, a jednocześnie znakiem przemawiającym do naszej wyobraźni. Sygnalizuje utajoną możliwość dramatu, intrygi.

Na zakończenie rozmowy artysta opowiada o ruinach świątyń starożytnych, widzianych w podróży. Budulec, jakim się posłużono, pozornie jednolity — po bliższym przyjrzeniu się — jest zbiorowiskiem muszelek. Te muszelki ukryte w kamieniu, tworzące go, też są symbolem. A więc morze przenika wszędzie, pulsuje ukrytym znaczeniem w głębi nas? ■

SPADKOBIERCY ŻEGLARZY

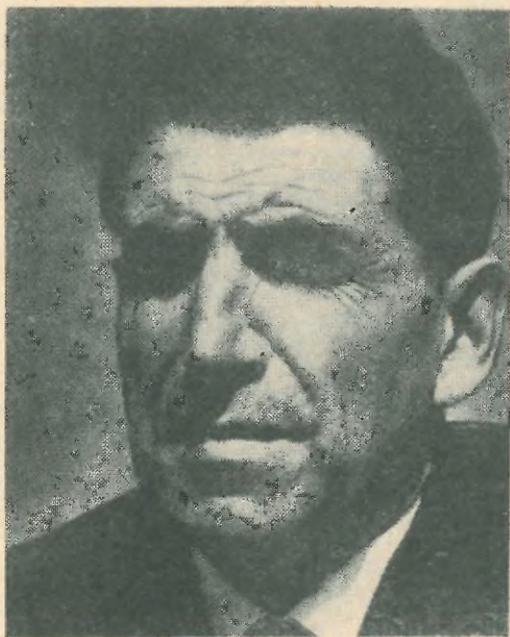
Kapitan żeglugi wielkiej Karol Olgierd Borchardt, zapytany o swoje książki, mówi, że — choć wielu w to wątpi — pisze prawdę i tylko prawdę... I w rzeczywistości, tak jak i w swojej książce „Znaczy kapitan”, decyzję opisania niebanalnych wypadków swego życia podjął nad grobem niezapomnianego Kapitana — kapitana żeglugi wielkiej Mamerta Stankiewicza.

O nim napisał w swojej książce — „(...) nigdy Pan nie zadrasnął godności osobistej ludzi, za których pracę był Pan odpowiedzialny. Wszystkie uwagi odnosiły się wyłącznie i zawsze do wykonanej roboty i w miarę możliwości powiedziane były zawsze bez świadków. Ten precyzyjny przyrząd nosił u Pana skryzalizowaną nazwę: ZNACZY KAPITAN. Jako przyrząd nawigacyjny Znaczy Kapitan zmieniał się i doskonalił stale. (...) W jaki sposób wytłumaczyć ludziom, że ZNACZY KAPITAN nie rodzi się, lecz tworzy latami z romantyzmu, siły woli i wiedzy?”

Karol Borchardt do pisania swoich książek przygotowuje się starannie; zbiera do nich materiały, gromadzi dokumentację. I chociaż w jego książce Szaman Morski — „uważał za główny obowiązek kapitana „czarowanie pasażerów, opierając się na naukowej zasadzie, że to, co daje nam szczęście, nie jest fikcją”. — to kapitan Borchardt pozostaje wiernym faktem.

Oczywiście, że stosuję selekcję materiału — mówi — przecież zrywając kwiaty, wybiera się najpiękniejsze. Niemniej jednak tylko prawda jest w jego książkach, bo tylko to może nauczyć — nauczyć, tak samo jak uczy uczniów w szkole. A uczy tych uczniów już dwadzieścia lat — w Państwowej Szkole Morskiej i Szkole Rybołówstwa Morskiego w Gdyni.

Kapitan Borchardt, wychowany na żaglowcu „Lwów”, tak pisze — „Wielu ludziom wydaje się, że obecnie wskutek olbrzymiego postępu technicznego przekreślone zostało raz na zawsze znaczenie dawniejszego kapitana żaglowca, jak również żaglowca jako podstawowego środka wychowawczego oficera marynarki. Po dziś dzień jednak są takie chwile na morzu, kiedy kapitan musi się oprzeć wyłącznie na zdoby-



tych przez siebie wiadomościach i doświadczeniu oraz sam musi decydować”.

A ZNACZY KAPITAN taką w swoim pamiętniku umieścił refleksję — „I jak nieraz już przedtem znowu myślałem, że czyż warto poświęcać pracę na morzu dla życia i pracy na lądzie, gdzie spokój i szczęście są złudne i gdzie natura człowieka nie ma zawsze dockoła siebie potężnego żywiołu morza, który nie jest ani wrogi, ani przyjacielski, ale bezwzględny i wymaga od człowieka ciągłego napięcia jego uwagi, ażeby nie być zgniecionym”.

Autor książki „Znaczy kapitan” mówi: — Niebezpieczeństwo na morzu jest najlepszym czynnikiem wychowawczym. Morze kształtuje osobowość ludzi — i robi to bezbłędnie, bo na morzu nie ma kary i nagrody, są tylko konsekwencje.

Z naszej floty możemy być dumni — mówi kapitan Karol Borchardt. — A flota rybacka, dokonująca połowów także i między górami lodowymi jest sprawdzianem charakteru, siły woli — a także kunsztu zawodowego. Rybacy nasi są wspaniałymi nawigatorami, godnymi spadkobiercami żeglarzy.

Tak więc kapitan żegluga wielkiej Karol Borchardt nie tylko uważa, że — Morze nie jest siłą niszczącą, przeciwnie, wyzwala to, co w człowieku najlepsze — ma także na poparcie swojej opinii ważne argumenty.

Sam osiągnął w życiu swoje spełnienie. I to właśnie na morzu, poprzez wymarzony statek — „Lwów”. Jako uczeń gimnazjum — „zamierał z zachwyty słuchając opowiadań o podróżach na wspaniałym żaglowcu szkolnym „Lwów”, zakupionym w roku 1920 i pomalowanym jeszcze w czarno-białe pasy, tak jak ongiś kazał malować swe okręty Nelson”. Rzeczywiście na tym żaglowcu uczył się zawodu marynarza, by z czasem na innym żaglowcu „Darze Pomorza” zostać starszym oficerem.

Teraz jest wychowawcą młodzieży — i z pewnością jest dla niej takim samym wzorcem osobowości, jak kiedyś był dla niego ZNACZY KAPITAN.

MORZE TO ŻYCIE

FRANCISZEK FENIKOWSKI może już obchodzić dwudziestopięciolecie twórczości. 15 czerwca 1945 roku Jarosław Iwaszkiewicz wydrukował mu dwa wiersze w poznańskim „Życiu Literackim”. Pierwsze wiersze napisał nad morzem; tu zawsze spędzał wakacje.

Ojciec pisarza urzeczony był Gdańskiem. Jemu właśnie zawdzięcza tę piękną marnię — mówi Franciszek Fenikowski. Długo wędrówki z ojcem po przedwojennym Gdańsku, kiedy to bez końca oglądało się dosłownie wszystko, co tylko było obejrzenia god-

ne — owocowały pięknie po latach. Aurę miasta bogatego i dumnego, o własnym obyczaju, własnym stylu życia — wskrzesza Franciszek Fenikowski niejednokrotnie na kartach swoich książek. Dość przypomnieć „Rękopis z gospody „Pod Łososiem””. Nie mówiąc już o stałych, poświęconych Gdańskowi i jego historii, publikacjach na łamach prasy codziennej.

W druku jest książka — album „Pod Tarzą Sobieskiego”, określana przez autora jako spacer po Trójmieście. Spacer przeplatany anegdotami, zachowującymi jednak chronologię. W tej lekkiej formie poznajemy historię trzech miast. Tytuł książki został wzięty od konstelacji, nazwanej tak przez Heweliusza. Kiedy wróciłem w 1945 roku do Gdańska — opowiada Franciszek Fenikowski — przekonałem się, że w Gdańsku pozostała jedna rzecz, której Niemcy zniszczyć nie zdołali — gwiazdy polskie nad Gdańskiem.

A morze? — pytam — pojmowane jest przecież nieraz jako niemożliwy do okiełznania żywioł wrogi i niszczący.

Nie — odpowiada autor „Rękopisu z gospody „Pod Łososiem”” — mnie morze pomaga żyć. Uspokaja. Morze to życie.

To symboliczne, ale nigdy morze nie wywołało u mego rozmówcy choroby, nie bez przyczyny morską zwaną. Kiedyś, w czasie podróży ze Szwecji do Finlandii, był jedynym, który się jej oparł. Żądając jeszcze — ku zdziwieniu stewarda — podwójnych porcji sztormowych. Zasługując sobie tym zresztą na wdzięczność kucharza, który miał westchnąć — dzięki panu jest jeszcze dla kogo gotować na tym statku...

Wspomniana podróż morską nie była jedyna, mógł więc pisarz poznać ludzi morza — na co dzień. Dlatego uważa, że morze kształci ludzi, którzy na nim pracują. Tam właśnie nie wychodzą na jaw wszystkie wady człowieka, te nawet, które mogłyby ująć niezauważone w dużym społeczeństwie. Bo przecież — Jonasz, to po prostu ten, który partaczy. Z drugiej strony szacunek musi budzić ogromna solidarność ludzi morza.

Uczucom tym Franciszek Fenikowski dawał wyraz jako pisarz. W formie chyba najpełniejszej w zbiorze wydanych przez Wydawnictwo Morskie wierszy — „Bal kapitański”. Przypomnijmy sobie fragment wiersza „Za tych co na morzu...”: —

*nie zwykły rozbitków ni jeden kapitan
pytać z oddali o kolor bandery,
lecz każdy zmienia kurs i „cała naprzód”
pospiesza, aż się w punkcie katastrofy
zbiegną pieniądze kilwatery statków
— promienie wielkiej gwiazdy, jednoczącej*

*w nadziei, wierze, surowej miłości
wszystkich na świecie pracowników
morza.*

*Kto zgadnie, jakie prawa rządzić będą
sumieniem ludzi, co nadejdą po nas?*

*Ja wiem jedynie, że nikt praw piękniejszych
nie stworzy nad to marynarskie prawo;*

„Balu kapitańskiego”, podobnie jak „Rękopisu z gospody „Pod Łososiem””, podobnie jak innych książek Franciszka Fenikowskiego — nie można dostać. „Rękopis z gospody „Pod Łososiem”” został napisany dlatego, że takiej książki nie było. Wobec tego autor „Balu kapitańskiego” uznał, że zostanie autorem także i tej książki — skoro ma ochotę ją przeczytać.

A, mówiąc poważnie, właśnie ta książka pomyślana została jako testament. Po prostu dlatego, że pisana była wtedy, kiedy lekarze nie rokowali już nadziei. Mylili się, na szczęście.

Jest w tej książce symboliczna scena stopniowego budzenia się bohatera z sennego koszmaru. Bo granica między snem a jawą nie zawsze jest wyraźna — mówi autor — przytaczając „Życie snem” Calderona. Powołuje się przy tym na książkę, która mu się przyśniła. To „Zielony kałamarz”.

Niebawem ukaże się w „Czytelniku” — „Kaper z „Morskiego Psa”, a potem na-

stępne tomy wznowionej morskiej trylogii. W przygotowaniu jest książka o Toruniu dla „Naszej Księgarni”.

Ale najciekawszą książką, jaką napiszę — mówi pisarz — będą moje pamiętniki; jeśli je napiszę. I dodaje (pełen skromności i dystansu) — moje życie nie było ciekawe. Ale byłem świadkiem — rzeczy ciekawych.

Mimo licznych podróży nie lubi gromadnych wycieczek, tłumów. Ceni spokój; w swoim czasie stoczył zwycięską walkę przeciw założeniu telefonu. Uważa, że człowiek skazany jest na samotność, ale też dopiero ona pozwala mu wszystko odebrać w pełni.

Samotność i spokój. Wylot uliczki kończy się morzem.

Ewa Nawrocka

„MORZE DALEKIE, MORZE BLISKIE”

2 kwietnia odbyła się w Gdańsku premiera „rzeczy scenicznej”, zatytułowanej „Morze dalekie — morze bliskie”. Na scenariusz tego przedstawienia — jak informują realizatorzy — złożyły się większe fragmenty i ułamki pamiętników ludzi morza. Teatr czerpał z obfitego i różnorodnego materiału, jaki przyniósł konkurs rozpisany przez miesięcznik „Litera” oraz Związek Marynarzy i Portowców. Materiały, jakimi dysponował teatr, nie tworzyły gotowego tekstu dramatycznego, który można byłoby „zagrać”. Wspomnienia pisane przez robotników portowych, dokerów, rybaków, marynarzy, działaczy związkowych..., ludzi niejednokrotnie po raz pierwszy biorących pióro do ręki, wymagały dopiero opracowania, zmierzającego do wydobycia z nich konfliktowości dramaturgicznej, a następnie spójności tych różnorodnych fragmentów w jednolitą całość.

Wizerunek marynarza-rybaka-stoczniońca, wyłaniający się z materiału literackiego, okazał się schematyczny, powierzchowny, zdecydowanie odheroizowany, a nawet powiedzialabym, sprowadzony do popsólności. Cóż, widocznie marynarz przestał być bohaterem na miarę romantyczną, wrósł w naszą codzienną rzeczywistość i w niej się roztopił. Swoją odrębność manifestuje dość problematycznymi cnotami, specyficzną swobodą bycia, nie zawsze szlachetnym stosunkiem do pracy i kaleczącym mowę polską żargonem.

Skądinąd słusznie, że pamiętniki ludzi morza pokazują ich samych bez upiększeń i literackich stylizacji, ale chciałabym zobaczyć w tych ludziach coś więcej, niż ich prywatne sprawy: smutne i wesołe — jakąś prawdę o Człowieku, jakiś wymiar uniwersalny, ogólnoludzki, a nie tylko sztafarz i kostium.

Marynarz-rybak-stoczniowiec, to człowiek, który z racji swego zawodu, wykonywanej pracy, trybu życia stanowi charakterystyczną i skomplikowaną osobowość. Jest w niej coś niepowtarzalnego, jakiś element egzotyki, tak zawsze frapujący zwykłe „szczerzy lądowe”. Są to ludzie jakby z natury przeznaczeni do roli bohaterów, bo życie i praca stwarza im okoliczności do manifestowania postaw i dokonywania wyborów. Jak nikt inny zostają wystawiani na próby, doświadczani przez życie, narażani na przeciwieństwa losu. Jest w nich potencjalnie ukryty wymiar uniwersalny, pewna doza niezwykłości, która fascynuje i skłania do podziwu. A jeszcze fakt, że tak blisko, na co dzień obcują z morzem, żywiołem nieogarnionym i tajemniczym dla mieszkańców lądu; że poruszają się w tak rozległej przestrzeni, że doświadczają poczucia Nieskończoności a i jak nikt inny mogą zakosztować smaku Swobody; że ich związek z ziemią i domem jest tak szczególny, że nawet miłość i śmierć przeżywają inaczej — to wszystko stawia ich

wśród kandydatów na bohaterów w pozycji szczególnie uprzywilejowanej, podsuwając gotowe konflikty, dramatyczne rozwiązania i głębię psychologiczną, a nade wszystko egzotykę i poezję.

W tekstach, które posłużyły za materiał do scenariusza (opracowanie Stanisława Hebanowskiego) niewiele się z tego wszystkiego znalazło, zaledwie jakieś drobne rysy i związki. Dlatego wyrazy uznania i podziwu należą się teatrowi za to, że z tak wątego pod względem dramaturgicznym i tak słabutkiego literacko tekstu zmontował „rzec” istotnie sceniczną. Powstało widowisko złożone z 12 epizodów luźno ze sobą powiązanych nastrojem i atmosferą, układających się w dwie odrębne części. Część pierwsza obejmuje 7 epizodów: „Gdynia mojej młodości” wg Wacława Zagrodzkiego, „Dziewczyna — proch i dynamit” wg Kazimierza Niemyckiego, „List” wg Andrzeja Kalickiego, „Dokerzy” wg Czesława Kapronia, „Topielcy” wg Stanisława Kadłubowskiego, „Na maszcie” wg Jerzego Pachlowskiego, „Garland” wg Czesława Dąbrowskiego. Część druga cztery epizody (w trakcie trwania przedstawień usunięto epizod „Nad rybą”) — „Wićkowski, jaki ty jesteś” oraz „Strachy na wróble” wg Czesława Schabowskiego, „Morze dalekie” wg Henryka Karbowiaka, „Jantar” wg Tadeusza Jędrzejkiewicza. Kolejność epizodów, ich dobór, wydają się być nie motywowane żadną wyraźną zasadą; epizody dotyczące czasów przedwojennych i powojennych mieszają się ze sobą, niektóre z nich są pod względem czasu nieokreślone, jakby bezczasowe. Mimo to całość widowiska ma wyraźne czasowo ramy, ujęte w precyzyjne daty 1920—1970. Ramy te wyznaczają trzy epizody umieszczone w szczególnie ważnych momentach przedstawienia. Epizod I („Gdynia mojej młodości”) każe nam cofnąć się pamięcią pół wieku wstecz i towarzyszyć autorowi wspomnień w spotkaniu ze Stefanem Żeromskim. Kończący część pierwszą epizod VII („Garland”) przenosi nas w czas wojny, przypominając udział „Garlanda” w dramatycznym konwoju do Murmańska. Natomiast zamykający część drugą epizod XII („Jantar”) kończy się sceną chrztu „Manifestu Lipcowego”, naszego 55-tysięcznika, zbudowanego w Stoczni Gdynskiej eksperymentalną metodą półówkową. Te trzy epizody sygnalizują upływ czasu, wprowadzając pewien porządek chronologiczny w materię widowiska.

Prócz tych czasowych ram widowisko posiada ramy nastrojowe w postaci zespołowych scen rozpoczynających i kończących przedstawienie, w których chór marynarzy z przodownikiem (Tadeusz Gwiazdowski) śpiewa pełną zadumy i liryzmu piosenkę o morzu. Zresztą piosenka jako przewijający się motyw powraca kilkakrotnie, wnosząc nastrojowość i element folkloru. Przedstawienie staje się czymś na kształt marynarskiej ballady z refrenem, złożonej z kilku zwrotek-obrazów, w której spletają się ze sobą epicka opisowość, dramatyczny konflikt i liryzm poezji. Opisowości tu najwięcej — monologi (a one przeważają) wygłaszane do widowni z proscenium i z głębi sceny są niekiedy, o ile pozwala na to słowo, ilustrowane działaniem scenicznym, ożywiającym monotonię i statyczność scen. Zdarzają się fragmenty pełne poetyckiego uroku, jak wzruszająca, niemal balladowa, opowieść o zatoce kaczki-córki, interpretowana przez Henryka Abbego, jak „Topielcy” Stanisława Igara czy humorystyczne opowiadanie o rybaku, który musiał swe nagie członki odziać kapotą stracha na wróble — dowcipnie „zagrane” przez Zbigniewa Bogdańskiego.

Spośród wszystkich epizodów, zwłaszcza dwa: „Garland” i „Wićkowski, jaki ty jesteś!” — choć tak różne od siebie — wydają mi się być szczególnie interesujące i to zarówno ze względu na walory warstwy słownej, jak i rozwiązania scenicznego.

W „Garlandzie”, przypominającym mi grane kilka lat temu „Westerplatte” Janiny Skowrońskiej-Feldmanowej, przemawia prze-

de wszystkim słowo. Na deskach sceny nie dzieje się wiele, a jakże wiele dramatycznych zdarzeń zostaje przywołanych przez słowo i pobudzonych do życia w wyobraźni. To sugestywne, wyraziste słowo jest wspomaganie w sposób umowny środkami plastycznymi i muzycznymi. Aktorzy pełnią rolę narratorów-sprawozdawców wojennych relacji, rzeczowo i dokładnie przebieg akcji „Garlanda” w drodze do Murmańska. Ruch sceniczny ograniczony do minimum, nie przeszkadza słowu, nie jest natrętny, dyskretnie ilustruje słowną relację. Jest w tej scenie szlachetna i wzniosła powaga, osiągnięta dzięki prostocie środków i oszczędnemu korzystaniu z teatralnych efektów.

Natomiast „Wićkowski, jaki ty jesteś!” ujmując wyrazistością postaci Wróbla i Wićkowskiego; rybaków z krwi i kości, z których jeden pragnie kupić łajbę a drugi korzystnie dobić targu. Trzeba tu wspomnieć o literackich walorach tego epizodu — jasno i wyraziście określony konflikt, sprecyzowane racje bohaterów, widoczne narastanie konfliktu, moment kulminacyjny napięcia i jego zręczne rozładowanie. Postaci są obdarzone życiem i autentycznością, mówią żywym, barwnym językiem — dają możliwości stworzenia z nich postaci scenicznych —

jak globus, rozświetlony od wewnątrz.

Przód sceny pełni funkcję różnych miejsc akcji — jest to i nabrzeże budującej się Gdyni i okolice suchego doku Stoczni im. Komuny Paryskiej, checza Wróbla i pole czy ogród ze strachem na wróble. W tej nieskonkretyzowanej przestrzeni pojawiają się różnorodne postaci, w każdym epizodzie inne, wnosząc ze sobą swoje sprawy, swój klimat, swoje piętno.

Widowisko nie sprawia jednak wrażenia składanki — to niewątpliwa całość, w której elementem scalającym jest nie treść, ale nastrój i atmosfera, a także jednorodność plastyczna. Reżyser Marek Okopiński dba o plastykę ruchu, ładnie komponuje sceny zbiorowe, wykorzystuje kilka planów scenicznych, umieszczając akcję w coraz to innych punktach sceny i na różnych jej poziomach. W ten sposób ograniczona z natury rzeczy przestrzeń sceny bardzo się rozszerza, „otwierając się” niejako na niezmierzoną przestrzeń mórz i oceanów, będących prawdziwym miejscem rozgrywających się zdarzeń.

W tym trudnym dla zespołu aktorskiego widowisku podziwiałam dyscyplinę i precyzję wykonawców, utrzymujących bezbłędnie właściwe tempo przedstawienia, sprawnie i przekonująco przemieniających się w



(FOT. TADEUSZ LINK)

to już zadatki na dobre „role”. Toteż Stanisław Michalski (Wróbel) i Jerzy Kiszki (Wićkowski) wykorzystują w pełni zalety tekstu i tworzą dowcipną i krwistą scenkę obyczajową z życia rybaków.

Swoją niepowtarzalny klimat zawdzięcza przedstawienie oprawie plastycznej (Marian Kołodziej), prostej i oszczędnej w konstrukcji, jednocześnie metaforycznej i ekspresywnej. Kołodziej buduje na scenie jakby zarys statku oglądanego z boku, z wyraźnie zaznaczonym dziobem i rufą oraz akcesoriami wyposażenia: masztem, drabinkami sznurowymi, mostkiem kapitańskim, trapezami burty. Nad tą makietą statku zawieszona biała, lekkie bryły o geometrycznych kształtach przypominających bądź rozpostarte żagle, bądź znieruchomiałe w locie morskie ptaki. Przestrzeń otaczająca statek jest rozległa i prawie pusta — jakieś słupy i paliki sugerujące nabrzeże portu, daleko w głębi zawieszony horyzont sugerujący nieogarniętą przestrzeń morza, rozległa płaszczyzna nieba, po którym przesuwa się obłoki. W górze, nad statkiem, zawieszona ogromna kula ziemiska z zarysami mórz i kontynentów oraz południków, kręcąca się

różnorodne postaci, wnoszących dzięki własnym osobowościom aktorskim zarówno elementy dowcipu i humoru jak i poetyckości, czy nawet autentycznego wzruszenia. Jest to „rzec sceniczną” bez bohatera, a właściwie z bohaterem zbiorowym: marynarzami, rybakami, stoczniovcami i zwykłymi, kundałami; bohaterem są statki i okręty, praca w porcie i na morzu, samo morze. Toteż reżyser i aktorzy surowo przestrzegają zasad gry zespołowej. Każda postać, każdy szczegół jest ważny i wymowny; nie ma ról głównych i epizodycznych, każda z postaci sceniczych jest traktowana z taką samą odpowiedzialnością. „Morze dalekie — morze bliskie” to piękny popis sprawności zawodowej zespołu aktorskiego.

Premierę adaptacji scenicznego pamiętników ludzi morza wyznaczono na uroczysty dzień dwudziestopięciolecia wyzwolenia Gdańska. Widowisko ma niewątpliwie charakter „Kuczi”, ale wartej pochwały i aprobaty, ze względu na swoje przede wszystkim społeczne i wychowawcze zalety. Wszak to jeden z pierwszych kroków powiązania życia teatralnego na Wybrzeżu z problematyką regionu, próba wprowadzenia w krąg sztuki zwy-

kłych, codziennych spraw związanych z pracą i odpoczynkiem tak charakterystycznej dla mieszkańców Wybrzeża grupy ludzi jak marynarze-rybacy-stoczniowcy. To także próba nobilitacji przez sztukę pewnego okresu dziejów Polski nad Bałtykiem i jej śladu na morzach świata. Z tych wszystkich powodów inicjatywa teatru „Wybrzeże” przygotowania tej inscenizacji skłania do szacunku.

Mirosław Komendecki

Czy zmierzchn marynistyki?

Niemal sto lat temu A. Lesser pisał w artykule, zatytułowanym: „Wystawa obrazów Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim”:

„Bardzo rzadko prace obcych artystów ukazują się na naszej wystawie. Tym razem przysłał nam pan Pleysier, znany artysta Antwerpski trzy obrazy olejne i kilka akwareli, przedstawiających widoki morskie. Z tych szczególnie zasługuje na uwagę większy obraz: Wybierających się rybaków na półw śledzi. Doskonale przedstawioną tu jest przezroczystość fali wzburzonego morza, oraz kołyszące się statki, których szczegóły wykończone są ze ścisłą znajomością marynarza. Niemniej też bielejący horyzont w dali, z okrętami, które jakby się z wody wydobywały, z wielką prawdą jest oddany, co każdy oceni, kto kiedykolwiek nad brzegami morza przebywał. Wielką też jest zaletą tych obrazów należycie uwidatniona świeżość powietrza. Również ładne są dwa mniejsze obrazy olejne tegoż artysty, w tych jednak górna część nieba nie dość starannie jest malowaną”.

Temat morski w malarstwie jest znacznie starszy niż — brzmiący dziś nieco zabawnie — tekst powyższej recenzji, zamieszczonej w „No 468 z dn. 6/18/ czerwca 1874 r. „Kłosów. Czasopisma Ilustrowanego Tygodniowego” wychodzącego w Warszawie. Motywy morskie spotykamy już w Pompei, w mozaikach i freskach ściennych. Są to wówczas przeważnie ryby, czasem rośliny i zwierzęta morskie, przedstawione z dużym realizmem. Równie często spotykamy się w starożytności, zarówno w Grecji, jak w Rzymie, z wyobrażeniami wiosłowych i żaglowych okrętów, czasami morze występuje jako tło dla scen mitologicznych.

W malarstwie czasów późniejszych, w średniowieczu i w okresie renesansu, tematyka morska niemal zanika, występując tylko sporadycznie w takich obrazach, jak „Narodzinny Venus”, czy z rzadka pojawiających się przedstawieniach bitew morskich. Odrodzenie marynistyki następuje w XVI i XVII wieku w Holandii.

W kraju tym, którego źródłem dobrobytu i podstawą potęgi było morze, powstała cała grupa artystów, którzy specjalizowali się wyłącznie niemal w tematyce morskiej. Pierwszym z nich był Hendrick Vroom — twórca pejzażu morskiego. Po nim tematykę tę uprawiają: Jan Porcellis, Jan van Goyen, Salomon van Ruysdael, Simon de Vlieger i wielu innych. Pierwsze obrazy marynistyczne szkoły holenderskiej przedstawiają bitwy morskie — ilustrują zacięte boje i wielkie zwycięstwa floty holenderskiej w niedawno zakończonych walkach wyzwolenicznych. Wkrótce jednak, głównie dzięki Vroomowi, coraz większą rolę gra pejzaż morski sam dla siebie. Początkowo, jak to ma miejsce w krajobrazach lądowych, są to obrazy ze sztafżem, z tym, że rolę postaci ludzkich grają tu okręty, pociągające artystów bogactwem masztów, olinowania, żagli. Stopniowo na pierwszy plan wysuwa się samo morze, niebo i atmosfera. Mamy tu po raz

pierwszy obserwację przyrody łącznie ze zjawiskami atmosferycznymi.

Następnym po nich wielkim marynistą był angielski malarz William Turner, tworzący w I połowie XIX w. W przeciwieństwie do bardzo realistycznych, dbałych o szczegóły Holendrów, jego malarstwo to raczej ułotna wizja, niż wynik ścisłej wzrokowej obserwacji. Maluje on najchętniej morze podczas mgły, deszczu, sztormu, o wschodzie lub o zachodzie słońca. Stara się oddać zjawiska nieuchwytnie dla linii, a dające się wyrazić jedynie plamą barwną. Jest przez to uważany za prekursora impresjonizmu, choć jest od impresjonistów o wiele bardziej romantyczny.

W impresjonizmie dość często spotykamy się z tematyką morską. Mamy tu jednak do czynienia z próbą zupełnie innego do niej podejścia: nie chodzi już o rozległą przestrzeń, grozę czy romantykę morza. Impresjonistów interesuje wyłącznie gra światła na falach — najczęściej malują morze w pełnym słońcu, traktując je niemal tak samo, jak inne tematy. Efekt tego — zwłaszcza w postimpresjonizmie — jest wręcz przeciwny pracom Turnera.

W drugiej połowie XIX w. tworzy swe dzieła wybitny marynista rosyjski, Iwan Ajwazowski. W ciągu swej stosunkowo długiej działalności twórczej namalował on ogromną ilość obrazów, których głównymi pierwiastkami są zawsze woda, światło i powietrze, i z których — mimo realistycznej wierności szczegółów — zawsze przebija silny romantyzm. Do ulubionych jego motywów należy zestawianie łódek, okrętów i rozbitek z grozącymi ze wszystkich stron ogromnymi, wzburzonymi falami. Ekspresyjne efekty potrafi wydobyc z skomponowanych kontrastowo obrazów, których podstawowym motywem jest walka światła z ciemnością. Ajwazowski potrafił, jak mało kto przedstawić potęgę, grozę i patos morza, ale także i jego urzekające piękno. Na nim jednak kończy się lista wielkich marynistów. Wywierając ogromny wpływ na następne pokolenia malarzy, interesujących się tematyką morską, spowodował to, że do dziś wielu ludzi marynistykę pojmuje wyłącznie „po ajwazowski”. Miał — i ma — wielu bardziej lub mniej świadomych naśladowców. Przecież nawet u tworzącego współcześnie Mariana Mokwy można zaobserwować wpływ twórczości Ajwazowskiego.

A jak malują inni, współcześni maryniści? Trzeba stwierdzić, że marynistyka nie rozwija się obecnie w takim stopniu, na jaki mogłby wskazywać fakt posiadania przez nas obecnie pięciuset kilometrów wybrzeża. W gdańskim środowisku malarskim, jednym z najliczniejszych w kraju, tematykę tę uprawia stale zaledwie paru malarzy. Przyczynami pewnego zaniku tej tematyki są z jednej strony rozumiała niechęć do ciągłego powielania starych i znanych schematów, z drugiej — trudność znalezienia dla niej nowego ujęcia i wyrażenia jej we współczesnej formie. Nie znaczy to jednak, że marynistyka jest ginącym gatunkiem, dla którego nie widać już żadnej przyszłości. Próby jej ożywienia i uwspółcześnienia są przez poszczególne artystów wciąż od nowa podejmowane.

Spośród malarzy środowiska gdańskiego tematyka ta interesuje stale Kazimierza Śramkiewicza, Kazimierza Ostrowskiego i Andrzeja Mentucha. Paru innych uprawia ją bardziej sporadycznie.

Morze dla Kazimierza Śramkiewicza to przede wszystkim warsztat pracy ludzkiej. W jego obrazach nie znajdziemy podziwu dla piękna i uroku przestrzeni wodnej, zadumy nad romantyką czy grozą morza. Mamy za to pomnik współczesnej, przemysłowej gospodarki morskiej — sam wybór tematyki świadczy o nietradycyjnym, współczesnym rozumieniu marynistyki. Pomnik, bo forma przyjęta przez Śramkiewicza — dążność do daleko posuniętej syntezy, użycie szpachli, nieco rzeźbiarska w charakterze geometryzacja kształtów — nadaje jego statkom, dżwigom, bojom i suwnicom, portom i stoczniom charakter zdecydowanie monumentalny.

Nieco podobnie maluje Andrzej Mentuch. W jego pracach również widzimy syntetyzowanie, operowanie dużymi płaszczyznami gładko położonej farby, geometryzację form, także najchętniej maluje on statki zgromadzone przy nabrzeżu portowym, czy w stoczni. W niektórych obrazach przejawia pewną skłonność do dekoracyjnej płaszczyzności.

Bardzo dekoracyjne są natomiast prace Kazimierza Ostrowskiego. Temat portu czy stoczni jest dla niego tylko pretekstem do budowania bardzo własnych, kolorowych kompozycji, złożonych ze stylizowanych, geometrycznych form, nie występujących w naturze, lecz tylko w wyobraźni malarza. Mają one wprawdzie swe źródło w rzeczywistych kształtach statków, urządzeń portowych czy ryb. Malarstwo Ostrowskiego jest jednak czymś bardzo odległym od tego, co zapoczątkowało marynistykę w plastyce — od realistycznych studiów okrętów, wody i atmosfery. Są to raczej bardzo swobodne wariacje na tematy morskie.

Prócz wymienionych malarzy, starających się wypowiedzieć na tematy morskie we współczesnej formie, u wielu spośród naszych bardziej „nowoczesnych” plastyków można doszukiwać się wpływu pejzażu i kolorytu nadmorskiego na ich twórczość. Jest to zresztą nie tylko zrozumiałe, ale i konieczne — żaden, nawet najbardziej odziedziczający się od realizmu abstrakcjonista nie żyje w wieży z kości słoniowej i otoczenie musi na niego w mniejszym lub większym stopniu wpływać. Wpływy te jednak nie zawsze są na pierwszy rzut oka czytelne, trudno też tego rodzaju malarstwo — np. abstrakcję inspirowaną kolorystyką nadmorską — zaliczyć do marynistyki.

Stale podejmowane są w naszym środowisku próby rozszerzenia grupy twórców-marynistów, zainteresowania tą tematyką i poszukiwaniem dla niej nowych środków wyrazu także artystów z innych ośrodków, położonych w głębi kraju. Temu celowi służą organizowane regularnie wystawy grafiki marynistycznej, w tym też celu odbył się w ubiegłym roku plener w Cetniewie. Wyniki, jak dotąd nie są imponujące, co można było niedawno zaobserwować na poplenerowej wystawie, zorganizowanej w sopockim BWA pod intrygującym tytułem „Ziemia gdańska w malarstwie w 25-lecie wyzwolenia Sopotu”. Na ogół albo powtarzają się ujęcia tradycyjne, albo przybyszów z zewnątrz fascynuje błękit nieba i żółć plaży. Plamę zrobioną gąbką i zatytułowaną „Sztorm” trudno uznać za objawienie współczesnej marynistyki.

Być może skuteczne byłyby inne, nietradycyjne formy zapoznawania plastyków z morzem, takie jak rejsy pełnomorskie czy penetrowanie dna? Byłoby to na pewno trudniejsze do przeprowadzenia niż jeszcze jeden konkurs czy plener, ale mogłoby dać ciekawe wyniki. Na pewno jednak wysiłki propagandowe i poszukiwania artystyczne w tym kierunku warto kontynuować. Chcemy mieć dobrą, współczesną marynistykę, przedstawioną współczesnymi środkami artystycznymi. Patrzymy przecież dziś na sztukę inaczej, niż robił to przed stuleciem anonimowy recenzent, omawiający szkic Józefa Szermentowskiego „Znad brzegów oceanu. Rybakki ostrzyg” w tym samym numerze „Kłosów”, z którego pochodził fragment, cytowany na początku:

„Na wznioślejszym wybrzeżu morskiem widzimy dwie młode rybakki, znać siostry czy pokrewne, spoczywające po trudach. Starsza trzyma sieć w ręku, jakby się nią sama ostatnia od promieni słonecznych, a zarazem i młodsze dziewczę, u nóg jej siedzące, które wsparło piękną główkę na jej kolanie. Oblicze ostatniej, otoczone splotami gestych włosów, które spadają na szyję i ramiona, oprócz wdzięku młodości ma wyraz zmęczenia; duże oczy jakby się do snu kleiły. Zdala widać wyniosłą wieżę portową, przy niej statki żaglowe, i nieprzejrzaną przestrzeń Oceanu, którego wody w pośród ciszy i pogody, spokojne, przejrzyste jak zwierciadło. Chwila to spoczynku po niełatwej pracy.

Jakąż zdobyczą cieszą się młode rybaczeki? Łowią one ostrygi, i widać dzień był pomyślny, bo dwa kosze spore już napętniły. Owoc swych znojęw poniosą do miasta, gdzie chętnych znajdą nabywców na swój towar, tak łakomie przez wytrawnych smakoszy pożądany.

Artysta jak widać z natury zdejmował ten wdzięczny obrazek, który w rycinie podajemy: przemawia za tym prawda i prostota w układzie, jak całe otoczenie i krajobraz". ■

Joseph Conrad

MEMORANDUM

W SPRAWIE PRZYSTOSOWANIA OKRĘTU ŻAGLOWEGO DO CEŁÓW DOSKONAŁENIA PRAKTYK OFICERÓW MARYNARKI HANDLOWEJ Z PORTU LIVERPOOL

Tłumaczył kpt. ż.w. Józef Miłobędzki

Przyjmując, że dzięki powszechnemu duchowi hojności, z jakiego znani są armatorzy z Liverpoolu, znajdzie się kapitał potrzebny do budowy i wyposażenia okrętu żaglowego, który będzie odbywał rejsy na południe celem doskonalenia praktyki oficerów Marynarki Handlowej, mniemam, że koszt eksploatacji takiego okrętu — to znaczy płace, utrzymanie, naprawy, przeglądy generalne i ubezpieczenie — powinien być pokrywany przez dochody uzyskiwane z przewożenia ładunków w czasie planowanych podróży szkolnych okrętu.

Obecnie pozostawiam tym zleceniodawcom do ich decyzji moje przeświadczenie, że dla spełnienia tego celu najlepsza byłaby podróż do portu w Australii (z włączeniem Nowej Zelandii) przez Przylądek Dobrej Nadziei i spowrotem wokół Przylądka Horn. Powody są następujące: zdrowy klimat tej części kuli ziemskiej, mnogość przebywanych stref meteorologicznych, która rozwijać będzie zdolności wydawania zdrowego sądu co do warunków pogody, względna łatwość podróży, połączona z różnorodnymi doświadczeniami, które taka podróż okrężna nastroja.

Długi okres trwania rejsu nie powinien być przeszkodą; całkowity zakres praktyki młodego marynarza powinien zawierać doświadczenie przebywania całymi dniami na morzu między wodą i niebem. To byłoby cenne i dla jego ducha i praktyki, choćby w jego przyszłym życiu zawodowym nie było mu przeznaczone oddalać się od lądu bardziej niż na odległość wzroku na okres nie dłuższy niż kilka dni.

I

Zakładając więc, że oczekujemy od okrętu samowystarczalności ekonomicznej (i niczego więcej), jestem przeświadczony, że jego wymiary należy ograniczyć ściśle do takiego tonażu, jaki pozwoli na zabezpieczenie w nowoczesnych warunkach pokrycia wydatków. Ośmielę się proponować (jakkolwiek szokujące to może się wydać dla umysłów ludzi, którzy są właścicielami i armatorami flot dużych parowców) jako tonaż odpowiedni dla okrętu tysięcy czterysta do tysięcy pięćset ton, albo tak bliski tego, jaki tylko wystarczy na zarobienie na własne wydatki.

Wynaję, że nie wiem, jaka jest w obecnych czasach optymalna pojemność okrętu ze względu na przewożone frachty, ale proszę komitet opracowujący założenia projektu, by pozwolił mi wyłożyć moje powody, dla których będę bronił swej opinii. Zaraz na wstępie muszę wyjaśnić, że we wszystkim, co powiem, będę opierał się na własnym doświadczeniu marynarza, który nauczył się swej służby pływając pod banderą brytyjską, i który ma, jeśli chodzi o tę służbę, ponad szesnaście lat dobrej praktyki morskiej poza sobą, zarówno pod żaglami jak i pod parą.

Upieram się przy zdaniu, że nic nie przewyższa, powiedzmy, 1400-tonowej fregaty, tak zaprojektowanej, by nośność miała około półtora razy większą od tonażu rejestrowego, ze względu na właściwości morskie, łatwość obchodzenia się z nią, szybkość wykonywania manewrów, i nawet co się dotyczy rzeczywistego bezpieczeństwa, jeśli znajdzie się w trudnym położeniu. To samo odnosi się do wygody w czasie złej pogody, kiedy to, musimy pamiętać, ludzie kierujący napędem okrętu przebywają na otwartym pokładzie, a nie schowani pod nim.

Żaglowiec typu ostatnio budowanego (o ile ciągle jeszcze istnieje) mając ogromnych rozmiarów pokład główny, który jest zawsze pełen wody, szczególnie gdy idzie się pełnym wiatrem na dużej fali, i prócz tego będąc istotnie niebezpiecznym z tego samego powodu, jest w tym względzie, jak to marynarze obrazowo określają, po prostu „maszyną do brania kąpieli”. Także wielka długość tych dużych okrętów na trzy tysiące ton i więcej, konieczna przy takich wymiarach, powoduje, że są niezgrabne w prowadzeniu, nie można nimi wystarczająco szybko manewrować, a w przypadku jakiegokolwiek poważnego uszkodzenia czy to osprzętu czy też urządzenia sterowego same tylko ich wymiary utrudniają ratunek. Godzi się też zauważyć, że szybka reakcja okrętu na czynności załogi w czasie manewrowania rozwija odpowiednią aktywność i zrećność załogi.

Zwracam się z prośbą do gentlemenów zainteresowanych tymi założeniami, by zrozumieli, że nie występuję jako literat folgujący swej fantazji, lecz jako zwykły oficer Marynarki Handlowej, który odbywał służbę na statkach wszelkich typów i wyciąga wnioski z tego, co na własnej skórze doświadczył, z tą jednak przewagą, że miał czas do myślenia o tym, czego doświadczył i do medytacji o naukach, jakie z tego doświadczenia wyciągnął.

Trzymając się wciąż tego samego tematu chcę jeszcze poruszyć sprawę wyglądu okrętu. W przypadku parowca zwiększenie wymiarów przydaje z pewnością dobrego wyglądu, bo do piękna linii okrętu dodaje wyrazu potęgi i dostojności, co wzbudza podziw widza. W przypadku żaglowca jest inaczej. Nie widziałem chyba okrętu o tonażu ponad 2000 ton, który by nie wywoływał wrażenia, że jest, jak to można najlepiej określić „przerośnięty”, a pamiętam wiele takich, do których żadne określenie tak dobrze nie pasuje jak obrazowe powiedzenie marynarskie „wielkie, niezgrabne bydlę” („a big clumsy brute”).

A teraz musimy zająć się niektórymi zasadniczymi sprawami dotyczącymi wychowania, jako że celem, dla którego armatorzy liverpoolscy budują żaglowiec jest przeciwieństwo doskonalenie (podkr. J.C.) praktyki oficerów dla ich flot.

Jest w istocie konieczne, by chłopcy wyraźli w przywiązaniu do swego okrętu (co marynarz czyni bez przymusu), by byli dumni z jego indywidualnego wyglądu, jego właściwości morskich, ze związku ich z okrętem, i aby wspominali okres praktyki nie jako straszliwą mordęgę w niewygodzie i bez jakiegokolwiek osobistego zadowolenia, ale jako świetny okres życia, jako doświadczenie, przez które przejść było ich przywilejem jako marynarzy z portu Liverpool, jako okres czasu do rozpamiętywania z zadowoleniem i dumą tak mniej więcej, jak to czyni stary absolwent szkoły na lądzie, który wspomina starą szkołę, piękno jej starych zabudowań i czar jej tradycji.

Największych osiągnięć dokonali marynarze z Marynarki Handlowej na okrętach o tonażu od 900 do 1600 ton, co do rekordowo szybkich rejsów (które wówczas były zasługą wyłącznie marynarzy), co do wyczynów w zręcznym manewrowaniu i w doprowadzaniu do portu okrętów uszkodzonych dzięki jedynie umiejętnościom żeglarskim i bez jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz. I jeżeli ktoś postawi zarzut, że bronie rzeczy bezna-

dziejnie przestarzałych, to odpowiem, że argument o przestarzałości nie ma zastosowania w tym projekcie doskonalenia praktyki, która ściśle wiąże się z moralą ludzi i ze starymi tradycjami (podkr. J.C.). Mogę odeprzeć taki zarzut i od strony praktycznej przez podkreślenie, że chłopcy mają być szkoleni nie na oficerów najnowszych żaglowców, lecz mają doskonaląć się (podkr. J.C.) jako przyszli oficerowie najlepszych nowoczesnych parowców. Z tego powodu ważne jest nie to, by odbywali praktyki na najnowocześniejszym żaglowcu (którego dni i tak są policzone i można go w ogóle nie brać pod uwagę), lecz by wzorować się na najlepszym okresie (podkr. J.C.) praktyki i służby pod żaglami.

Jeszcze na jedno chcę zwrócić uwagę projektantom, a mianowicie: że na bardzo wielkim żaglowcu zawsze widzi się tendencję do wyposażania go (ze względu na trudności w skutecznym obsadzeniu załogą) w znaczną ilość urządzeń, które oszczędzają pracę człowieka. Po zagadnieniu wymiarów okrętu ta sprawa jest następną, co do której chcę z największą troską przedłożyć do rozpatrzenia drugi mój postulat. A oto on:

II

Że nie powinno być na okręcie szkolnym urządzeń oszczędzających pracę człowieka w postaci wind parowych itp. i że stawianie żagli, manipulacje łódkami i w ogóle prace fizyczne odpowiednio marynarskiemu powołaniu powinny być wykonywane siłą mięśni i to przede wszystkim, oczywiście, kadetów. Pożyteczny może być kocioł pionowy, głównie do podnoszenia kotwic, ale winda kotwiczna powinna być takiego rodzaju, by załoga mogła także obracać ją ręcznie przy pomocy kabestanów na dziobówce.

Obstaję przy konieczności używania siły mięśni z następujących powodów: Po pierwsze nie ma potrzeby na nic innego. Oficerowie powinni manewrować jak zabawką okrętem o wymiarach i takielunku, jakie mam na myśli, mając do pomocy czterdziestu chłopców spośród całej tej maki oddanej na okręt do wypieku (Pan Holt wymienia liczbę osiemdziesięciu chłopców i co do tego punktu przedstawię swe uwagi później), którzy nabrali już określonej tężyzny fizycznej i wagi, razem z załogą stałą składającą się z, powiedzmy, dwunastu starszych marynarzy, czterech podoficerów, i jeszcze kilku młodszych członków załogi.

Po drugie można przyjąć za pewnik, że praca podczas służby na okręcie nie jest ani zbyt ciężka, ani niegodna najlepszych starań i poszanowania, albo, że tak powiem, nie uwłacza godności żadnego młodego człowieka, który chce się wykierować na dobrego oficera.

Po trzecie jest niewątpliwie coś uszlachetniającego w pracy fizycznej, w którą wkłada się całe serce wspólnie z innymi i którą wykonuje się w jasno pojętym celu.

Młodzież poza tym żyje się bardziej z systemem urządzeń napędowych żaglowca i nauczy się, że się tak wyrażę, wyczuwać go. Nie należy zapominać, że na pracę marynarzy nigdy nie patrzano i nie miała ona charakteru jedynie niewolniczego trudu, jak to się zaczyna dziać z niektórymi dziedzinami pracy na lądzie.

W swej istocie życie na morzu było zawsze życiem zdrowym, i to w dużej mierze dzięki samej naturze wymaganych prac fizycznych. Twierdząc z głębokim przekonaniem, że pobyt na żaglowcu wspaniale rozwija pod względem fizycznym. Po wielokroć widywałem, jak delikatny młodzik, którego przyprowadzał na okręt zatroskany członek rodziny, w czasie dwunastomiesięcznej podróży zmienił się, nie zdając sobie z tego sprawy nawet, w młodego mężczyznę. Nigdy nie widziałem w moich czasach chłopca delikatnego z wyglądu, który by się załamał w warunkach życia na morzu. Wszyscy rozwijali się. Co więcej, jakkolwiek praca fizyczna wykonywana inteligentnie rozwija specjalną mentalność, w tym przypadku mentalność marynarską, cenny nabytek z pewnością czy to dla oficera żaglowca, czy parowca.

III

Tak więc żaglowiec, jakim go widzę (coś bardzo podobnego do liverpoolskich okrętów typu „Sierra”, które pływały między 1880—90), miałby kadłub o pojemności 1400—1500 ton rejestrowych i nośność ponad 2000 ton, i w takim razie wystarczające byłyby dlań trzy maszty z ożagleniem rejowym. Jeśli toż miałby być ponad 2000 ton rejestrowych, muszą być cztery maszty, przy czym stermaszt miałby ożaglenie skośne. W każdym razie radziłbym, by okręt szkolny miał długą rufówkę i bardzo obszerną dziobówkę, rufówka na okręcie trzymasztowym powinna sięgać olinowania grotmasztu, a to w celu ograniczenia jak to tylko jest możliwe powierzchni pokładu głównego. Okręt w takim razie byłby znacznie wygodniejszy. Okręty z długimi rufówkami są właśnie tymi, które nabierają najmniej wody w każdym stanie pogody, a w czasie pogody sztor-mowej praca na pokładzie jest na nich najbezpieczniejsza.

rynarki Handlowej w Nowej Zelandii), gdzie officer mógł nabrać doświadczenia w obchodzeniu się ze stosunkowo dużą liczbą osób na pokładzie żaglowca.

Okręt ten miał tylko 1270 ton rejestrowych i najwięcej miałem na nim osób, wszystkich razem 113. Łącznie było na nim miejsca dla 50 pasażerów i dlatego musieliśmy zabierać z sobą dużo żywego inwentarza, jak krowę dojną, by dzieci miały mleko itp. Mimo to nie czuło się niewygodnego zagęszczenia i żaden z pasażerów nigdy nie żalił się na ścisk w pomieszczeniach, zwykle też pasażerowie odbywali na nim podróże okrężną. Z Anglii okręt woził ładunek drobnicy, a w Adelaide ładował to, co zwykle bierze się w Australii, najczęściej wełnę.

Rufówka na tym okręcie liczyła 78 stóp długości całkowitej, w niej było po jedenaście podwójnych kabin pasażerskich z każdej burty, dwie kabiny oficerskie, duża pen-ta pośrodku oraz kajuta doktora i szpitalik.

Pomieszczenie kapitana składało się z dwóch kabin w części rufowej, bardzo ob-

różnych ich gier wieczorami. Nie było nigdy żadnych skarg co do tego.

Kapitan okrętu szkolnego prawdopodobnie zajmowałby całe swe pomieszczenie także i na morzu, jadając u siebie. Wydaje mi się także, że człowiek na odpowiedzialnym stanowisku dowódcy okrętu szkolnego utrzymywałby bliskie kontakty z chłopcami, na ile na to pozwalała tylko przepisowa dyscyplina na okręcie handlowym, i że nie uważałby za niewygodne ani przykre, że jego kabinę umieszczono blisko całej ich gromady.

Pomieszczenie w rufówce, mieszczące tylko około 44 kadetów, można by powiększyć niemal podwójnie przez wydzielanie odpowiedniej przestrzeni poniżej, w rufowej części międzypokładu, z dostępem przez luk rufowy wyposażony w odpowiednią zejściówkę z pokładu głównego do pomieszczeń mieszkalnych. Będą może trudności z doprowadzeniem światła dziennego do pomieszczeń dolnych i pod tym względem dolne koje byłyby gorsze, ale jako że chłopcy będą

ODTŁUMACZA

W 1919 r. znany armator angielski pan Wawrzyniec Holt napisał list do znakomitego pisarza Josepha Conrada, po czym nastąpiło spotkanie obu dżentelmenów.

Po wielkiej wojnie brakowało okrętów. Indeksy frachtowe z giełdy londyńskiej zapowiadały wspaniałą koniunkturę. Wiadomo — gdy popyt przekracza podaż, ceny rosną. Zwyczaj frachtów daje okazję do dobrych zysków — jeśli się posiada okręty. Ale oczywiście te podstawowe prawa znał nie tylko pan Holt, znali je wszyscy armatorzy. Wygrywa ten, kto pierwszy, kto zasobniejszy w kapitały i kto bardziej przewidujący.

Więc pan Holt, by zapewnić sobie nie tylko wystarczającą ilość okrętów, ale i personel do ich obsadzenia, wpadł na pomysł zbudowania okrętu szkolnego. Ale jako businessman z prawdziwego zdarzenia nie był skłonny do ponoszenia dużych kosztów inwestycji „nieprodukcyjnych” (jak to się dziś nazywa), choć niewątpliwie potrzebnych w perspektywie przyszłości. Nie mógł sięgnąć po kapitał państwowy (bo rządy Wielkiej Brytanii tradycyjnie nie udzielają subwencji armatorom), namówił innych szanownych armatorów z macierzystego portu Liverpool do otwarcia kabz i wyłożenia potrzebnego grosza na budowę okrętu szkolnego. Powstał komitet do opracowania „założeń wstępnych”. Rozejrzano się po prostu za kims, kto by znał się na żaglowcach i na szkoleniu morskim. Postanowiono poprosić o przyjęcie „pracy zleconej” doświadczonego żeglarza, który już od ćwierćwiecza na pływał, ale łączyły go z morzem wspomnienia i głębokie umiłowanie

marynarskiego rzemiosła. Trudno dziś dociec, w jakim stopniu zaważyło na decyzji businessmanów pisanstwo Josepha Conrada.

Okręt szkolny taki, jakim go zaproponował Joseph Conrad, nigdy nie powstał. Conrad przyjął propozycję pana Holta i włożył w swą „pracę zleconą” tyle pasji, że powstał utwór jedyny w swoim rodzaju. Czy można opatrzyć go etykietką „literatura piękna”? Bohaterami pism literackich Conrada są ludzie, ulegający uczuciom trwogi, miłości, pożądania, wystawiani przez los na próby życia nieraz przekraczające ich wytrzymałość.

Conrad usilnie namawia armatorów, by okręt szkolny zbudowali na wzór i podobieństwo pięknej fregaty sprzed ćwierćwiecza, noszącej nazwę „Torrens”. Nie zdawał sobie jednak wielki pisarz sprawy, że taki postulat przekreślał od razu jedno z głównych założeń i ciche marzenie armatorów liverpoolskich — by okręt szkolny przynajmniej zarabiał na swe własne utrzymanie, a może, jeśli koniunktura dopisze, przynosił też i zyski. Okręt miał bowiem, przy okazji podróży szkolnych, przewozić także i towary. Tymczasem epoka wspaniałych 1000—1500 tonowych kliprów minęła już bezpowrotnie.

Gdy dzisiaj czytamy słowa „memorandum” Conrada sprzed lat pięćdziesięciu, stają nam przed oczyma postaci bliskich nam i zasłużonych wychowawców kilku pokoleń polskich marynarzy.

„Praca podczas służby na okręcie nie jest ani zbyt ciężka, ani niegodna najlepszych starań i poszanowania, albo, że tak powiem, nie uwłacza godności żadnego człowieka,

który chce się wy kierować na dobrego oficera” — pod tym cytatem z „memorandum” możemy podpisać się oburącz. I możemy podpisać się oburącz pod wypowiedzią Conrada: „Jest niewątpliwie coś uszlachetniającego w pracy fizycznej, w którą wkłada się całe serce wspólnie z innymi i którą wykonuje się w jasno pojętym celu”.

I nie jest chyba dziełem przypadku, że dwa żaglowce tczewskiej i gdyńskiej szkoły morskiej, dawny „Lwów” i dotychczas pływająca „Dar Pomorza” są akurat takimi okrętami, jakie Conrad w swym memorandum opisuje jako najlepiej nadające się do celów szkolenia młodzieży. „Lwów”, dawna fregata „Chinsura” przerobiona na bark, miał 1293 tony rejestrowe brutto, niemal dokładnie tyle, co „Torrens”, zaś fregata „Dar Pomorza” ma 1561 ton rejestrowych brutto, a więc akurat tyle, ile Conrad uważa za najwłaściwsze dla żaglowca szkolnego. I kto tylko z absolwentów Szkoły Morskiej pływał na tych okrętach czy to wiele lat temu, czy zupełnie niedawno, podczas praktyki długiej czy krótszej, wspomina ten okres życia tak, jak chciałby tego Conrad — „nie jako straszliwą mordęgę w niewygodzie i bez jakiegokolwiek osobistego zadowolenia, ale jako świetny okres życia...”.

I tak „memorandum” przerzuca w zadziwiający sposób most w czasie i przestrzeni łącząc to, co najlepsze w tradycji marynarskiej z tym, co nowoczesne. I w tym znaczeniu można powiedzieć o Józefie Conradzie to, co narrator Marlow mawiał o Lordzie Jimie: — Jest jednym z nas!

Na pokładzie głównym powinno się umieścić pokładówkę między przednią zrębnicą głównego luku a fokmasztem, z wolnym przejściem na pokładzie z każdego jej końca i z szerokimi korytarzami wzdłuż każdej burty. Pokładówka powinna zawierać kocioł pionowy do zasilania parą windy kotwicznej, kubryk załogi i kajuty podoficerskie. Pod bakiem powinno być miejsce z obu burt na różne magazynki, albo też z jednej strony mogłoby znajdować się urządzenie prądotwórcze jeśli takowe ma być na statku, zaś magazynki z drugiej strony. Pozostawmy jednak rozwiązanie tych zagadnień biegłości i pomysłowości projektanta, po ustaleniu, jak wielki ma być okręt i ile osób razem ma przewozić.

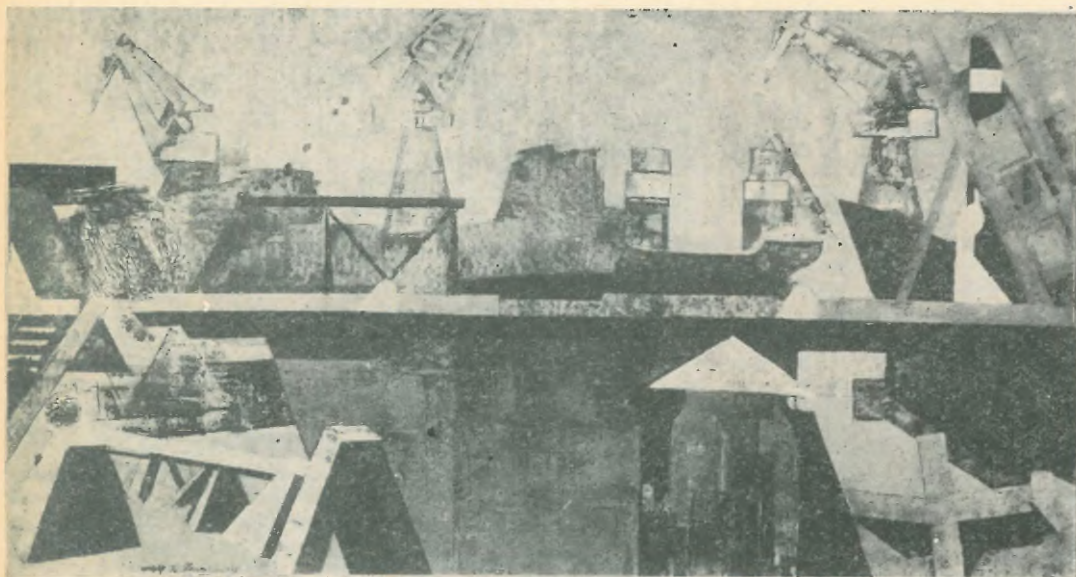
Co do tej sprawy jestem dość kompetentny, ponieważ byłem przez dwa lata starszym oficerem na fregacie pasażerskiej kursującej między Londynem a Adelaide, naprawdę ostatnim, jak wierzę, z okrętów tego rodzaju, z wyjątkiem może „Macquarrie” (który był później okrętem szkolnym dla kadetów Ma-

szernych, z których jedna była jego właściwą kabiną, a druga planowana i umeblowana była na jadalnię, której nigdy na morzu nie używał, korzystając wraz z pasażerami z salonu. W salonie stały dwa długie stoły, przy których mieścili się w czasie posiłków wszyscy mieszkający w rufówce. Myślę, że taki układ można by przyjąć z korzyścią na okręcie szkolnym.

Na „Torrensie” wymagało wielkiej czujności dogładanie sztucznego oświetlenia, gdyż tworzyły je lampy olejne i świece, przyjmując jednak rozmięszczenie kadetów liverpoolskich w kabinach w sposób opisany wyżej, w razie zastosowania światła elektrycznego można umieścić lampy elektryczne w ściankach grodziowych w ten sposób, by jedna lampa mogła oświetlać dwie kabiny. Długi salon byłby jednocześnie salą lekcyjną i jadalnią, a światło elektryczne choćby najoszczędniej stosowane byłoby jaśniejsze niż to, jakie dawały lampy na okręcie, o którym mówiłem, a przecież starczyło tam światła dla pasażerów do czytania, pisanja albo

podzieleni niewątpliwie na grupy według starszeństwa i rangi marynarskiej, w miarę awansów podczas praktyki starszych uczniów przenoszono by w odpowiednim okresie z dolnego do górnego pomieszczenia. Ten problem należy rozpatrzyć, i w związku z nim chcę zauważyć, że troskę o wygodę chłopców należy ściśle ograniczyć do stworzenia im warunków zapewniających zdrowie, rozwój fizyczny, możliwość studiów, i nie więcej. Należy urządzić pomieszczenia z jak największą prostotą, jak tylko to się da uczynić bez szwanku dla zdrowia i godności ludzkiej, i wierzę, że żaden chłopiec o prawidłowej konstytucji fizycznej i woli zostania marynarzem nie będzie na to narzekać.

Przypuszczam, że wprowadzi się, przynajmniej dla chłopców, system trzywachtowy, choć muszę wyznać, że nigdy nie zaobserwowałem, by jakimś chłopcu zaszkodziła służba na dwie wachty, jaką w moich czasach wszyscy z nich musieli odbywać podczas swej czteroletniej praktyki.



KAZIMIERZ SRAMKIEWICZ: STOCZNIA GDANSKA V

W takim przypadku jednakże oficer wachtowy powinien wymagać zachowania stanu najwyższej czujności i pogotowia od kadetów na służbie na różnych posterunkach, czy to od pomocnika sternika przy kole sterowym, czy od stojącego na oku ze starszym marynarzem ze stałej załogi, czy to od rozstawionych na pokładzie przy różnych szotach, halsach i brasach, gdziekolwiek mogą być specjalnie przydzieleni.

Ujemną stroną systemu trzywachtowego jest to, że kadet pełni służbę ciągle w tych samych godzinach. Powinno się wprowadzić jakiś system zmian, choćby przydzielając chłopców kolejno od jednej wachty do drugiej, ponieważ nawyku czujności nabiera się także przez ćwiczenia i chłopców trzeba wdrażać do zachowywania czujności o każdej porze nocy.

Proponowałbym, by starszych kadetów (szczególnie tych, którzy uzyskali stopnie podoficerskie) zatrudniać w jak najpełniejszym zakresie jako asystentów oficera wachtowego, a gdy wykaza dostateczne postępy, by zawierzać im trymowanie rei, sprzątanie lub stawianie lżejszych żagli, jeśli stan pogody na to pozwala itp. Wyobrażam sobie, że podczas osiemnastomiesięcznej praktyki kadeci będą kolejno przydzielani na stanowiska manewrowe na pokładzie, stermaszcie, grotmaszcie, fokmaszcie i na dzióbówce, przy czym na to ostatnie stanowisko będą wybierani najsilniejsi i najbardziej wyrobieni.

Myślę, że przy odrobinie szczęścia co do pogody okręt szkolny, jeśli będzie szybko odpływający w portach docelowych, mógłby wykonywać w tym okresie czasu dwie podróże okrężne. „Torrens”, okręt szybki, mógłby to czynić łatwo, choć w rzeczywistości wykonywał jedną podróż w jedenaście miesięcy, gdyż jego postój zarówno w Londynie jak i w Port Adelaide trwał przez całe tygodnie.

Okręt ten był wyposażony w cztery kotwice, to znaczy trzy główne i jedną prądową, a prócz tego miał jeszcze kotwice zawożne, dużą i małą, i taka liczba kotwic powinna wystarczyć okrętowi szkolnemu. Oczywiście kotwice powinny być kotwicami typu Admiralicji. W związku z tym chcę zauważyć, że o ile kotwice będzie się wybierać przy pomocy pary, to wyciąganie kotwicy do szczytu żurawika kotwicznego i podnoszenia jej za łapę do nadburcia powinno być wykonywane we wszelkich okolicznościach ręcznie, przy pomocy kabestanów na dzióbówce.

Co do żagli, to zakładam, że okręt będzie nosił (o ile nie będzie rzeczywiście bardzo wielkich wymiarów) sześć marsli, trzy bramsle, trzy bombramsle, cztery lub trzy kliwry, zwykłą ilość sztakli i, proponuję, dwa żagle dolne. Sterżagla może nie być. W czasie pierwszego roku mego pobytu na „Torrensie” przestaliśmy używać tego żagla kierując się głównie współczuciem dla pasażerów,

którzy rozkładali swe krzesła wokół całego stermasztu; i to nie zmieniło ani trochę prędkości okrętu. Lekki sztaksel stermasztu, szczególnie dużych rozmiarów, doskonale go zastępował podczas wiatru wiejącego z jakiegokolwiek kierunku, od ostrego baidewindu do baksztagu wiejącego dwa rumby z tyłu trawersu. Gdyśmy szli fordewindem sterżagiel był w ogóle zawadą.

Radzę, by według starego zwyczaju i praktyki okręt miał bramsle pojedyncze. Dla tych samych powodów proponuję, by gejtawy żagli górnych i zdwojone gejtawy żagli dolnych doprowadzone były nie do noków rei, lecz ich ćwierci. Prawidłowe zwinięcie żagla z gładko wciągniętym brzuchem i ciasno zwiniętymi nokami było zwyczajem o dużym znaczeniu, świadczącym o zręczności i prawidłowej dyscyplinie na okręcie. Świadczyło też o dobrej praktyce morskiej, ponieważ niewłaściwie zwinięty żagiel łatwo mógł się rozwinąć podczas złej pogody i zerwać z rei. Przesunięcie gejtaw do noków uzasadniano jako obronę przed niedostatecznym obsadzeniem okrętu załogą, jest bowiem oczywiste, że bez brzucha na żaglu mniej ludzi potrzeba, by w jakiś sposób żagiel zwinąć. Na okręcie szkolnym załogi jednak nie braknie i jeśli to nie będzie bardzo wielki okręt, nie braknie na nim rąk do zwinięcia trzech bramsli jednocześnie. Widywałem po wielokroć, jak czterech chłopców z „Torrensa”, z dodatkiem jednego starszego marynarza, zwinęło bramsel grota na silnym wietrze. Na okręcie 1600-tonowym sześciu chłopców i dwóch starszych marynarzy powinno opłacać zwinanie bramsli w każdej bez mała pogodzie. Kiedy zaokrętowałem na „Torrens”, jego ówczesny dowódca kapitan Coe* (absolwent Conway'u), przystał natychmiast na moją propozycję przesunięcia spowrotem gejtaw o ćwierć rei, bowiem okręt obsadzony był załogą wystarczająco dobrą, by można było wykonywać na nim dobrą robotę.

Co do łodzi okrętowych, znów powołam się na moje doświadczenie z „Torrensa” (żaglowca z setką dusz na pokładzie). Mieliliśmy na rufie dwie łodzie zawieszane na żurawikach z obu burt stermasztu. Były umieszczone wysoko ponad lustrem wody, przyciągnięte do przypory łodziowej w ten sposób, że można je było zwolnić jednym szarpnięciem za linkę ściągacza (liny talii były zawsze sklarowane w zwojach na pokładzie), i pod innymi względami również przygotowane były do natychmiastowego opuszczenia. Z powodu małej liczby załogi, jako to bywa na statku handlowym, wydany był rozkaz, że w razie nagłej potrzeby najbliższe znajdujący się marynarze (do czterech łącznie) natychmiast mają wskakiwać do łodzi, zaś oficer wachtowy z miczypmanem obsługiwali talie. Jedyna prawdziwa próba szybkości w spuszczeniu tych łodzi zdarzyła nam się w dzień i w czasie dobrej pogody, okręt wystrzono na wiatr aż do łopotu żagli i opusz-

czono jedną z łodzi na rufie, aby wyłowić papugę, która wyfrunęła za burtę. Ponieważ nie byłem akurat na pokładzie, nie wiem, jak długo to wszystko trwało, ale papugę uratowano, co oznacza, że tak samo prędko mogliśmy na przykład uratować dziecko, a zawsze było kilkoro dzieci na okręcie.

Na rostrach łodziowych z tyłu grotmasztu umieszczone były dwie większe łodzie zapasowe, odwrócone dnem do góry, nie przygotowane do prędkiego opuszczenia.

Lecz głównymi szalupami okrętowymi były dwie bardzo pojemne łodzie ratunkowe umieszczone bliżej dziobu, na rostrach tuż za fokmasztem. Łodzie te stały na legarach, a gdy okręt był na morzu, ich żurawiki były wykręcone w płaszczyźnie wzdłużnej w stosunku do burt, lecz talie łodziowe były zawsze whaczone, zaś liny talii sklarowane w pojemnikach znajdujących się na pokładówce, o której poprzednio wspominałem. Miały te łodzie wyposażenie odpowiadające potrzebom alarmu opuszczenia okrętu, łącznie z dryfkotwami, workami z olejem do uśmierzania fali, wiosłami, masztem i żaglem, pochodniami, zbiornikami z wodą i sucharami w puszkach. Ich legary podtrzymywał sworzeń, jak to zwykle bywa, i cieśla okrętowy miał polecenie meldować mi codziennie podczas rannego raportu: „Żurawiki i sworznie czyste”. Kiedy wybiło się sworzeń, wystarczyło podnieść łódź na trzy cale, by umożliwić jej wykręcenie na żurawikach za burtę. Od czasu do czasu robiłem ćwiczenia, zwykle o ósmej rano podczas zmiany wacht, i osiągnąłem taki wynik, że cała operacja od wydania rozkazu: „Obie wachty, łodzie za burtę”, do momentu, kiedy wciągnięte spowrotem opuszczane były na legary, trwała siedem minut, przy tym drugi oficer dowodził ludźmi z prawej, a starszy praktykant (pełniący obowiązki trzeciego oficera) z lewej burt. Jak na okręt handlowy to było tak dobrze, jak tylko można sobie życzyć, i mogliśmy stawić czoło każdej prawie potrzebie z wyjątkiem jakiejś nagłej klęski. W Kanale Angielskim i między jego gardłem a Azorami (w drodze do kraju czy z kraju), gdy tylko zaczynała się pogarszać widzialność, a morze było umiarkowane, mieliśmy raz na zawsze przykazane, by oficer wachtowy natychmiast po wywołaniu kapitana wychylał te łodzie za burtę, aby były przygotowane do opuszczenia na wodę. Pozostawały tak wychylone, jeśli stan morza pozwalał na to, dopóki mgła się nie przetarla.

Wdaję się w opisywanie takich szczegółów, ponieważ z natury rzeczy pozostało bardzo niewiele oficerów okrętów żaglowych, doświadczonych w zakresie opieki nad ponad setką ludzi na 1300-tonowej fregacie.

Trudno mi powiedzieć, w jakim stopniu powinno się zaznajomić chłopców ze sztawerką w dużej pojedynczej ładowni. Na żaglowcu prawidłowe rozmieszczenie ładunku było ważną częścią przygotowań do wyjścia okrętu na morze, bo wpływało na jego zdolność do żeglowania, wygodę odbywających podróży i nawet na całkowite bezpieczeństwo okrętu. Sztawerka podzielonej ładowni na dużym parowcu stanowi z natury rzeczy zagadnienie znacznie mniej subtelne. W samej swej istocie jest też różna, gdyż na parowcu decydującym zagadnieniem jest kolejność portów zawinięcia. Ale przyjrzenie się dawnym warunkom nie może zaszkodzić, a może okazać się niekiedy pożyteczne.

Następnie osiemlecie się zapropomować, by okręt nie miał napędu pomocniczego żadnego rodzaju. Niech będzie naprawdę żaglowcem. Nie wiem dokładnie, jak to wpłynie na wysokość stawki ubezpieczeniowej, ale zapewniam panów, że zaledwie kilka lat temu w czasie mej praktyki nikt nie uważał żaglowca za mniej bezpieczny od parowca. Bezpieczeństwo okrętu, poza przypadkami siły wyższej, spoczywa w rękach ludzi na nim pływających, od najstarszego do najmłodszego stopniem. Maszyny, *per se*, (podkr. J.C.) nie zwiększą bezpieczeństwa okrętu, zaś przestrzeń, którą musiałyby zająć, można wykorzystać dla innych celów.

Pod koniec podróży okręt będzie oczywiście używać holowników. Da to kadetom okazję do zapoznania się z różnymi pracami z praktyki morskiej, związanymi z holowaniem. Samo zakładanie czy to stalowych, czy innego rodzaju lin holowniczych będzie dla nich cennym ćwiczeniem praktycznym.

Uwagi ogólne (podkr. J.C.):

Na koniec niech mi będzie wolno poruszyć sprawę rzeczywistej liczby osób na okręcie. W liście pana Wawrzyńca Holta czytam o 60 do 80 kadetach. Proponowałbym przyjęcie mniejszej z tych dwóch liczb. A nawet mniejszej niż 60, jeśli to możliwe. Mam tu na uwadze możliwość powstania jakiegoś wypadku (co może zdarzyć się na najlepszym statku we flocie) i oddźwięk, jaki by to wywołało w opinii publicznej.

Należy też wziąć pod uwagę, że mniejsza ilość osób łatwiej może wystarczyć się z tonącego okrętu, lub że łatwiej uratować wszystkich w wypadku rozbicia się okrętu.

Założyłem, że okres praktyki wynosić będzie osiemnaście miesięcy. Uczeń Conway'u odbywał by praktykę jak następuje: jeden rok służby na morzu, którą zastępuje praktyka na Conway'u, półtora roku na żaglowcu, i ostatnie półtora roku jako praktykant lub kadet na parowcu. Chłopcy przychodzący wprost ze szkoły lądowej odbywaliby, jak przypuszczam, dwu i półroczną praktykę na żaglowcu i resztę na parowcu.

Nie poruszam sprawy studiów nawigacyjnych, jakie będą niewątpliwie przewidziane.

Zauważę tylko, że powinno się wymagać od kadetów pełniących obowiązki asystentów oficera wachtowego (i w ogóle od wszystkich starszych uczniów) największej staranności i dokładności w zliczaniu nawigacyjnym. Jest to raczej sprawa sztuki marynarskiej niż nawigacji.

Sam okręt, czy to stojąc na kotwicy przy nabrzeżu, powinien, jak przystoi okrętowi szkolnemu, wywoływać wrażenie skończonej elegancji od dołu do góry. Pamiętać trzeba, że dokądkolwiek się uda, będzie reprezentować całą społeczność morską portu Liverpool, pracodawców i pracowników, armatorów i marynarzy.

Kadeci udający się na ląd na przepustkę powinni zawsze wkładać mundur okrętowy chyba, że będą udawać się specjalnie jako zaproszeni do wzięcia udziału w grach sportowych. Z pewnością zbierze się na okręcie drużyna piłki nożnej i jedenastka do cricketa.

Powinno się wystawiać wachtę portową (inną niż wachta kotwiczna), składającą się z jednego starszego i dwóch młodszych kadetów. I, ogólnie rzecz biorąc, powinno się przestrzegać odpowiedniej ilości przepisów regulaminu zarówno na morzu jak i w porcie. To sprzyja zachowaniu poczucia godności osobistej tak wśród szeregowych jak i przełożonych.

* (powinno być „kapitan Cope”. Błąd drukarski lub Conrada).

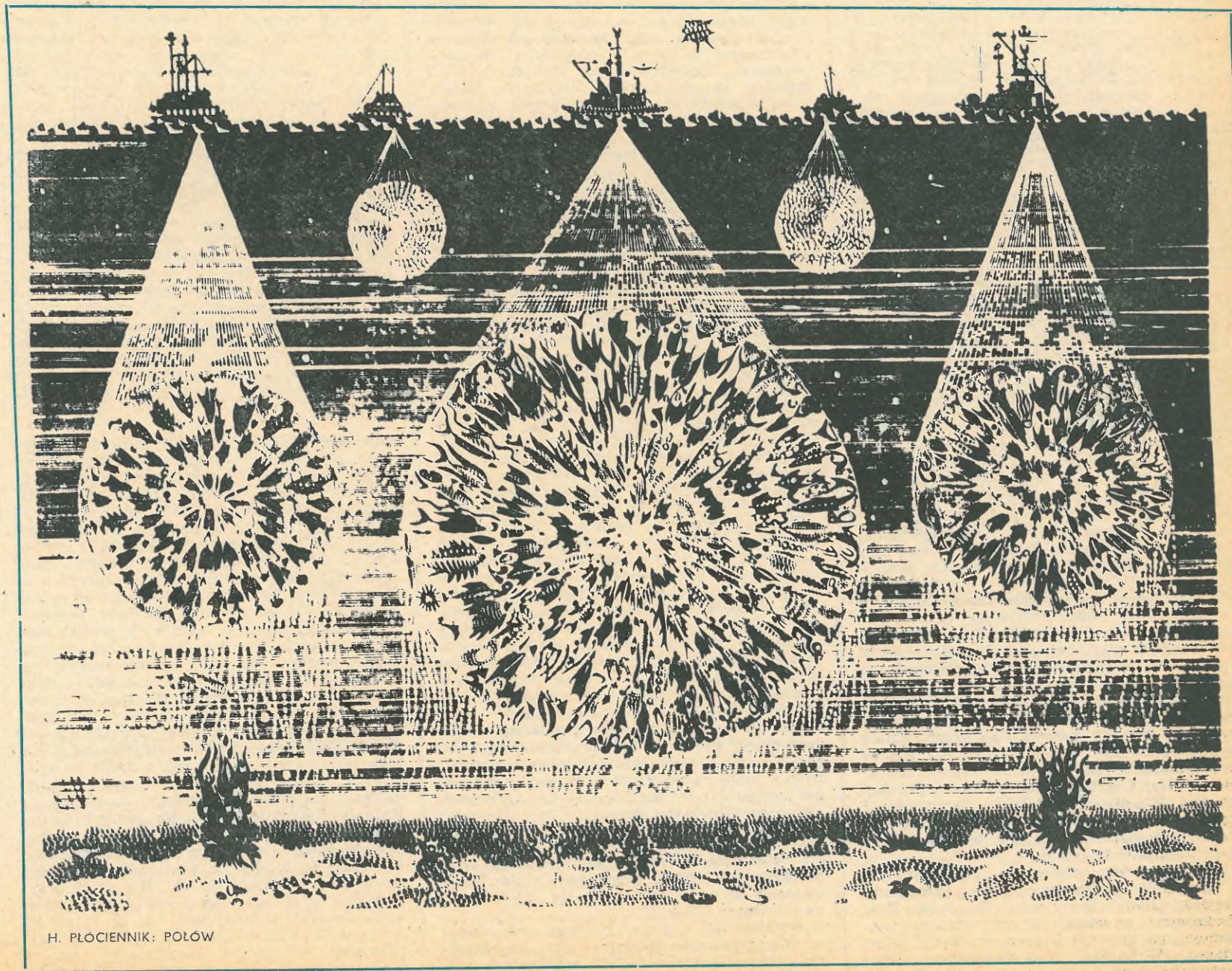
Kilka słów o fregacie „Torrens” (od tłumacza) Fregata „Torrens”, zbudowana w 1875 r. w stoczni James Laing w Sunderland w Anglii dla armatora A.L. Elder and Co. z Londynu miała, według roczników Lloyd's Register, tonaż rejestrowy 1334 — Conrad w swym memorandum pisze o 1270 tonach, różnica to w gruncie rzeczy bez żadnego znaczenia. Również nazwisko kapitana Walkera H. Cope zmienił Conrad, lub chochlik drukarski, na Coe.

Conrad zaokrętowany był na „Torrensie” od 19.11.1891 do 27.7.1893 (choć wpisano mu datę wyokrętowania w oficjalnej liście załogi jako 17.10.1893), odbył na tym okręcie dwuletnie podróże do Australii jako starszy oficer. Załogi i oficerów pływano na tej fregacie 35, oprócz nich także 5 praktykantów, których był wychowawcą i opiekunem. Przeciennie odbywało na „Torrensie” podróże 60 pasażerów. Tak więc na okręcie przebywało przeciętnie 100 osób.

„Torrens” pływał na szlaku australijskim do 1903 roku, potem odkupił go armator włoski, pod włoską banderą uległ awarii wchodząc na skały. Wyremontowany pływał aż do ponownego rozbicia się o skały. Wrak odholowano do Genui, gdzie w 1910 roku pocięto go na złom.

Plany „Torrensa” przesłał Muzeum Morskiemu w Gdańsku pan Jerzy Płoszczański z Anglii, niedługo już miłośnicy dawnych okrętów będą mogli oglądać model tej pięknej fregaty w Zurawiu obok innych modeli okrętów, na których pływał Conrad (pan Płoszczański przesłał także plany „Otogo” i stateczku bocznołowego „Rois des Belges”).

Conrad napisał jeszcze w 1923 roku dla pisma „The Blue Peter” (po polsku „Piotruś”, czyli flaga kodu sygnałowego P, oznaczająca, że okręt wychodzi na morze) osobny esej pt.: „The Torrens: A Personal Tribute” (pol. „Torrens: hołd od mej osoby” — na polski jeszcze również nie tłumaczony), lecz brak w nim opisów technicznych fregaty. Dlatego „memorandum” pozostanie jedynym dostępnym opisem technicznym, który pozwala na bardziej szczegółowe poznanie tego pięknego okrętu, do którego Conrad czuł do końca życia tak wielkie przywiązanie. (J.M.)



Edgar Milewski

Historyczny kształt i współczesna funkcja

Zamierzamy dziś zastanowić się nad historycznym kształtem i współczesną funkcją Głównego Miasta Gdańska. Fragmentarycznie podejmowaliśmy ten temat na naszych łamach wielokrotnie — ostatnio w setnym zeszycie „Liter” (kwiecień 1970 r.), w związku z odbudową wnętrza Ratusza Głównomińskiego oraz powołaniem Muzeum Historii Gdańska. Dziś próbujemy przedstawić problem bardziej kompleksowo, ukazać jego złożoność i aktualność w możliwie najszerszej, społecznej skali.

Punktem wyjścia naszych rozważań jest przypomnienie, jest świadomość faktu, iż decyzja odbudowy Gdańska podjęta wiosną 1945 roku, w politycznych, społecznych i ekonomicznych realiach zrujnowanego wojną kraju, była myślą równie heroiczną, jak historyczna decyzja odbudowy Warszawy. Jest świadomość, iż dokonane dzieło rekonstrukcji zabytkowego zespołu Głównego Miasta stało się przedmiotem dumy mieszkańców Gdańska i zachwytu świata, realizacją kwalifikowaną powszechnie do największych przedsięwzięć konserwatorskich powojennej Europy i zarazem do największych atrakcji krajoznawczo-turystycznych Polski.

Celem dyskusji, która nie wątpimy rozwinięć wśród Czytelników, jest zarysowanie charakteru i zasięgu zjawiska, określenie współczesnej funkcji Głównego Miasta, stanowiącego dokument historii i muzeum sztuki, ale i żywotną dzielnicę Gdańska, zamieszkałą przez kilkanaście tysięcy obywateli drugiej połowy dwudziestego wieku, integralną część dynamicznie rozwijającego się zespołu urbanistycznego Trójmiasta, no i reprezentacyjne miejsce, artystyczny salon, w którym koncentruje się masowy ruch turystyczny, przybierający obecnie milionowe natężenie.

Problem narastał od lat, był też i jest częściowo, mniej lub bardziej sensownie rozwiązywany. Na poczynaniach tych ciążył brak generalnej koncepcji, wszechstronnie sformułowanego programu, wieloletniego z pewnością, lecz konsekwentnie obowiązującego planu działania.

Pragniemy podkreślić zarówno pilną potrzebę takiego programu, jak i trudność definiowania pewnych ustaleń, przedstawić przynajmniej niektóre podstawowe społeczno-kulturalne aspekty zagadnienia, ich historyczne i ekonomiczne uwarunkowania, przedyskutować na tle aktualnego stanu rzeczy odnośnie opinii i perspektywiczne propozycje.

O wypowiedzi na ten temat zwróciliśmy się do gospodarzy miasta: zastępcy przewodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej Gdańska mgr. Ferdynanda Mackiewicza i architekta miejskiego inż. Zbigniewa Czernichowskiego. Swoimi doświadczeniami z okresu odbudowy Głównego Miasta oraz wskazaniami istniejących w jego obrębie braków i potrzeb rekonstrukcyjnych, dzieli się (na dalszych stronach) kolejny konserwatorzy gdańskich zabytków: Bronisław Mieszkowski, Barbara Roll, Henryk Raczyniewski, Ryszard Massalski i Tadeusz Chrzanowski. Krytyczne uwagi, osobiste i ogólniejsze odczucia mieszkańców Gdańska wyraża publicysta Bogusław Holub.

Inicjatywa tego wielogłosu „Liter” wyszła z inspiracji przewodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej Gdańska Jana Nikolajewa i nawiązuje do problematyki rozpisanej na zlecenie Prezydium Rady, przez oddział „Wybrzeże” Stowarzyszenia Architektów Polskich, konkursu na projekt archi-

tektoniczno-urbanistycznego przekształcenia obszaru Głównego Miasta. Jest to konkurs, o którym winien wiedzieć i rozstrzygać cały Gdańsk.

*

Milewski: Jak dotąd, poza zwięzłymi komunikatami w „Trybunie Ludu” i „Głosie Wybrzeża”, nie wiadomo o gdańskim konkursie. Nie dyskutuje się o nim, nie pisze i nie mówi. Dlaczego? Czy ma on charakter zamknięty? Adresowany wyłącznie do kręgu fachowców, architektów i urbanistów?

Mackiewicz: Konkurs jest otwarty, powszechny, nieograniczony. Chodzi właśnie o uzyskanie opinii najszerszych kręgów społecznych, gdyż problemy Głównego Miasta są problemami przekraczającymi zainteresowania środowiska architektonicznego. Szczegółowiej na ten temat mógłby wypowiedzieć się inż. Czernichowski, jako autor założeń do konkursu. Sądję, że na wstępie należy sformułować dwa generalia — na obszarze Głównego Miasta stoimy bowiem wobec dwóch, najogólniej rzecz biorąc, zagadnień: zrekonstruowania tych fragmentów, które jeszcze nie zostały odbudowane oraz po wtóre właściwego zagospodarowania całości zabytkowego zespołu, zagospodarowania odpowiadającego aktualnym potrzebom, dostosowanego do nowej, współcześnie ukształtowanej funkcji tej historycznej dzielnicy, funkcji jaka na dobrą sprawę wytworzyła się dopiero w ciągu ostatnich paru lat. Obrazując zagadnienie można użyć plastycznego stwierdzenia: przyjemne jest zwiedzanie interesującego muzeum, ale kłopotliwe jest życie w tym muzeum. A Głównie Miasto jest obiektem muzealnym i zarazem osiedlem mieszkaniowym. Zdajemy sobie sprawę, że mieszkańcy Głównego Miasta przeżywają coraz więcej kłopotów wynikających ze stałego wzrostu ruchu turystycznego w Gdańsku. Z kolei przystosowanie Głównego Miasta w pierwszej fazie jego odbudowy do funkcji osiedla mieszkaniowego — a innej alternatywy w powojennych latach dramatycznego głodu mieszkań nie było — ciąży teraz na całym kompleksie urządzeń kulturalno - handlowo - gastronomiczno - usługowych, wykazując ich bezradność wobec nowego masowego zjawiska.

Czernichowski: Podejmowane obecnie niektóre działania zmierzające do zmiany profilu istniejących urządzeń usługowych, zmiany użytkownikom poszczególnych lokali handlowych i biurowych, podejmowane przebudowy tych lokali, adaptacje przedproży, itp. — nie poparte są żadną analizą kompleksową i nie wynikają z konkretnego planu działania, a prowadzone są jedynie pod szerokim, lecz wieloznacznym hasłem konieczności dostosowania obszaru Głównego Miasta do zmieniających się potrzeb. Świadomym założeniem ogłoszonego konkursu jest jego problemowy charakter. Oczekujemy nie projektów gotowych do realizacji, lecz wyboru propozycji, w formie twórczych koncepcji i przemyślanych wypowiedzi, celem ustalenia zasad planu i wykrystalizowania programu. Pragniemy sformułować najbardziej funkcjonalne rozwiązanie przez analizę problemu, przez możliwie wszechstronny sondaż opinii społecznej. Konkurs gdański jest konkursem ogólnopolskim, dostępnym dla każdego obywatela kraju. Składa się z części rysunkowej i opisowej, przy czym forma wypowiedzi jest sprawą uczestnika — niekoniecznie więc trzeba być architektem czy urbanistą, z powodzeniem może to być przewodnik PTTK czy plastyk, literat lub dziennikarz. Cenilibyśmy sobie również udział w konkursie ludzi „najbardziej doświadczonych”, czyli mieszkańców Głównego Miasta.

Milewski: Jeśli tak, to obawiam się czy konkurs został dostatecznie rozpropagowany. Nie przesądza jednak jego planu, jakie podstawowe kwestie domagają się rozwiązania na Głównym Mieście?

Czernichowski: Należy uzyskać odpowiedź na fundamentalne pytanie — czy znaczącej intensyfikacji urządzeń usługowych rozwijana drogą bardziej radykalnych prze-

kształceń fragmentów Głównego Miasta nie odbija się ujemnie na jego charakterze. Jak wiadomo cały ciąg Królewskiej Drogi, złożony z ulicy Długiej i Długiego Targu, należy do zabytków klasy „0” zabezpieczonych w swoim historycznym kształcie ustawą o ochronie zabytków, czujnie przestrzeganej przez konserwatora. Możliwości adaptacyjne są tu ściśle ograniczone i niezmiernie trudne. Jest pytanie jaka forma rozwoju i intensyfikacji urządzeń kulturalnych i usługowych na obszarze Głównego Miasta będzie najwłaściwsza: czy np. należy jedynie zmieniać przeznaczenie istniejących lokali, czy drogą likwidacji znajdujących się na parterach budynków mieszkalnych należy rozwijać sieć niezbędnych usług, czy rozwój powierzchni lokalowej postulowanych usług winien następować drogą likwidowania mieszkań w kolejnych kamieniczkach, czy może drogą budowy pasaży we wnętrzach blokowych? Jest wciąż otwartym pytaniem jakiego rodzaju program usług kulturalnych, handlowych, turystycznych winien rozwijać się w poszczególnych fragmentach ulicznych ciągów (Piwna, Mariacka, Chlebnička, Ogarna, św. Ducha, Szeroka, Długie Pobrzeże, Targ Rybny) oraz jaki wymiar tych urządzeń byłby najbardziej zgodny z historycznym nastrojem i nowoczesną funkcją poszczególnych obiektów i lokalizacji (małe kafejki, intymne czytelnie, kameralne kin, teatrzyki przy stoliku, artystyczne piwnice, lody pod parasolem na przedprożach, czy wielkie sceny, nowoczesne Kluby Międzynarodowej Książki i Prasy, rozległe gospody, estrady tańca?). Twórczej koncepcji i artystycznej inwencji wymaga też odpowiedź na pytanie: jaka forma plastyczna ciągów pieszych i jezdnych oraz oświetlenia i podświetlenia byłaby najkorzystniejsza dla walorów i atmosfery Głównego Miasta, w szczególności ulicy Długiej i Długiego Targu. Brak odpowiedzi na te pytania wywołuje obecnie merytoryczne kontrowersje i konflikty, a w przypadkach poszczególnych realizacji natopka na różnorodnej trudności. Poza zasygnalizowanymi już ograniczeniami adaptacyjnymi obiektów zabytkowych wskazał bym na tak istotne trudności jak: nierównomierność rozwoju poszczególnych grup usługowych — zjawisko uwarunkowane limitami odnośnych inwestycji; zderzanie wielu obiektów oraz granice jakie planom wyznaczają tu ciasne uliczki, bezpieczeństwo ruchu, sprawność dojazdu (ważne dla zaopatrzenia usług) i pojemność parkingowa określonych terenów. Program, który zamierzamy sformułować nie będzie zatem ani łatwy w realizacji, ani krótkotrwały.

Milewski: Trzeba chyba w tym miejscu przypomnieć rzecz ogromnie w Gdańsku udaną, świadomie poczętą przez ojców miasta, przy aplauzie konserwatorów i walnym współudziale społeczeństwa. Mam na myśli przykłady tak trafnego kojarzenia zabytkowego charakteru historycznych budowli z nową, współczesną, kulturotwórczą funkcją, jak lokalizacja Muzeum Morskiego w unikalnym dźwigu portowym nad Motławą, słynnym Żurawiu, umieszczenie siedziby Muzeum Archeologicznego w Domu Przyrodników, przekształcenie dawnej Zbrojowni w arsenał sztuki, poprzez oddanie renesansowego przeszklonego, dającego znakomite światło obiektu Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, odnowienie poklasztornych gotyckich krużganek dla ekspozycji zbiorów sztuki pomorskiej, przekazanie Złotej Kamieniczki, o nie byle jakich tradycjach armatorskich, na pracownię badawczo-naukowe Instytutu Morskiego i Instytutu Bałtyckiego, udostępnienie Ratusza Staromiejskiego dla potrzeb Wojewódzkiego Domu Kultury oraz Gdańskiego Urzędu Stanu Cywilnego, rzecz nie bagatelna, jako że trudno o wspanialsze tło dla urody młodych par, itd., itd. Nie są to przypadkowe przykłady, lecz szereg przemyślnych decyzji, układających się w sprecyzowaną linię polityki kulturalnej, polityki wynikającej z naszych ustrojowych założeń i nie wstydzimy się tego wyznania, z samej istoty socjalistycznej idei upowszechnienia

nauki i oświaty, kultury i sztuki. Wydaje mi się, że ten proces umiejętnego kojarzenia tradycji ze współczesnością można na obszarze Głównego Miasta długo jeszcze rozwijać.

Mackiewicz: W obrębie Głównego Miasta, a także poza nim mamy sporo zabytkowych obiektów (Piwnice pod Ratuszem Głównego Miasta, piwnice Dworu Artusa, całe szeregi unikalnych przedproży na Długim Targu, Piwnę czy Mariackiej, obiekty tak wdzięczne jak Stągwie Mleczne), na które nie możemy znaleźć użytkowników. Amatorów nie brak, trudność polega na znalezieniu odpowiedniego użytkownika, to jest takiego, który byłby zarazem inwestorem, posiadał środki i limity, no i zapewniał to, co równie ważne, pełną odpowiedzialność wobec przejętego obiektu, jego kulturalnego charakteru i artystycznej rangi, historycznego kształtu i współczesnej funkcji. Dążymy do selekcji, do wyboru najlepszych walorów, najpożyteńszych usług, usprawniania funkcji, ale jesteśmy pod presją wielu potrzeb, pod naciskiem jednostkowych, egoistycznych interesów wielu przedsiębiorstw i instytucji. Trzeba przełamywać ich aspołeczne nastawienie. Przyjrzyjmy się co dzieje się na Królewskiej Drodze, w ilu obiektach zasiedli się niepotrzebni tu dziś przedsiębiorcy. Otrzymali lokalizację uzasadnioną w pierwszych powojennych latach i dzisiaj żądają lokali zastępczych. Liczymy, że wiele niezbędnych zmian podpowiedzą nam wyniki konkursu. Rozwiązanie problemu widzę w zastosowaniu zasad analogicznych do procesu deglomracji. Należy wytypować w trzech etapach: instytucje, które powinny bezwzględnie być wykwaterowane z terenu Głównego Miasta, te które muszą czasowo pozostać, lecz bez prawa dalszego powiększania powierzchni użytkowej oraz te, które ze względu na swój charakter i funkcje winny być popierane w lokalizacjach na tym obszarze. Pragnę też zwrócić uwagę na pewne nowe perspektywy odsłaniające się w związku ze zmieniającym się układem demograficznym Gdańska. Ani się spostrzeżliśmy, kiedy w pierwszej dzwigniętej z wojennych ruin dzielnicy miasta wyrosło nowe pokolenie, zakładające teraz nowe rodziny w Osiedlu Młodych czy na nowoczesnym Przymorzu. Od paru dobrych lat maleje frekwencja w przedszkolach „starówki”, do szkół podstawowych Głównego Miasta (nr 37, 50, 51) dowozi się dziś uczniów z dalszych dzielnic, zwolniły się podwórka i place dziecięcych zabaw. Stwarza to szanse ciekawego zagospodarowania — pasaże handlowe, ogródki kawiarniane, ekspozycje plastyczne — i w tym zakresie liczymy na konkursową inwencję, funkcjonalne koncepcje.

Plon konkursu będzie poddany ocenie wieloosobowego jury, a następnie stanie na porządku obrad specjalnej sesji Miejskiej Rady Narodowej. Otwarta zostanie także wystawa prac konkursowych co z wielokrotności sondaż społecznej opinii i krytyczną analizę. Sesja jest nam potrzebna dla wzmocnienia naszego stanowiska, nadania obowiązującej mocy programowym sformułowaniom. Po prostu po to, aby mieć w ręku plan i zacząć go realizować.

* * *

Bronisław Mieszkowski

Rzut oka wstecz na odniesione sukcesy i doznane niepowodzenia konserwatorskie w ciągu ubiegłego ćwierćwiecza nie daje okazji do cichej i błogiej kontemplacji. Przywrócenie miastu życia, doprowadzenie go do poważnego rozrostu i rozkwitu, to były trudne ale nieuniknione wysiłki. Czy jednak zrobiliśmy wszystko co trzeba i co należało wykonać?

Odbudowa zabytkowej dzielnicy Głównego Miasta może napawać dumą i satysfakcją. Tutaj należałoby chyba wreszcie podać do

publicznej wiadomości, że koncepcja urbanistycznego układu zabudowy Gł. Miasta wyszła spod ręki licznej grupy architektów, którzy swoje studia i prace prowadzili w Gdańsku z inicjatywy prof. dr. Jana Zachwatowicza, wówczas Generalnego Konserwatora Zabytków PRL. Byli to: prof. dr Piotr Biegański, inż. inż. Bruno Zborowski, Kazimierz Salski, Wacław Podlewski, Zofia Chojnacka, dr Stanisław Bobiński i inni. Drugim niewątpliwie pozytywnym osiągnięciem jest przywrócenie ulicom miasta, w szczególności Długiej, Długiemu Targowi i Mariackiej, ich historycznych elewacji; one przede wszystkim kształtują oblicze odbudowanego śródmieścia, stanowiąc magnes dla nieustannie napływającej fali zwiedzających.

I jeszcze jeden powód do wyrażenia podziwu i uznania. Łata pracy pierwszego dziesięciolecia, najeżone nieprzebranymi trudnościami i wyrzeczeniami osobistymi, na przykładzie śródmieścia Gdańska (i nie tylko Gdańska) potwierdzają jak wiele zapału, entuzjazmu i wręcz zawziętości przy realizacji zadania odbudowy i rekonstrukcji, wnosili ludzie, najczęściej bardzo młodzi i prawie zawsze nie przygotowani dostatecznie pod względem fachowym. Pomimo to prace projektowe, znaczna większość robót murarskich, tynkarskich, kamieniarskich, rzeźbiarskich itp. jakie są ich dziełem, zbierają wciąż pochwały z ust swoich i obcych.

Cóż, kiedy występują równocześnie i negatywy. Nadal widzimy wyszczerbione mury spichrzów po przeciwległej stronie Motławy, puste i ospale odbudowujące się Długie Połbrzeże, a przecież nie tak odległe są czasy gdy można było wśród ciżby ludzi ocierać się o kosze świeżych ryb, jarzyn i kwiatów na tym pulsującym życiem „rynku” gdańskim. Trzeba tu przyspieszyć odbudowę, załudnić półbrzeże Motławy i ożywić je, jeśli nie na włoski wzór corocznych „mostra di fiori”, to przynajmniej wydawnictwami „Ruchu”, dobrym zaopatrzeniem pamiątkarskim i kawiarniami, z myślą o stałych mieszkańcach i o turystach, szukających odpoczynku i odprężenia po obejrzanym bogactwie form artystycznych w murach mniej czy więcej zabytkowych ulic.

Szereg późnobarokowych kamieniczek w bezpośrednim otoczeniu kościoła św. Jana rozsypane są od wielu lat, mimo bezowocnych prób przebudowy i przystosowania ich wewnątrz do użytku rzemiosła, spółdzielni itp. Dwie bramy, Złota i Cmentarna przy kościele Panny Marii wciąż mają zachowaną równowagę bo brak im niezbędnej oprawy i podparcia w postaci jednej czy dwóch kamieniczek. Kilka wież od dawna czeka na przykrycie ich hełmami (Wieża Więzienna, kościół św. Katarzyny, 6 wieżyczek na kościele Mariackim) albo na dokończenie złocen (środkowa partia hełmu wieży ratuszowej). Razi brak zieleni wzdłuż murów obronnych i ulic; wszak nie tylko Dł. Tang i Długa były niedawno jeszcze zadrzewione, ale nawet Mariacka. Dobry przykład z ul. Piwnę powinien by tutaj wpłynąć na ożywienie zielenią śródmieścia, zwłaszcza, że projekty sporządzone dość dawno. Brak zieleni na Długiej przy bezwzględny zakazie lokalnego nawet ruchu samochodowego, sprawia wrażenie martwoty na tym głównym szlaku, coś tu więc nie jest w porządku. Sądzę, że umiarkowane stosowanie ograniczeń (jak to ma miejsce np. na ul. Floriańskiej w Krakowie) nie przyniosłoby szkody tej zabytkowej ulicy.

Zastanawiają mizerne rezultaty starań o należyty wygląd i stan techniczny budynków. Jeszcze kilka lat tego rodzaju „opieki” nad budynkami Głównego Miasta a trzeba będzie rozpocząć generalne remonty dachów, rynien, tynków a niezależnie od nich i przedproży, gdzie coraz częściej ubywa nosów i łokci rzeźbionym w kamieniu figurom. Czy nie szkoda tego wielkiego wysiłku i kosztów?

Generalny temat do narzekania to budynek Zbrojowni, obstawiony w wyrafinowany sposób nową architekturą, z jednej strony czymś na kształt najstarszego typu piramidy, z drugiej budynkiem zbliżonym do rozciągniętego akordeonu. Jest to drastyczny przykład

nietolerancji zabytków ze strony ludzi skądinąd kulturalnych. Co gorsze, nie jest to jedyny przykład tego rodzaju.

Na liście dezyderatów powinny się znaleźć moim zdaniem trzy sprawy — wszystkie dużej wagi. Dwie pierwsze stawiają potrzebę poważnej i rzeczowej analizy planów zagospodarowania i naprawy murów twierdzy w Wisłoujściu oraz pozostałych jeszcze fortyfikacji ziemnych na pld.-wschodnim obrzeżu miasta. Pilnej naprawy wymagają wszystkie lica murów, stojących poniżej zwierciadła wody, a widok rozdeptywanej ziemi na każdym z 6 bastionów nie wymaga komentarzy.

Trzeci problem wiąże się z najstarszymi dziejami Gdańska i historią wykopalisk. Niemcy natrafili przed wojną na ślad słowiańskiego osadnictwa i — nie podjęli badań. Prof. dr Konrad Jażdżewski ze swymi współpracownikami po latach prac archeologicznych wydobył z ziemi tysiące dowodów, potwierdzających słowiański charakter naszego miasta w wieku X i następnych. Można te dowody oglądać na doskonałym pokazie w Muzeum Archeologicznym przy ul. Mariackiej. Czyżby to miała być jedyna pod wzgl. wizualnym forma udowodnienia i współczesnej nauce i ogólnej opinii świata naszych, dobrze już zasiedziały praw do ujścia Wisły? Jestem przekonany, że nie. Naszym obowiązkiem powinno być chyba zorganizowanie skansenu na miejscu pierwotnego miasta. Takie jest przynajmniej moje skromne zdanie.

Henryk Raczyński

Zachowanie pomników naszej kultury dla przyszłości to główne zadanie służby konserwatorskiej. Z uwagi na szerokie zainteresowanie społeczeństwa problematyką ochrony zabytków z okazji przypadającej rocznicy 25-lecia PRL pragnę podzielić się swymi wspomnieniami, analizując jednocześnie realizację głównych zamierzeń oraz przedstawić propozycje dalszego uporządkowania i zagospodarowania naszej morskiej stolicy.

Na wstępie muszę stwierdzić, że opracowana i przyjęta koncepcja zagospodarowania miasta w swoim historycznym urbanistycznym układzie przestrzennym, przy zachowaniu większości zabytków pomimo ich ogromnych zniszczeń, została w pełni zrealizowana. Do pracy tej przystąpiło prawie całe społeczeństwo miasta, wydobywając z gruzów ocalałe relikty, by w oparciu o pieczołowicie opracowaną przez zespoły architektów, historyków architektury i sztuki dokumentację — mogli one wrócić na swoje dawne miejsce. Dobrze się stało, że entuzjazm mieszkańców towarzyszył dziełu odbudowy, które przędzie do chlubnych kart polskiej sztuki konserwatorskiej. Do najciekawszej i najpoważniejszej pracy konserwatorskiej zaliczyć należy uratowanie cennych sklepień i filarów kościoła Mariackiego. Była to największa z prac konserwatorskich prowadzonych w owym czasie w Europie. Odbudowa Ratusza Prawomiejskiego, Dworu Artusa, Żurawia, Bram Nadmotławskich, młynów, kamieniczek gdańskich oraz wielu obiektów sakralnych postępowała w czasie, gdy bezpośrednio po wojnie państwo nasze wobec ogromu potrzeb i konieczności usunięcia innych poważnych szkód wojennych, starać się musiało o ustabilizowanie sytuacji ekonomicznej kraju.

Gdy w latach 1952/53 pełniłem w zastępstwie funkcję konserwatora miejskiego (z powodu braku takiego etatu) — do sukcesu zaliczam zdobywanie materiałów budowlanych, niezbędnych do prac zabezpieczających. Np. w porcie gdyńskim przy załadunku na statki, skrzętnie zbieraliśmy z ziemi rozsypany cement z uszkodzonych papierowych worków. Drewno otrzymaliśmy dzięki życzliwości Dyrekcji Lasów Państwowych w Gdańsku, oplaćając i mobilizując we własnym zakresie

ludzi do wyrębu i transportu dłużyc z pobliskich lasów w Sulęcynie, tak koniecznego budulca na wysokie rusztowania. W stal zbrojeniową zaopatrywaliśmy się w składnicach złomu, w nietypową dachówkę i cegłę z obiektów przeznaczonych do rozbiórek. Korzystaliśmy również z cennych przydziałów państwowych.

Pracownicy służby konserwacyjnej spotykali się niestety i z przestępczością. Kradzieże pod pozorem zabezpieczenia zabytków, nielegalne rozbiórki obiektów zabytkowych bez uzyskania koniecznego zezwolenia. Zabezpieczaliśmy np. budynki przed dewastacją zamurując otwory okienne i drzwiowe. Przypominam sobie, że w przeciągu 2 tygodni w jednym z obiektów rozbito zabezpieczenia aż pięciokrotnie. Jak się potem okazało, wysoko nad nawami, w resztkach ocalałych sklepień ukryto pochodzące z kradzieży towary. A więc i pomoc organów milicji w pracy konserwatorów była nieodzowna.

Po intensywnym finansowaniu prac konserwatorskich wyłącznie przy obiektach zabytkowych miasta Gdańska, w latach 1958–1960 i dalszych nastąpiła koncentracja środków na ratowanie zabytków w powiatach województwa. W czasie tym, gdy byłem na stanowisku Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, nastąpił podział środków dla zabezpieczenia potrzeb miejskiego i wojewódzkiego konserwatora zabytków. Przystąpiono do pełnej inwentaryzacji i klasyfikacji ocalałych od zniszczeń wojennych dóbr kultury, szczególnie na terenie województwa.

Liczne obiekty wymagały szybkiego zabezpieczenia substancji zabytkowej przed dalszą dewastacją i ujemnymi wpływami atmosferycznymi. Między innymi zabezpieczono szereg domów podcieniowych na Żulawach i na Helu, przeprowadzono prace konserwatorskie na murach obronnych w Lęborku, Skarszewach, Gniewie i Malborku, odbudowano wiatraki w Jegłowniku, Wikrowie i Tczewie, odgruzowano i zabezpieczono zamek w Malborku oraz wiele innych cennych obiektów zabytkowych. W Gdańsku uratowano przed rozbiórką kamieniczkę przy ul. Świętojańskiej 70/71 — róg Lawendowej. Jest to jeden z niewielu obiektów autentycznych — nierekonstruowanych, który zachował dawną elewację mimo jej zagrożenia z uwagi na poważne odchylenie od pionu. Pracownia Konserwacji Zabytków w Gdańsku obiekt ten uratowała przez zastosowanie stalowych obrczy, ściągając bryłę jak beczkę. Dzięki temu zabiegowi mamy w Gdańsku „krzywy dom”. Odbudowując z takim trudem Gdańsk, pragnęliśmy by pięknem jego ulic i sieni zachwycił się każdy w podobny sposób jak to odczuł i opisał w swoim dzienniku podróży po Polsce w XVI w. Karol Ogier. Problem ochrony zabytków nadal jest aktualny. Dużo spraw wymaga decyzji a może i publicznej dyskusji, a na pewno społecznej pomocy.

Spacerując po Gdańsku, odczuwam brak „klimatu” miasta portowego — miastu brak pełnego wykończenia, już rozpoczętego i tak zaawansowanego dzieła odbudowy, ostatecznego i właściwego szlif z zagospodarowania tego „okna na świat” — morskiej stolicy PRL. Brak opieki społecznej nad wykończonymi już elementami architektonicznymi powoduje, że to co zostało z takim pietyzmem odbudowane, często zrekonstruowane przy dużym nakładzie sił i środków — ulega ponownemu zniszczeniu i dewastacji.

Po pierwszym okresie przymusowej lokalizacji wielu instytucji, przedsiębiorstw w kamieniczkach przy ulicy Długiej i Długiego Targu winna nastąpić rewizja celowości poprzednich decyzji. Dobrze się stało, że powołano już Muzeum Historyczne w Ratuszu Prawomiejskim. Szkoda, że nie pomyślano jeszcze o właściwym zagospodarowaniu Barbakanu Gdańskiego, Domu Uphagena przy ulicy Długiej 12, Dworu Artusa i jego piwnic. Rekonstrukcja i zagospodarowanie wnętrza Domu Uphagena i Dworu Artusa na cele muzealne i recepcyjne nie powinno już budzić wątpliwości. Dajmy społeczeństwu, przede wszystkim młodzieży, kilka przykładów

wystroju wnętrza mieszkalnego — kupca i patrycjusza gdańskiego. Ewentualne ekspozycje problemowe w Ratuszu Prawomiejskim nie rozwiążą zadania pokazania dorobku dawnego i nowego Gdańska ze względów funkcjonalnych. Włączenie do ekspozycji całego ciągu obiektów począwszy od Bramy Wyzynnej, zespołu Bram Barbakanu, Domu Uphagena, Dworu Artusa a w końcu trasy i ratusza może tylko ułatwić opracowanie takiego scenariusza, który lepiej niż dotychczas zapozna rzeszę turystów z historią naszego miasta. Jeśli na zakończenie zwiedzania, turysta będzie mógł spocząć w kawiarni lub restauracji piwnicznej Dworu Artusa — na pewno wyjedzie zadowolony, syt świadomości i wrażeń z Gdańska.

Nasze miasto oddajemy przyszłym pokoleniom jeszcze piękniejsze niż było. Z biegiem lat zapomnimy jednak o dawnych zniszczeniach. Dlatego proponuję zorganizować w kościele św. Jana lapidarium, stałą wystawę — świadectwo grozy i zniszczeń wojennych, walk i martyrologii rodaków gdańskich. Musi być to nowoczesna ekspozycja, oparta na filmach i dźwięku. Należałoby pomyśleć o zagospodarowaniu Wyspy Spichrzów — znanej z wielu cennych zabytków jak np. spichlerza „Szara Gęś”. — Szczyt marzeń to rekonstrukcja fragmentu fosy obronnej i przekazanie Wielkiego Młyna na inne cele użyteczności publicznej.

Liczne kafejki, drobne sklepy i estetyczne stragany nad Motławą, zagospodarowane przedproża, zapach kawy, wina, owoców, smażonych i wędzonych ryb to niezbędne elementy życia i wystroju miasta portowego.

Odbudowa i przebudowa Gdańska w 25-lecie po wojnie, związana z przeobrażeniami społecznymi, gospodarczymi i kulturalnymi w naszym kraju to jedno z największych osiągnięć naszego socjalistycznego ustroju, które winniśmy znać i należycie cenić.

Barbara Rol

Kiedy po ukończeniu studiów w roku 1957 rozpoczynałam pracę w Gdańsku, zabytkowy zespół głównego miasta był już w zasadniczej swej części odbudowany. Stąd też niewiele mogłabym powiedzieć i prawdę mówiąc nie czuję się kompetentna mówić o wielkiej pracy poprzedzającej to olbrzymie i trudne przedsięwzięcie jak również o niełatwej jego realizacji. Ten temat z pewnością najlepiej może nakreślić ówczesny, długoletni wojewódzki konserwator mgr Bronisław Mieszkowski. Mnie w udziale przypadło jedynie kontynuowanie odbudowy rekonstruowanych częściowo fragmentów zabudowy miejskiej, według przyjętych uprzednio koncepcji. I dlatego w mej dalszej wypowiedzi poruszę raczej zagadnienia natury ściśle konserwatorskiej, które stanowiły dla mnie interesujący i nieraz trudny problem do rozwiązania.

W 1961 r. po czterech latach pracy w biurze konserwatorskim, objęłam stanowisko wojewódzkiego konserwatora zabytków. Przez trzy pierwsze lata działalność moja dotyczyła głównie obiektów położonych na terenie województwa, gdyż miasto posiadało w owym czasie stanowisko miejskiego konserwatora, który samodzielnie prowadził zagadnienia ochrony i konserwacji zabytków Gdańska. Mój ścisły i bezpośredni kontakt z gdańskimi zabytkami nastąpił z początkiem 1964 r., kiedy to w trakcie reorganizacji miejskich wydziałów kultury Trójmiasta stanowisko miejskiego konserwatora zostało zlikwidowane a całokształt jego spraw włączono ponownie do wojewódzkiego biura konserwatorskiego (stan taki trwa do dziś). Jednakże już około roku wcześniej przekazano wojewódzkiemu konserwatorowi prowadzenie czołowego zespołu zabytkowego miasta, a mianowicie wystroju Wielkiej Sali Rady (zwanej także

Salą Czerwoną). Był to jeden z pierwszych problemów gdańskich w mojej działalności konserwatorskiej a zarazem najpoważniejszy i chyba najtrudniejszy na przestrzeni ostatnich lat.

Wspaniałe, pochodzące z przełomu XVI i XVII wieku wyposażenie zachowało się niemal w całości, dzięki zdeponowaniu i przechowaniu go w okolicach Gdańska. Nie zachowała się jedynie tkanina z 2 poł. XVIII wieku, którą wyłożone były ściany oraz zdekompletowane zostały obrazy późnobarokowe dodane również w 2 poł. XVIII wieku. Kiedy na początku 1963 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki, które do tego czasu bezpośrednio nadzorowało i finansowało konserwację zabytków malarstwa i rzeźby, zdecentralizowało te uprawnienia na rzecz konserwatorów, przejęłam jako ówczesny konserwator kontynuowanie prac przy wystroju Wielkiej Sali Rady. Prowadzone od wielu lat przez Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków roboty o charakterze zabezpieczającym oraz rekonstrukcją brakujących elementów były na ukończeniu i należało przystąpić do końcowego i zarazem najtrudniejszego etapu prac tj. ustalenia ostatecznej koncepcji kolorystycznej całości. Dotyczyło to głównie płaskorzeźbionych fryzów i kasetonowej oprawy stropu, które w 2 poł. XIX w. otrzymały nową polichromię. Zagadnienie było o tyle trudne, że niewiadomym był stan zachowania autentycznej, XVI/XVII-wiecznej polichromii pod warstwą XIX-wieczną, a jednocześnie ta ostatnia w razie niestwierdzenia pierwotnej winna być respektowana. Ustalono więc możliwie pełny zakres prac badawczo-odkrywczych. Większość odkrywek wykazała istnienie autentycznej polichromii w dobrym stanie ale rzeczą nader istotną było zachowanie świetne zróżnicowanie kolorystyczne górnych, płaskorzeźbionych gzymsów i ram ze stropu, zupełnie odmienne od koncepcji XIX-wiecznej. Wobec powyższego, z udziałem wielu wybitnych specjalistów, zdecydowano zdjęcie XIX-wiecznej polichromii oraz częściową rekonstrukcję autentycznej polegającą na dążeniu do scalenia kolorystycznego całości. Odślaniana centymetr po centymetrze z wielkim znanstwem i pieczołowitością przez fachowców, doskonale zachowana pierwotna polichromia wymagająca tylko drobnych punktacji, ukazała cały przepych sali i przywróciła jej autentyczny charakter z przełomu XVI i XVII w.

Podziwiając dzisiaj wspaniałą, monumentalną architekturę ratusza oraz piękno jego wnętrza dla nas konserwatorów zabytków i wszystkich, którzy przyczynili się do tego osiągnięcia będą zawsze żywe wspomnienia ile problemów natury konserwatorskiej, architektonicznej czy artystycznej ujawniało się na każdym kroku w trakcie prowadzonych prac, ile wysiłku i starań wymagało niemal każdy jego szczegół. Wracając pamięcią do lat kiedy pełniłam funkcję wojewódzkiego konserwatora muszę stwierdzić, że właśnie ratusz był obiektem najtrudniejszym, w którym przyszło mi prowadzić pewien etap prac zamykający się w latach 1964–1966. Bowiem poza wspomnianą już Wielką Salą Rady wykonane zostały w owym czasie również inne ważne prace jak zabezpieczenie malowideł ściennych w pomieszczeniach Wielkiego i Małego Krzysztofa oraz rekonstrukcja poszczególnych elementów klatki schodowej i galerijki z sieni a także cały szereg nowo projektowanych detali wystroju wnętrza ratuszowych.

Z innych przedsięwzięć konserwatorskich chciałabym wymienić mającą duże znaczenie widokowe dla miasta, renowację wschodniej fasady Zbrojowni, która miała miejsce w latach 1964–65. Zrekonstruowano wówczas zniszczone działaniami wojennymi szczyty i miedziane helmy wież oraz odbudowano klatki schodowe. Na podkreślenie moim zdaniem zasługuje to, że w czasie prowadzonych prac oczyszczono i zabezpieczono powierzchnię rzeźbionych detali kamiennych (renesansowych) oraz zakonserwowano złocenia będące istotnym elementem kolorystycz-

nym fasady. Niestety, te niezwykle ważne dla obiektu prace konserwatorskie, prowadzone po raz pierwszy w Gdańsku na dużą skalę, objęły (z przyczyn finansowych) tylko część środkową fasady. Na podobną renowację czeka jeszcze kamieniarka wież, portali i całej fasady zachodniej. Analogiczny przebieg miała konserwacja Bramy Wyżynnej, do której przystąpiono w r. 1965 ze względu na zaistniały stan awaryjny, a przy której również z uwagi na ograniczone możliwości finansowe objęto pracami tylko (częściowo) elewację zachodnią, głównie jej rzeźbiony fryz oraz rekonstrukcję dwóch lwów wieńczących. Również i tu całość czeka na właściwe uporządkowanie. Z pozostałych prac prowadzonych przeze mnie na terenie Gdańska wymieniałbym jeszcze: rozpoczęcie odbudowy Dworu Miejskiego, remont konserwatorski Bramy Nizinnej, fragmentów murów obronnych i kamieniczki przy ul. Świętojańskiej 70/71, odbudowę Małego Młyna i adaptację wnętrza Wielkiego, a także badania stanu konstrukcyjnego kościoła św. Jana czy wreszcie dokończenie odbudowy Pałacu Opatów. Ten w dużym skrócie naszkicowany obraz działalności konserwatorskiej byłby niepełny gdybym pominął, tak istotne dla wyglądu miasta i decydujące w znacznym stopniu o jego osobliwym uroku, zagadnienie rekonstrukcji bądź odtwarzania w oparciu o wzory stylowe detali wystroju fasad kamienic gdańskich (kamienne szczegóły rzeźbiarskie szczytów, fryzów, portali i przedproży oraz elementy snycerskie i kowalskie).

Odbudowa i rekonstrukcja głównego miasta w najbliższych latach dobiegnie końca. Jeszcze do zrealizowania pozostaje kilka ciągów mieszkalnych wraz z zabudawkami bramami wzdłuż Długiego Pobrzeża oraz fragment pierzei przy ul. Szerokiej. Na odbudowę i zagospodarowanie czeka przede wszystkim zespół Domu Angielskiego a następnie fragmentarycznie zachowane spichrze. Konieczne jest dokończenie konserwacji gotyckich murów obronnych oraz rekonstrukcja kamieniarki Zielonej Bramy i pozostałych przedproży ulic: Mariackiej, Chlebnickiej i Św. Ducha.

Do najważniejszych zadań ściśle konserwatorskich, które moim zdaniem winny być podjęte i o ile możliwe zrealizowane w nadchodzącym pięcioleciu, zaliczyłabym następujące prace:

1) odtworzenie wnętrza Dworu Artusa i Domu Uphagena, z których zachowały się w znacznym procencie detale wystroju,

2) przebadanie stanu zachowania całej autentycznej kamieniarki fasad, portali i przedproży, która dla Gdańska jest szczególnie cenna oraz opracowanie metod konserwacji i programu realizacji prac w tym zakresie z pierwszoplanowym uwzględnieniem takich obiektów jak: bramy Wyżyna i Złota, Zbrojownia, Kaplica Królewska, Złota Kamienica oraz nieliczne już zachowane portale.

Wielkie dzieło odbudowy i rekonstrukcji jednego z najciekawszych polskich zespołów zabytkowych jakim jest Gdańsk zostanie niedługo zakończone, ale ocena jego stanu nieestety nie wypada w pełni zadowalającą. Składają się chyba na to dwa zasadnicze problemy. Sprawa pierwsza to właściwe zagospodarowanie obiektów położonych przy głównych traktach turystycznych miasta jak: Długa, Długi Targ, Piwna, Mariacka, Długie Pobrzeże (konieczna wydaje się tu zmiana formy użytkowania niektórych obiektów, szczególnie na Długim Targu oraz zmiana funkcji niektórych placówek handlowo-usługowych) oraz podkreślenie piękna architektury przez dbałość o każdy szczegół jej otoczenia (mam tu na myśli sprawy oświetlenia i reklamy, zadbanie o dziedzińce wewnętrzne, chodniki, skwery, drzewostan, ogrodzenia, chodniki, małą architekturę itp.).

Wszystkie te problemy będą wkrótce jak wiadomo szeroko rozpatrywane przez gospodarzy miasta i doczekają się zapewne generalnego uporządkowania ale uważam, że aby obraz był w pełni zadowalający wiele zależy od samych mieszkańców i użytkowników głównego miasta.

Ryszard Massalski

Funkcję Konserwatora Zabytków miasta Gdańska pełniłem w okresie od 1 września 1960 r. do 31 lipca 1962 r. Główne Miasto było już w tym czasie w swoim zasadniczym zrybie odbudowane, prowadzono jedynie roboty wykończeniowe przy elewacjach kamienic, położonych w północnej części tej dzielnicy. Pełna realizacja założonego programu wymagała uzupełnienia zabudowy w niektórych pierzejach ulicznych i zagospodarowania nie wykorzystanych jeszcze obiektów zabytkowych. Z różnych względów braki te okazały się szczególnie trudne do zlikwidowania i część z nich, wprowadzić już niewielka, pozostała nie rozwiązana do chwili obecnej.

W toku odbudowy Głównego Miasta bardzo wyraźnie zarysowały się najważniejsze kierunki współczesnej działalności konserwatorskiej, na które chciałbym zwrócić uwagę. Pierwszy z nich to dążenie do zachowania w możliwie największym stopniu autentycznej substancji budowlanej zabytkowego budynku, poczynając od murów, przez wystrój architektoniczny i rzeźbiarski, polichromię itp. Wynika to z faktu, że tylko elementy oryginalne posiadają wartość źródłowego dokumentu naukowego, przy czym możliwość odczytania zawartych w nich najróżnorodniejszych informacji stale wzrasta w miarę postępu metod badawczych. Sprawa ta niestety nie zawsze spotyka się ze zrozumieniem zainteresowanych stron. Na terenie Głównego Miasta ten podstawowy postulat konserwatorski został konsekwentnie realizowany przy odbudowie większości budynków użyteczności publicznej, pomimo bardzo poważnych nieraz trudności technicznych. Do najtrudniejszych zadań, w okresie mojej pracy na stanowisku konserwatora, zaliczyłbym ratowanie Baszty Narożnej po zawaleniu się jednej z trzech ścian, przeprowadzone sprawnie i z dużą ofiarnością przez ekipę gdańskich Pracowni Konserwacji Zabytków.

Druga szeroka grupa zagadnień wiąże się z rekonstrukcją zniszczonych gdańskich budynków zabytkowych, w szczególności dotyczy to elewacji. Czołową pozycję w tej grupie zajmuje problem wierności form odtwarzanej architektury w stosunku do pierwotnych wzorów. Sytuacja jest stosunkowo prosta, jeżeli dysponuje się oryginałem (choćby z pewnymi brakami) i należy tylko zrobić jego dokładną kopię. Jednak elewacje kamienic na Głównym Mieście odtwarzano z reguły w oparciu o różnorodne, nie zawsze doskonale materiały ikonograficzne. Prace przy odtwarzaniu tych elewacji, będące domeną architektów, rzeźbiarzy i kamieniarzy, posiadały więc często dość duży margines, pozwalający na swobodną interpretację, a w konsekwencji ich wartość historyczna i artystyczna w bardzo silnym stopniu uzależniona była od wyuczucia, wiedzy i kultury plastycznej twórców. Uzyskany ostateczny efekt jest niewątpliwie znacznym osiągnięciem, zwłaszcza rekonstrukcje wykonywane w późniejszym okresie, przy większym zasobie nabytego doświadczenia.

Wreszcie trzecią, zupełnie odrębną dziedziną działalności konserwatorskiej, budzącą niejednokrotnie żywe zainteresowanie i dyskusje wśród społeczeństwa, stanowił problem architektury współczesnej na obszarze Głównego Miasta. Z ciekawszych tego rodzaju spraw, którymi zajmowałem się jako konserwator, wymienić należy pasaż handlowy na parterze Zbrojowni, odbudowę Teatru na Targu Węglowym, rozbudowę siedziby Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych przy ulicy Tkackiej i rozwiązanie wschodniej strony ulicy Grobli I. We wszystkich tych przypadkach istota trudności polegała przede wszystkim na znalezieniu takiej nowoczesnej formy architektonicznej, narzuconej przez wymagania i potrzeby użytkowników, która by najlepiej dała się pogodzić z historycznym charakterem otoczenia. W każdym z wymienionych obiektów problem ten rozwiązano w oparciu o nieco inne zasady i z innym efek-

tem końcowym, wydaje się jednak, że wszystkie one naruszyły w jakimś stopniu konwencję i jednorodność stylową przyjętą dla terenu Głównego Miasta.

Tadeusz Chrzanowski

Najważniejszą robotę, najtrudniejszą decyzję podjęli moi poprzednicy. Śledziłem bieg wydarzeń zza ławy szkolnej, nie zdając sobie sprawy z tego, że przypadnie mi rola kontynuatora tak fascynującego przedsięwzięcia.

Działalność obecnego zespołu konserwatorskiego, w imieniu którego skreślam te uwagi oceniana będzie z okazji następnych jubileuszy. Dzisiaj trwa i trudno mi ją już podsumować. Wierzę, że potrafimy swą pracą pozostawić trwały ślad w dorobku konserwatorskim miasta, w którym wyrosliśmy. Jako architekt więcej uwagi poświęcam budownictwu konserwatorskiemu. Wysoko cenię decyzję rządu o odbudowie Głównego Miasta w historycznej formie jako wyraz uznania dla wartości historycznej Gdańska, historii polskiego narodu i jego kultury. Dlatego chciałbym doprowadzić do końca realizację z takim rozmachem podjętego dzieła, w myśl przyjętych założeń.

Do pełnej kubaturowej odbudowy pozostało już niewiele; zabudowa ulicy Powroźników i Długiego Pobrzeża, kilka plomb na Szerokiej, Chlebnickiej i Futury następnie bramy: Krowia, Św. Ducha i Św. Jana. Dzisiaj opracowane i zatwierdzone projekty oczekują na realizację. Wiele żarliwych dyskusji poświęcono niektórym koncepcjom plastycznym Banku Spółdzielczego, Zakładów Graficznych na Szerokiej, czy rozbudowie PWSSP przy Zbrojowni na ul. Tkackiej.

Nie można było przyjąć proponowanych form, które rozsądzały jedność tego zespołu urbanistycznego zaliczanego do najwcześniejszej grupy zabytków. Ogrom zadań i szybkie tempo odbudowy w minionym okresie sprawiły, że nie zawsze starczało sił na równoczesne ukończenie wystroju zewnętrznego tzw. kosmetyki, która stanowi istotny element zakończający wieloletni trud odbudowy i stwarza istotny klimat miasta.

Czekamy na dokończenie odbudowy przedproży, portali, elewacji i ich rzeźbiarskiego wystroju. Jeszcze nie ukończono odbudowy a już istnieje pilna potrzeba częściowej przebudowy, zmiany użytkownikowej, przebranzowienia sklepów, zwiększenia ilości usług dla turystyki itp. Wszystkie te potrzeby uwzględnione są w szczegółowym programie opracowanym przez zespół PMRN, w którym bierze udział i Konserwator Zabytków. Okazuje się, że łatwiejsze do realizacji są sprawy duże, skupiają one bowiem uwagę i zainteresowanie wielu czynników. O małe zaś trzeba często staczać wielkie boje.

Niezrozumiałym jest też np. bezmyślne niszczenie granitowych płyt chodnikowych na tłuściach pod nawierzchnię. Stanowią one cenny pod względem technicznym i plastycznym materiał, który powinien być wykorzystany przy urządzeniu otoczenia pomników, małej architektury lub pozostawianych w kilku krótszych poprzecznych uliczkach. Podając te przykłady wyrażam żal, że nie możemy zapobiec na czas, a może jesteśmy w tym działaniu odosobnieni? Wspólnym wysiłkiem wyparte zostały z portali Drogi Królewskiej brzydkie szyldy i reklamy. Pierwsze jaskółki w postaci interesujących punktów sprzedaży pamiątek pod przedprożami na Długim Targu zapowiadają rychłe zagospodarowanie pustych jeszcze przedproży Długiego Targu, Mariackiej, Piwnej. Powinny one jak najszybciej dać wypoczynek turystom i pozwolić na wysłuchanie koncertu kurantów gdańskich przy szklance aperitif w kafejkach.

Wkrótce przystąpimy do odbudowy innych cennych wnętrz — Dworu Artusa, Domu Uphagena. Równocześnie myślimy o wzbogaceniu sylwety miasta przez rekonstrukcję je-

go historycznych akcentów wysokościowych i otoczenia jakim jest wyspa Spichrze Dolne i Stare Miasto. Wreszcie bardzo istotne osiągnięcie mające na celu udokumentowanie całokształtu pracy związanej z odbudową Gdańska to powołane do życia Biuro Badań i Dokumentacji Zabytków województwa gdańskiego. Dokumentacja techniczna i konserwatorska, fotograficzna i opisowa mówiąca o ludziach i ich twórczym wkładzie w odbudowę jest kompletowana i opracowywana. ■

Bogusław Holub

SALON CZY SALOON

Jesteśmy w salonie miasta — gdańskiej starówce. Zarysowuję ściany tego „salonu” — ulica Świętego Ducha i Ogarna, Złota i Zielona Brama. Tutaj kazano mi szukać jego duszy. Nie jestem mistykiem, w tym wypadku, używam przenośni. Pisząc o duszy starego miasta, myślę o jego charakterze, klimacie, jego cechach dobrych lub złych. Lud często używa określenia mówiąc o kimś „on ma złą lub dobrą duszę”, czyli „dobry lub zły charakter”. Ile to razy słyszałem z ważnych ust właśnie to niesympatyczne dla mnie słowo Salon. Za każdym razem jak za podaniem hasła komputer mojej pamięci wywołuje groźną staruchę, sztywną scenerię mieszczańskiego zbytku, w której mały człowieczek czuje się obco i samotnie.

Teatralność scenerii starego miasta pogłębia światło reflektorów, które świecą całą noc na ciemne okna domów i barwne elewacje jakby technicy od oświetlenia sceny po przedstawieniu zapomnieli je zgasić. Może właśnie barwy i złoto ozdobne szczyty kamieniczek, bogactwo rzeźb i malarskich kompozycji na ich elewacjach nasunęły myśl komuś nazwania starówki salonem.

Jak piękny jest ten salon tak niegościnnie i pozbawiony przytulności — mówią o nim turyści. Sędziwy dyspozytor z ulicy Piwnej z ojcowską starannością dobiera repertuar filmów tak, by wdzięczna widownia nie wyszła z wprawy. „Struktura kryształu” Zanusiego, filmowe wydanie ubiegłego roku, „Wszystko na sprzedaż” Wajdy i szereg ambitnych, mądrych filmów nie ma prawa obywatelstwa w kinie „Leningrad”. Filmy te szukają azylu w peryferyjnych kinach „Piast” lub „Motława” i nikną z gdańskiego firmamentu. Uznany za dzieło wybitne film „Sól ziemi czarnej”, chociaż ceny biletów obniżono do 10 złotych polskich, siedl kilka dni przy prawie pustej sali. Natomiast film „Hombre”, jeszcze przed dziennym pokazem, aż dwa razy wyświetlano na pokazach nocnych przy nabitej sali, chociaż bilety kosztowały 22,5 złotych polskich od osoby. Podobną frekwencją cieszyły się filmy „Zawodowcy”, „Pojedynki w słońcu”, „Łowcy skalpów” itp., na których krew leje się w technikolorze. Trup pada gęsto z rąk kierowanych, obojętnie czy to szlachetnymi czy zbrodniczymi podobudkami. Raz odważyłem się pójść na nocny seans. Zachęcam na takie seanse socjologów, pedagogów, psychiatrów, kierowników służby bezpieczeństwa. Reakcja widowni, klimat w jakiej ona westerny odbiera, stanowi doskonałe studium nad psychologią tłumu, nad poznaniem genezy brutalności i chamstwa panoszącego się szczególnie w salonie naszego miasta. Obserwacje te ciekawe są również po zakończeniu nocnego seansu o północy, gdy ponad tysiąc „zawodowców” lub „łowców skalpów” rozchodzi się po mieście. Mam odwagę powiedzieć, że taka właśnie widownia dyktuje repertuar kina „Leningrad”, taka również dyktuje kulturę ulicy. Sędziwy Dyspozytor dba zdaje się bardziej o bysnes na kulturze niż o upowszechnianie kultury. Prawdopodobnie pokreśliło mu się już za co nasza władza przyznaje medale.

U nas co prawda opryszki nie urywają rąk lub nóg królowi Janowi Trzeciemu, jak ich koledzy z warszawskiej Agrykoli. Nasz Jan Trzeci, ze spiżu, ale dziewiętnastoletni bandyta bez zmużenia powiek pcha nóż w pierś ekspedientki, by zdobyć kilkaset złotych. Ostatnie listy gończe za bandytami — zabójcami taksówkarza i za złodziejami samochodów zaprezentowały nam galerię dwudziestolatków „zawodowców” spod znaku sprężynowca i łomu.

Bardzo jestem ciekaw, czy na przykład prezydent miasta lub nawet komendant KM MO miałby odwagę pójść z żoną na dancing do „Gedanii”, „Jantara”, lub „Pod Wieżę” — reprezentacyjnych lokali gastronomicznych salonu Gdańska. Pewien bardzo mądry facet, gdy tylko osiadłem w Gdańsku uświadamiał mi, że restauracje Trójmiasta mają specyficzny portowy charakter. Tym tylko podniecił moją wyobraźnię i krótko po tym ostrzeżeniu, jak w dym poszedłem poznawać tę „specyfikę”, właśnie w rejonie Starego Miasta. Byłem rozczerowany, bo nie widziałem tam więcej obcojęzycznych gości niż w lokalach innych miast, natomiast sutenerów poznawałem na pęczki. Pomijając już tych dżentelmenów i ich haremy chciałem widzieć takiego zucha, który po godzinie 22 wprowadziłby mnie do „Gedanii”, „Jantara” lub „Wieży”, bez powoływania się na znajome panie wewnątrz lokalu.

Zostawmy nocne lokale, nie każdy przecież szuka mocnej rozrywki, przynajmniej ludzie pracy nie mają takich zwyczajów. Poszukajmy kawiarenki, gdzie w ciągu dnia można by się napić z koleżanką lub kolegą kawy. Licz-

wał z pomieszczeń mieszkalnych, wewnątrz kilka stolików, kulturalna dyskretna obsługa, solidna kawa, sumienne rachunki. Większość klientów stanowi młodzież. Rozmowy toczą się przyciszonym głosem, jedni drugim nie chcą przeszkadzać, nastrojów w lokalu prawie familijny, chociaż większość ludzi jest sobie obca.

Niech nikt tego co piszę nie potraktuje jako donos na tego sympatycznego człowieka, ale chciałbym wiedzieć ile ma on z tej małej klitki rocznego dochodu. Przydałoby mi się to, aby mądrałom z gdańskiej gastronomii udowodnić, że ich wskaźniki rentowności są wielką mistyfikacją, którą maskują brak własnej inicjatywy, łatwinę jaką kierują się zbijając zyski na grubowaniu kategorii zakładów i odpowiednio wysokich cen za usługi. Wydaje się, że władze miejskie nie zrobiłyby wielkiego błędu, gdyby zezwoliły jeszcze dziesięciu ludziom na prowadzenie kawiarenek na starym mieście. Nie podważyłoby to naszej socjalistycznej gospodarki, a zmusiło zarządzane przedsiębiorstwa do operatywnego działania i jednania sobie klienta. Wtedy może zaludniłyby się przedproża przy ulicy Mariackiej, puste i martwe jak kamienne katafalki.

Przypuszczam nawet, że kilka prywatnych kawiarenek w Salonie Gdańska przyniosłoby mniej szkód naszej gospodarce niż bezproduktywne wojaże zagraniczne facetów z bielnym na oku i uszami zawiniętymi w kalfior, którzy tracą dewizy niby dla zdobywania europejskich doświadczeń z zakresu usług, a przywożą piramidalnego kaca, którym nam wszystkim się po trochu odbija.

Zresztą nie do mnie należą lokalizacje kawiarenek, barów typu „Bistro”, sklepów pamiątkarskich i innych placówek całego ciągu usług turystycznych wzdłuż głównego „chodnika” salonu — ulicy Długiej. Nie ja będę eksmitował ze Starówki i dawał lokale zastępcze młynarzom, rzeźnikom i innym centralom, magazynom, bazom transportowym, które usadowiły się po bokach gdańskiego salonu, poobwieszały ozdobnymi szyldami, jak krnąbrne matrony. Podobno dostały one swego czasu w wieczysty pacht kamieniczki na Długim Targu i nie ma siły, by je ruszyć. Decyzje te zapadły co prawda w okresie, kiedy panował u nas najburzniejszy okres biurokracji i kiedy nie wystarczało jej, że rozrosła się do monstrualnych rozmiarów lecz domagała się jeszcze ozdobnych fasad kamieniczek gdańskich, które by ją upiększały. Zle lata minęły, a zle decyzje pozostały w mocy i tylko wieczorem widać ogromną ilość okien na Długim Targu, które czernią się jak nekrologi na podświetlonych elewacjach. Nikogo to zdaje się nie zastanawia, że te ciemne okna śpiących urzędów tworzą właśnie na skutek światła reflektorów nastrojów martwoty, wnoszą do salonu miasta klimat zadupia, kresowej prowincji.

Już nawet nie chcę wymieniać z nazwy instytucji usadowionej w Złotej i Zielonej Bramie. W jednej z nich byłem. Ogromne sale, które odbudowano kosztem milionów złotych, śliczna kawiarenka tylko dla wtajemniczonych (artystów-artystów — nie dopatrujcie się żadnych aluzji). Piękny taras na dachu z widokiem na całą starówkę. Wszystko to stoi prawie beużytecznie, a dotychczasowi właściciele nie bardzo wiedzą co zrobić z tą bramą w najbliższych latach.

Nie lepiej podobno wykorzystany jest masyw Zielonej Bramy. Kto dokona inwentaryzacji nie wykorzystanych pomieszczeń mogących służyć ogółowi mieszkańców i przybyłym? Kto przewietrzy masywnie piwnice, modne pomieszczenia na lokale różnego typu? Była kiedyś w piwnicach Dworu Artusa pijalnia piwa. Zamknięta ją w trymiga, a nikt nie wpadł na pomysł, że może lepiej by było zamknąć faceta kierującego tym przybytkiem i znaleźć kogoś w rodzaju „Kubickiego”, który by za państwowe pieniądze zrobił tak sympatyczny lokal, jak ten nad Motławą.

Zajrzyjcie do piwnicy optyka przy ulicy Piwnej, toć człowiek chciałby mieć wiecznego zeza żeby miał podstawę posiedzieć w



FOT. JERZY HAJDUL

my: jedna jest przy ul. Ogarnej, druga na Piwnej, potem długo, długo nic, potem „Marysińska”, dalej nad Motławą „Rusałka” no i również nad Motławą przy Zielonej Bramie „Kanałowa”. Rodzynek, kawiarenka, na ulicy Mariackiej zostawiłem na sam koniec, bo to jest odrębny problem. Na tej najpiękniejszej nie tylko w Gdańsku, lecz i w kraju staromiejskiej uliczce zainstalował się prywatny właściciel kawiarenki. Lokal adaptow-

jego poczekalni, tak tam miło i przytulnie. Ile jest podobnych piwnic, gdzie myszy mają swoje żłobki i przedszkola.

Słyszę tyle słów troski o estetykę Salonu Gdańska, tu nie przybij, tam nie zawiesz bez zezwolenia, dobrze, niech nie burzą kilofami ludzkiego trudu. Ale powiedźcie mi kochani co komu szkoda kwaciarki przed Domem Artusa, czy w innym miejscu. Dlaczego przegnano je stąd jakby popełniły grzech pierworodny, zdobiąc rynek kubłami żywych kwiatów. Pokażcie tych estetów, wrażliwych na zniekształcenie kompozycji Długiego Targu kolorowymi parasolami stoisk gdańskich kwaciarek. Każde miasto w kraju ceni kwaciarki i kwiaty, my mamy nawet wspaniały neon „Gdańsk miastem kwiatów”, ale precz z nimi z salonu miasta.

Chwała budowniczym gdańskiej starówki, wykuć ich imiona na frontonach kamieniczek, ale nie popadajmy w megalomanię. Salon, to zobowiązuje! A zresztą, nie spierajmy się o nazwę. I tak wiem już, że na dniach przysni mi się moja sklerotyczna protektorka i sceneria jej salonu zimnego, zastygłego w mieszczańskiej pysze. Ale teraz nie zapomnę języka w gębie, powiem jej co o niej myślę.

Stanisław Pestka

SUKCES MUROWANY?

Dostrzegano ten problem od lat, różnorodne „bodźcowe” działania dawały rezultaty niepełne, połowiczne. Toteż tu i tam wkładała się malownicza improwizacja. Chałupnicze urzeczywistnianie długofalowych planów. Nie oznaczało to, iż doraźna werwa i inwencja społeczników brały górę nad systematyczną pracą. W praktyce tj. w działalności upowszechnieniowej obowiązywała zasada harmonijnego współdziałania wszystkich partnerów, których cele były (i są) jeśli nie identyczne, to w każdym razie mocno zbieżne. Zbieżność celów była (i jest) powszechnie akceptowana. Samotne bowiem i mozolne przedzieranie się przez rejony, które należy utrzymywać w stanie kwitnącym, nie jest wcale ani proste ani przyjemne. Stąd owe apele podkreślające potrzebę skoordynowania wszelkich wysiłków, równomiernego nasylenia wszystkich środowisk imprezami kulturalnymi a przede wszystkim pełnego i rozsądnego wykorzystania środków materialno-organizacyjnych.

W różnych latach opracowywano różne urzędowe dokumenty, które miały odgrywać rolę podstawowego kanonu, wyjaśniającego, normującego i ujednoliciającego politykę kulturalnych instytucji, związków zawodowych, stowarzyszeń, rad narodowych i zakładów pracy. Czy te dokumenty istotnie były respektowane? Ci, którym powierzano sprawy koordynacji wykazywali najczęściej maksimum dobrej woli, potrafili nawet zjednać dla idei koordynacji wielu opornych, przeciwników inicjatyw konsolidujących. Jednakże pomimo wieloletnich wysiłków, by przekonać poszczególne instytucje, działające w tym samym mieście, w gromadzie np. o sensowności koncentrowania nakładów na działalność kulturalno-wychowawczą, nie udało się dotąd w sposób radykalny zerwać z pozostałościami partykularyzmu. Teren odczuwa to szczególnie dotkliwie: instytucje i placówki odpowiedzialne m.in. za działalność kulturalną zawarły szereg porozumień ustalających wzajemne zobowiązania. Nadal wszakże brak na co dzień tego, co się nazywa integralnym widzeniem problemów kultury. Tymczasem nacisk środowiska, nacisk odbiorcy, stawiającego coraz większe wymagania — trwa. Tym większego znaczenia nabiera koordynacja. Jeszcze raz postawiono ją w Wejherowie jako leitmotiw zarówno społecznych

jak i administracyjnych działań. Nie chodzi o przodownictwo, o nowatorskie aspiracje. Sentymtalne czy marzycielskie wizje można rozciągać na kongresach Judymów i Siłaczek. Wejherowscy działacze tak bardzo ceniący sobie konkret wychodzą z założenia, iż wszędzie, we wszystkich powiatach woj. gdańskiego jest klimat sprzyjający wzlotom wyobraźni twórczej. Natomiast — ich zdaniem — nie wszędzie (w tym także w pow. wejherowskim) zwyciężyły nawyki myślowe, które pozwalałyby skupiać się na tym co najistotniejsze.

W związku z tym wypada zapytać jakież to zamysły pragną urzeczywistniać patronowie kultury wejherowskiej? Otóż nie zamierzają bynajmniej tworzyć jeszcze jednego „Kodeksu” postępowania w zakresie koordynacji. W zupełności wystarczają wydane i rozkolportowane do tej pory zalecenia i przepisy dotyczące łączenia sił i środków przeznaczonych na środowiskową działalność oświatową i popularyzatorską. Doprowadzić do tego, by w najwyższej ocenie była nie postawa „partyzanta”, człowieka włączającego się w sprawy kultury akcyjnie, lecz postawa działacza, przedstawiciela administracji uzgadniającego interes własnej placówki z interesem sąsiadów, współpartnerów itd.

Nacisk szedł w tym kierunku, by punktem odniesienia owych uzgodnień były nie tyle oficjalne, ogdorne postanowienia, co lokalne, międzyinstytucjonalne potrzeby i plany w dziedzinie upowszechnieniowej. Dlatego też Prezydium PRN w Wejherowie uznało w br. za jedno z najpilniejszych zadań utwierdzenie i zwiększenie poczucia odpowiedzialności za rozwój kultury możliwie najszerszego kręgu osób w gromadzkiej radzie narodowej. „Nade wszystko zaś trzeba przyzwyczajać nieprzyzwyczajonych do posługiwania się metodą koordynacji”.

W wielu miejscowościach Wejherowskiego — Reda, Gniewino, Szemud, Strzecz, Kielno, Koleczkowo, Gościcino — odbyły się posiedzenia lub też sesje rad narodowych, pod patronatem Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Odrzucając wszelkie gotowe, schematyczne formułki, przyjęto zasadę kompleksowego omawiania i analizowania zagadnień. Tak więc dość wnikliwie i krytycznie przedstawiono i „przewentylowano” wszystko, co można było powiedzieć na temat kultury, oświaty, sportu i turystyki. Nie tylko sesje, ale i posiedzenia terenowych organów rad narodowych, jakie odbyły się w pow. wejherowskim bardziej przypominały burzliwy sejmik niż uroczystą, sztywną imprezę. Jak zaznaczył sekretarz Prezydium PRN — Jerzy Kiedrowski „chodzi o wpojenie nawyków samo-

istnego, spontanicznego organizowania, wysuwania problemów z zakresu kultury, szukania dla nich pozytywnych rozwiązań poprzez współdziałanie. Kto jak kto, lecz rady narodowe powinny tu odgrywać rolę inicjującą i wiodącą”. Posiedzenia i sesje GRN w pow. wejherowskim mają być tym, co prawda nie pierwszym, ale chyba najpłodniejszym zaczątkiem nowej tradycji. Czy tak bardzo nowej? Godzi się podkreślić: liczy się skuteczność działania, skuteczność koordynacji, a nie jakieś wydumane nowatorstwo. Była o tym mowa m.in. na posiedzeniu Prezydium GRN w Kielnie i w Linii. Najbardziej podobał mi się klimat dyskusji w Linii, poświęconej omówieniu inicjatyw służących rozbudowie urządzeń kulturalnych na wsi jak również konsolidacji środków i energii placówek klubowych, świetlicowych i szkolnych. Spójrzmy zatem na Linię jak na wiosnę aspirującą do miana wzorowej i wiodącej. W czynie to wyraża się jej dojrzałość i pionierskość? Na pewno nie fantazjowali, nie stylizowali swych głosów radni, którzy reprezentowali różne środowiska i orientacje na wspomnianym posiedzeniu GRN w Linii (maj 1970 r.). Nauczyciel Szymbikowski (przewodniczący Komisji Kultury GRN): chcemy wreszcie „raz na zawsze” skończyć z dualizmem w kulturze, z dublowaniem działań oświatowych. Stajemy wobec zadań wymagających większego zespolenia wysiłków. W gromadzie czynnych jest pięć szkół o różnym stopniu organizacyjnym. Dzieci z miejscowości o niższej zorganizowanych szkołach muszą dojeżdżać do szkół wyżej zorganizowanych. Niestety, problem dojazdów nie został rozwiązany w sposób właściwy. Kto wie, może te trudności „komunikacyjne” mają pewien wpływ na ucieczkę młodzieży do Łęborka, do Wejherowa. Toteż szkoła przysposobienia rolniczego w Linii przeżywa chroniczne kłopoty z naborem...

Czy pomimo to, że istnieją ogólne rygory i perspektywiczne plany rozwoju kulturalnego małych ośrodków, uwzględniające hierarchię potrzeb i możliwości, czy pomimo to zdarzają się wypadki jaskrawego marnotrawstwa środków? Tego rodzaju podejrzeń nie kierowali uczestnicy posiedzeń GRN w stronę biblioteki w Linii, która boryka się na razie z trudnościami lokalowymi. Tradycyjne tory indywidualistycznego myślenia są w liniowskim środowisku w nieładzie odkąd zadomowił się tam na dobre ZMW. Organizacja rozwija najżywszą działalność dopiero jesienią, wtedy bowiem rusza Uniwersytet Powszechny. Młodzi działacze starają się upowszechniać nowe formy — olimpiady wiedzy społeczno-politycznej, zajmują się organizowaniem kulturalnego wypoczynku, sami się



ZESPÓŁ WOKALNO-ESTRADOWY Z LINII

garną i zachęcają swych kolegów do uczestnictwa w miejscowym zespole estradowym. Ow zespół to nie tylko przeciwieństwo tego, co można było ongiś zobaczyć w zadymionej karczmie. Podobnie jak klub GS-u stanowi on dla mieszkańców Linii źródło pozytywnej egzaltacji. Jakżeż mogłoby być inaczej skoro zespół wpisał do swej biografii artystycznej sukcesy na scenach pozapowiatowych a nawet na pozawojewódzkiej. O powodzenie należy zabiegać przede wszystkim u siebie. Ważna jest przecież opinia własnej społeczności. Stąd troska o starannie dobierany repertuar, piękne stroje kaszubskie, fundowane własnym sumptem, satyryczne scenki...

Kult towarzyskości znajduje najpełniejsze rozwinięcie w pracy klubu. Na prawie wszystkich imprezy łącznie z wieczorkami rozrywkowo-tanecznymi przychodzą członkowie rady społecznej, przewodniczący i sekretarz Prezydium GRN, nauczyciele. Tkanką łączącą stają się rozmaite imprezy typu spotkań autorskich, występy ognisk kultury, wystawy haftu i książek, degustacje potraw przygotowanych przez Koło Gospodyń Wiejskich. Tworzy się więc jednolita „formacja” psycho-kulturowa. W tym samorządnie zamieniającym się i dopracowującym się pewnych tradycji „przedszkolu koordynacji” nie brakuje oczywiście tzw. woluntarystów. Taktykę poszukiwań na własną rękę stosują jeszcze z upodobaniem np. LZS-y, Ośrodek Zdrowia koncentruje się raczej na obowiązkach zawodowych.

Co robić, by kryteria ponadpodwórkowe zwyciężyły i w myśleniu mieszkańców okolicznych wiosek podległych władzy, bynajmniej nie udzielnej p. Ruskowskiego? Gościnne występy zespołu estradowego w Strzeczcu, Sierakowicach, Rozłazinie, nie załatwiają wszystkiego. Sukces murowany będzie wtedy, gdy np. młodzież z okolicznych wiosek zdopingowana przykładem Linii zechce coś podobnego zorganizować u siebie — założyć zieloną świetlicę, a przede wszystkim włączyć się do pracy w większym gromadzkim zespole. Rozszerzenie większych i małych form współpracy między poszczególnymi wioskami (kuligi, wystawy, wspólne imprezy szkół podstawowych) dało już pierwsze rezultaty. Ci, którzy jeszcze wczoraj patrzyli na siebie z ukosa, choć mieszkają po sąsiedzku, dziś czują się bardziej zintegrowani, ba, stają się dla siebie nawet ... atrakcyjni! Ludzie chcą stałego, a nie dorywczego kontaktu ze sztuką. Kino w Linii, które w ostatnich latach „jechało” na deficycie teraz szczyty się niespodziewanie wysoką frekwencją (na 99 planowanych wiejskie kino zrealizowało 150 seansów).

Co o wzrastającym uspołecznieniu mówią gromadscy koordynatorzy?

Kierownik szkoły podstawowej w Zakrzewie, **TADEUSZ BOJANOWSKI**: próbujemy „ugryźć” problem skoordynowanej działalności w kulturze od różnych stron. Nie ugryziemy go jeśli np. nie wyposażymy lepiej ognisk kultury, dobre nadzieje rokuje utworzony niedawno amatorski zespół teatralny. Mamy trudności, jeśli chodzi o spotkania z ciekawymi ludźmi, brakuje nam ponadto sprzętu sportowego. Myślę, że nasze ognisko kultury pomoże nam w akcji estetyzacji i higienizacji wsi. Podobne zastrzeżenia i postulaty (niedostatek sprzętu, fachowej pomocy) zgłaszała szef gromadzkiego sportu — **Józef Brzeński**.

Prezes GS-u, **JAN GAJEWSKI**: Nie żałujemy pieniędzy na klub w Linii, ugruntowuje on tradycję aktywnego uczestnictwa i zarządzania (rada społeczna) w kulturze. Początkowo jednak jakoś nie wzbogaca tej tradycji, separując się od zespołowego działania. Konkretna propozycja: utwórzmy Gromadzki Fundusz Kultury!

Przewodniczący Komisji Kultury GRN, **EDWARD SZYMIKOWSKI**: Propozycja utworzenia takiego funduszu byłaby równoznaczna z pewnym przefasonowaniem stylu pracy różnych partnerów, oznaczałaby pogłębienie samorządności. Nie chodzi bowiem o poprawę ilościowego stanu placówek, choć i



T. HAJNRYCH: ROZBITEK

to jest nie do pogardzenia, lecz o aktywną, współpracę w programowaniu, w wykonawstwie współpracy planów. Nie sądzmy, że nie trzeba uczyć aktywno gromadzkiego nowych form pracy społeczno-kulturalnej. Przecież ci ludzie będą stanowić swoistą otoczkę dla wyżej zorganizowanej placówki, a mianowicie: dla przyszłego gromadzkiego ośrodka kultury.

Sekretarz Prezydium PRN, **JERZY KIEDROWSKI**: Odnosimy się z największym szacunkiem do takich inicjatyw jak powoływanie w gromadach społecznych komitetów sportu i kultury fizycznej. Tak samo szlachetną nowością jest hasło: „Każdy klub rolnika punktem księgarskim”. Placczyną koordynacji nie może być traktowana jako rzecz wtórna. Nie spodziewajmy się wszakże, iż utworzenie nowego ciała kolegialnego gruntownie zmieni sytuację, pozostaniemy w obrębie już istniejących, stąd instancji współzarządzających kulturą. Konsolidacja sił i środków, kompleksowe działanie — oto nasze hasło dnia.

Wejherowskie sugestie i propozycje, które urodziły się zapewne pod dobrą gwiazdą wymagają drobnego komentarza: kompleksowość działania w dziedzinie upowszechnieniowej nie jest wytworem specyficznie wejherowskim. W różnych okresach z różnym powo-

dzeniem toczono w całej Polsce boje o jej pełne urzeczywistnienie. Codziennie przekonujemy się, iż jakkolwiek sporo już działo się, idea kompleksowego działania pojmowana jest w terenie, zwłaszcza w Polsce gromadzkiej nazbyt jednostronnie. Toteż to, co usłyszeliśmy na posiedzeniu Prezydium GRN w Linii i w innych wioskach pow. wejherowskiego nie jest parkinsonowskim wymysłem urzędników, lecz zapoczątkowaniem nowego kompleksowego rozwiązywania problemów kultury, rozrywki, sportu, higieny, służby zdrowia, oświaty i postępu rolniczego. Niech to wejdzie w nawyk, że biblioteka będzie się dogadywać z kinem, z klubem, kółko gospodyń wiejskich ze świetlicą, z zespołem amatorskim, ośrodek zdrowia i poczta włączają się do pomocy placówkom kulturalnym, opiekunowie z wyboru (PZGS, rada społeczna, zakłady pracy) z urzędu — Prezydium GRN będą zgodnie urzeczywistniać gromadzki plan działania. Bez ciągłego oglądania się na instrukcje z powiatu, bez oczekiwania na odkrywcze instruktaże, dopingi i zastrzyki energii.

Wyobraźnia i zdolności są! Zobaczymy, czy za rok, za dwa lata będzie można mówić o murowanym sukcesie jeśli chodzi o kompleksowy styl pracy w kulturze pow. wejherowskiego.

Wilhelm Szewczyk

ŻOŁNIERZE I LOTTY

1.

Z CMENTARZA na cmentarz.

Pewnego dnia poszedłem w Helsinkach na cmentarz bohaterów. Łagodny unoszący się z ciemnej wody garb, zwany półwyspem Hietaniemi, jest ogrodem, który Finowie nazywają cmentarzem. Jest to jednak ogród kulturowany ze szczególną uwagą. Trafiliem na pewną uroczystość.

Osobliwie wygląda zawsze składanie wieńców. Trójkami podchodzą milczący, na czarno odziani ludzie, delikatnie układają wieńiec albo u stóp pomnika, albo na marmurowych schodach, albo na granitowej płycie. Stoją przez chwilę w straszliwym milczeniu, że nie wiadomo, co ich tutaj przywiodło, czy rzeczywisty smutek, czy też lęk o własną pośmiertną przyszłość. Wydaje się, że mają zamiar się uklonić, ale już z nimi postępuje następna trójka, cała w czerni i w kwiatach, które wspinają się po ich piersiach, jak gdyby zamierzały wyrzucić z wieńcowej obroży. Dopiero potem, gdy już odejdą ostatni czciciele zmarłego, można pochylić się nad wieńcami i odczytać ich nazwiska, godności, reprezentacje, lub ich podniosłe uczucia, adresowane albo do zasług zmarłego, albo do idei, jakiej służył.

Wieńce umierają, idee mogą przetrwać.

2.

W Finlandii nie można się wyzwolić od Mannerheima.

W hotelu, w którym mieszkam, na honorowym miejscu tkwi statuetka Mannerheima. Niedaleko stąd, ukosem do wyniosłego gmachu parlamentu, stoi pomnik Mannerheima na koniu, w wiatowanym kołpaku na głowie, w jakim go widywano w okresie tak zwanej wojny zimowej i w jakim zapewne paradował poprzednio będąc kapitanem ze szkoły wytrawnego kawalerzysty generała Brusilowa, w jakim potem odbył szlak wojenny, najpierw w Mandzurii, by w kilkanaście lat później bezbłędnie, o czym świadczy jego pomnik, odczytywać mapę ziem polskich (A mon quartier de Krasnik...).

Dobrze siedzi na koniu z woli Aimo Tukiaïnen, który stworzył ten pomnik w dziecinie, który stworzył ten pomnik w dziecinie. Zmarł Mannerheim 28 stycznia 1951 w Lozannie, po chorobie i nieudanej rekonwalescencji w Portugalii, mając lat 83. Pomnik Tukiaïnen skopiowano potem po wielokroć, taki sam widziałem przed prowincjonalnym dworem wielkowiejskiego Lahti, obok małego skansenu ze wzruszająco starymi lokomotywami. I pokazywano mi jeszcze, niestety tylko na fotografii — ponieważ zainteresowała mnie Thorwaldsenowska dystynkcja artysty — inny jego pomnik w mieście Pori: i to jest pomnik żołnierzy, niektórzy z nich stoją jak zwykli, trochę zaniepokojeni przechodnie, na płycie zrównanej z ziemią, w buciach ciężkich jak kajdany, ubrani na zimową wojnę w lasach Karelii. Oni zdają się ciągle walczyć, są jak gdyby z innej szkoły, podczas gdy Mannerheim już odbywa paradę zwycięską.

Znakomitszy od Tukiaïnen rzeźbiarz, Väinö Aaltonen, stworzył sarkofag Mannerheima, gdy z Szwajcarii sprowadzono jego zwłoki. Aaltonen, któremu wdzięczni są Finowie za dwa szczególnie pomniki, wielkiego pisarza Aleksis Kivi przed dworem w Helsinkach i wielkiego sportowca Paavo Nurmina stadionie olimpijskim, upodobał sobie granit. Ten syn wiejskiego krawca z granitu wykuwał poematy o ludziach: Kivi, zasepio-ny i zadumany, aż przeraża w swym monu-

mentalnym realizmie, Nurmi, gładziutki i niemal wypolerowany, jest aż abstrakcyjny w swym ruchu.

3.

RODZINA barona Gustawa Karola Mannerheima wywodzi się z Niderlandów, w połowie wieku XVII przybyła do Szwecji a w sto lat później osiadła w Finlandii. Delikatny herb z koroną i kunsztownym monogramem M wygląda, jakby wywiedziony został z rokokowej fantazji, ale napis na wstędze podzwania szablą: Candida Candido pro ense causa. Gustaw Karol szybko wstępował po szczeblach kariery wojskowej w armii carskiej. W jego muzeum obracamy się stale wśród pamiątek z tamtego okresu.

Stoi muzeum to na zielonej nadmorskiej skarpie w dzielnicy wytwornych willi i rezydencji. W jednopiętrowym budynku zgromadzono prawie wszystko, co mu służyło za życia i co było największą pociechą dla żołnierza. Z długiej swojej podróży na Daleki Wschód, odbytej w latach 1906—1908, przywiózł niemało pamiątek, które z lubością ustawiał na konsolkach, półkach, stolikach; starsza pani w dużym czarnym szalu, oprowadzająca zwiedzających, nie zapomina przypomnieć, że 14 tysięcy kilometrów prze-wędrował konno i że największy znajdujący się tu posążek Buddy znad tybetańskiej granicy przytroczony był przez cały czas do siodła.

Z istnej zamieci darów, adresowanych do rąk marszałka, warto wspomnieć te, które przylegały do jego biografii żołnierskiej. Baronowa Elsa von Born darowała mu rysunek Edelfelta do „Opowieści chorążego Stoola”. Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy szwedzcy — miecz Karolingów. Sztab generalny — pierwszą buławę feldmarszałkowską. Armia — szablę honorową. Maharadża z Nepalu — pończaczany sztylet „kukri”. Damy z prowincji Pohjanmaa (fińska nazwa Esterbotni) tak zwany lwi sztandar, słynne zaś fińskie Lotty pierwszą swoją chorągiew.

Fińskie Lotty często się będą pojawiać w naszych podróżach po przeszłości Finlandii. Organizacja ta, która wzięła swą nazwę od runebergowskiej postaci literackiej Lotty Svård, miała być tylko korpusem pomocniczym dla armii, okazało się jednak, że stała się również ostoją pewnych reakcyjnych koncepcji wychowawczych; po wojnie w traktacie pokojowym ze Związkiem Radzieckim uznana została za faszystowską. Bardzo się te dziewczęta w mundurkach podobały licznym w ciągu wojny hitlerowskim korespondentom wojennym z terenu Finlandii. Nie było końca zachwytom, jak to aż za krąg polarny dociera duch BDM. Ale Lot-tasvård w rzeczywistości znaćcia więcej niż BDM i niż armia Nachrichtenheiferinnen — Lotty służyły — także dosłownie na froncie.

4.

Gdy przyglądam się licznie tu zgromadzonym mundurom marszałka, gdy patrzę na jego buławy i siodła, na narty i szablę, gdy pochylam się nad gablotkami, w których migoczą cudowne bibelotki, gdy patrzę na liczne fotografie, przedstawiające ludzi z jakże innej już epoki, przypominam sobie rozmowę, jaka toczyła się w ja-dalni poselstwa hiszpańskiego w Helsinkach w pewną letnią wojenną noc. Wspomina o niej Malaparte w swej mimo wszystko fascynującej książce „Kaputt”, w której prócz cynizmu sporo jest rzeczywistej grozy wojennej, odczuwanej także w Finlandii. Przez dłuższą chwilę — powiada Malaparte — rozmowa toczyła się dokoła osoby marszałka Mannerheima, na temat kontrastu między jego dekadencjami upodobaniami a jego wyglądem i sposobem bycia iście królewskim, rozmowa o olbrzymim prestiżu, jakim cieszył się w armii i w całym kraju, ale i o ofiarach, jakie wojna narzucała narodowi fiń-

skiemu, o tej straszliwej pierwszej zimie wojennej.

Ale zanim doszło do tej straszliwej zimy wojennej, naród, obracany na rożnach polityki, odbył długą wędrówkę przez niespokojny czas między dwiema wojnami światowymi.

5.

Niedaleko ulicy Mannerheima, na nieczynnym już cmentarzu, wciśniętym między trzy ludne i hałaśliwe ulice, na cmentarzu służącym dzisiaj jako skwer, gdzie między osiemnastowiecznymi płytami nagrobnymi, leżącymi w trawie pod wysokimi klonami, stoją przytulne ławki a na nich siedzą starsi panowie i palą cygara, na tym byłym cmentarzu polyskuje wśród drzew granitowa skrzynia. Wzniesiona na trzech stopniach okazuje się jak gdyby kamienną księgą, w której odczytać możemy nazwiska żołnierzy niemieckich, „poległych w walce o Helsinki w kwietniu 1918”, a przy odczytywaniu tych nazwisk mąci się w głowie od polszczyzny, jakby poległa tutaj cała kompania poznańskich czy górnośląskich Bartków-zwycięzców.

Miasto Helsinki, jak głosi napis, postanowiło w ten sposób spłacić dług wdzięczności wobec korpusu ekspedycyjnego armii niemieckiej, liczącego wówczas dwanaście tysięcy żołnierzy. Należeli do niego zresztą również ochotnicy fińscy, wykształceni wojskowo w Niemczech w Lokstedter Lager. Do walki z fińskimi robotnikami i komunistami przystąpił generał pruski graf Rüdiger von der Goltz wraz ze swoimi oddziałami morskimi i lądowymi.

„Czerwoni” zostali pobici a walka była okrutna i bezwzględna, jak to zwykle bywa w wojnach domowych, powiada historyk fiński. Ta wojna domowa nie obyła się jednak bez interwencji niemieckiej. Wiedzieli o tym wszyscy a Lenin już w roku 1917 na I Zjeździe Marynarki Wojennej tak konkludował:

„Jeżeli burżuazja fińska kupuje od Niemców broń po to, aby skierować ją przeciwko własnym robotnikom, my proponujemy tym ostatnim sojusz z rosyjskim ludem pracującym (...) My teraz — że użyję niedobrego słowa — »podbijamy« Finlandię, ale nie tak, jak to czynią międzynarodowi drańcy-kapitałiści. My podbijamy tym, że pozostawiając Finlandii całkowitą swobodę życia w sojuszu z nami czy innymi, gwarantujemy całkowite poparcie masom pracującym wszystkich narodowości przeciwko burżuazji wszystkich krajów” („Dzieła”, wyd. pol., tom 26).

Wprawdzie republika fińska wkładana była w krwawe obywatelskie boje, ale nie należy przy tym zapominać, że już od grudnia 1917, tuż po jej powstaniu, uzyskała ona uznanie swej niepodległości i niezawisłości.

Gdy 16 maja 1918 Mannerheim urządził w Helsinkach paradę zwycięską, jadąc na czarnym koniu i w białej futrzance na głowie, wciąż jeszcze w przemysłowym Tampere mordowano czerwonych, tam, gdzie opór klasy robotniczej był największy, w mieście słynnego Manifestu Tammerforskiego z roku 1905, gdzie dzisiaj mieści się muzeum Lenina. Nawet niechętny komunizmowi historyk, Eino Jutikkala, musi przyznać w swej „Historii Finlandii”, że zwycięzcy nie mieli najmniejszego współczucia dla pokonanych, tysiące spośród pojmanych do niewoli zostało rozstrzelanych i co najmniej dziesięć tysięcy czerwonych zmarło w obozach jenieckich z głodu i chorób, w tym wiele kobiet i dzieci. Przyznaje on jednak również — oddając niejaka sprawiedliwość czerwonym — że zwykły człowiek w ich szeregach myślał głównie o rewolucji socjalnej, nie zaś o ponownym przyłączeniu Finlandii do Rosji. „Spór zakończył się — notuje chłodno Jutikkala — ale ponieważ była to wojna wyzwolenicza, kraj znajdował się w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim, ponieważ zaś by-

ła to także wojna domowa, pozostawiła ona głęboką ranę, która goiła się powoli”.

6.

Z zapisków niemieckiego dyplomaty o Mannerheimie z tamtych czasów:

„Arystokratyczny, nad wyraz elegancki generał kawalerii, ulubieniec kobiet ze swoim gładkim i banalnym sposobem bycia, ze swoimi rosyjskimi i szwedzkimi sympatiami”.

Zdumienie historyka fińskiego:

„Z podziwu godną zręcznością zapewnił sobie generał, który kiepsko mówił po fińsku i był wyobcowany ze stosunków fińskich przez swój długi pobyt w Rosji, sympatię chłopów z Esterbotni, stając się ubóstwianym bohaterem narodowym całej białej Finlandii”.

Dodajmy więc, że chłopci z Esterbotni udali się na tę wojnę jak na pielgrzymkę, śpiewali stare chorale, ale skoro tylko ich kraj rodzinny opuścili ostatni rosyjscy żołnierze, rzucili broń i pośpieszyli do swoich domów. Mimo to można było na nich polegać, w wirach wojny domowej tutaj szukał schronienia zaciekle konserwatysta i germanofil, ówczesny prezydent „niezawisłego senatu”, a późniejszy, w latach 1931—37, prezydent republiki, Pehr Evind Svinhufvud.

7.

W maju 1918 Svinhufvud mianowany został namiestnikiem państwa. Ponieważ zależało mu bardzo, w czym popierali go znajdujący się u władzy monarchiści, by Finlandia była królestwem i by królem obwołany został nie kto inny, jak syn Wilhelma II, Oskar — namiestnik udał się w podróż do Niemiec, by uzyskać na to zgodę cesarza. Towarzyszyły mu dobre życzenia pruskich wojskowych, którzy bynajmniej nie uważali, że interwencja von der Goltza na wiosnę 1918 roku należy uważać za bezinteresowną. Ale cesarz miał teraz większe kłopoty na głowie, niż wysyłać swego syna na niepewny los. Ostatecznie skończyło się na tym, że parlament fiński w październiku 1918 oferował koronę fińską księciu heskiemu Fryderykowi Karolowi. Atoli i ten sen monarchistów fińskich nie potrwał zbyt wiele nocy, gdyż upadek cesarstwa niemieckiego definitywnie przekreślił ów plan.

Pozostaliśmy przez chwilę przy Svinhufvudzie, gdyż z chwilą kiedy po dziesięciu blisko latach nieobecności w życiu politycznym, znowu do niego powrócił, w Finlandii zaczęła się dziać rzeczy, mające dość osobliwe znaczenie dla przyszłości.

Jesienią roku 1929 organizacja młodzieży komunistycznej zebrała się w Lapua we wschodniej Pohjanmaa. Lapua jest niewielką miejscowością i nie przesłabła nawet do historii, gdyby reakcja nie zainscenizowała tutaj spektaklu politycznego, który miał się okazać brzemienne w skutkach dla dalszego rozwoju życia publicznego w Finlandii. Zorganizowano bowiem napaść na młodych ludzi, pozdzierano im czerwone koszule, rozbito złot. Rząd w opublikowanym oświadczeniu stwierdził, że nie zamierza karać awanturników, za co posłowie, z wyjątkiem komunistów, obdarzyli go votum zaufania. Reakcja nabrała zaufania we własne siły tworząc organizację zwaną Suomen lukko (co znaczy: zamek do bram Finlandii), aby zwała komunistów. Ruch zaczęły w Lapus wtargnąć do parlamentu i w listopadzie 1930 roku uchwalone zostały ustawy antykomunistyczne.

Raz jeszcze zacytujmy Jutikkale, historyka, jako się już rzekło, niezbyt przychylnego komunistom: „Od wiosny 1930 zdarzyło się wiele nieprawości. Stało się rzeczą zwyczajną, że jakiegoś miejscowego przywódcę komunistycznego pakowało się do samochodu, wywoziło się go w bezludną pograniczną okolicę i zmuszało do przekroczenia granicy fińsko-radzieckiej. Małe tylko kręgi, nigdy

nie sprzyjające demokratycznemu systemowi rządzenia, wykorzystywały nieład występujący gwałtownie nawet przeciwko szanowanemu politykom: podjęto nawet próbę wyrzucenia do Rosji byłego prezydenta Stahlberga”.

Po nieudanym puczu, wywołanym przez uzbrojonych reakcjonistów w Mäntsälä w pobliżu Helsinek, ruch Lapua został skazany na zagładę przez te same ustawy wyjątkowe, jakich uchwalenia się domagał. Ale bynajmniej się nie skończył. Powstała nowa partia polityczna, mieniąca się Ojczyzną Partią Ludową (Isänmaallinen Kansanliike), wyraźnie już faszystowska.

8.

A więc Svinhufvud — mocna postać, chłopski wygląd, szczeciasty wąs pod grubym nosem. Cytowany tu już dyplomata niemiecki, lekceważący nieco Mannerheima, wydał o nim opinię niezwykle pochlebną: krzepki, krepły, z zaniedbaną powierzchownością, ale rzeczowy i prostolinijny, fanatyczny przeciwnik Rosjan. Dyplomata niemiecki ma dodatkowy powód do radości. Svinhufvud! — wykrzykuje w pewnej chwili — przecież to fiński Hindenburg! On jak Hindenburg ustąpił miejsca ruchowi, który da narodowi fińskiemu szansę zwycięstwa. Rzecz znamienna, iż właśnie za prezydentury Svinhufvuda na arenę polityczną powrócił również Mannerheim. Został przewodniczącym Rady Obrony i naczelnym dowódcą na wypadek wojny. W pamiętnikach swych opisuje krótko rozmowę na ten temat ze Svinhufvudem, który wezwał go do siebie zaraz na drugi dzień po przejęciu funkcji prezydenta i oświadczył: „Nie jestem zdolny prowadzić wojny”.

Mannerheim poczuł się zdolny. Jego sympatie rosyjskie nie były adresowane do ludzi radzieckich, sympatyzował jedynie z takimi jak on wychowankami carskich szkół oficerskich, z synami szanowanych wówczas rodzin, z którymi uganiał się konno po górach i stepach azjatyckich w czasie swej niezapomnianej podróży naukowo-wojskowej.

W roku 1938 parlament wysłuchał wreszcie Mannerheima, przeznaczając na obronę granic zawrotną sumę 3000 milionów fińskich marek, co jednak było zbyt późną satysfakcją dla Svinhufvuda, który już wycofał się na emeryturę i który przed tym z takim uporem mówił przy każdej okazji: „Wpierw należy zabezpieczyć granice, potem dopiero będziemy jeść grubsze kromki chleba”.

9.

Tak zwana wojna zimowa to mieszanina bohaterstwa, niezliczonych tragedii, niespełnionych nadziei, w tym również na arenie zagranicznej, i bezlitosnych ofiar. Wokół grobowca Mannerheima na półwyspie Hietaniemi leżą wśród krótkotrwałych letnich kwiatów i pod ciężkim śniegiem młodzi Finowie, których niedługie życie anonują jedynie małe tabliczki.

Mannerheim kierował wojskami fińskimi w trzech wojnach, jeśli nie liczyć wypędzania i rozbijania rozszcieczonych Niemców w północnej Finlandii w latach 1944 i 1945, gdy już wszystko na kompasach wojennych było oczywiste i gdy Finlandia poprosiła w Moskwie o pokój. Oficjalna historiografia fińska interpretuje wojny te nie z punktu widzenia Mannerheima, lecz ogólnych interesów narodowych. Gdzie można, tam wręcz pomija się nazwisko głównodowodzącego, nie szczędząc chwały żołnierzom. W książce zbiorowej o historii i teraźniejszości Finlandii, wydanej w roku 1964 po raz drugi w kilku językach na zlecenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, hasło Mannerheim pojawia się tylko dwukrotnie: raz jako głównodowodzącego białych w roku 1918, drugi raz w krótkim słowniczku biograficznym dołączonym do książki.

Max Jacobson, kierownik wydziału politycznego we wspomnianym ministerstwie, późniejszy przedstawiciel Finlandii w ONZ, pisząc o fińskiej polityce neutralności, interpretując przy okazji prowadzone przez Finlandię wojny, zwłaszcza tak zwaną zimową i tak zwaną kontynuacyjną, przemilczał Mannerheima całkowicie. W działaniach wojennych dostrzega on prolegomena do zespołu zasad neutralności, przyjętych przez powojenną politykę fińską.

Sto dni ciężkiej „wojny zimowej” na przełomie lat 1939—1940 uważa on za nie dającą się odsunąć konieczność historyczną: „Finlandia osiągnęła rzecz istotną spośród tych, o które walczyła: nie chodziło już w tej wojnie o egzystencję Finlandii jako państwa samodzielnego, lecz o problemy terytorialne — a więc o coś, o co można było rokować”.

Ale przemilczany w tym kontekście Mannerheim myślał zupełnie inaczej i to nawet po rokowaniach pokojowych, zakończonych w Moskwie 12 marca 1940. W rozkazie dziennym do armii mowa jest o niej, jako o wciąż niepokonanej w obliczu wroga a także czytamy tutaj: „Jesteśmy dumni w świadomości, że dalej będziemy wykonywać historyczne zadanie: strzec zachodniej kultury, którą o dziedziczyliśmy przed wiekami, wiemy jednak także, że dług nasz wobec Zachodu spłaciśmy co do grosza”.

10.

W roku 1941 Finlandia ponownie uwickła się w wojnę ze Związkiem Radzieckim. Historycy i politycy fińscy podkreślają dziś, że mimo wszystko „Finlandia prowadziła wojnę odrębną, nie uczestnicząc w wojnie wielkich mocarstw” i dalej, że Finlandia nie była sojusznikiem Niemiec, lecz jedynie ich współwalczącą stroną; walczyła ona o własne cele wojenne i odmawiała udziału w takich operacjach, które służyły wyłącznie interesom niemieckim”. Opisawszy jednak wydarzenia „te w taki sposób Max Jacobson musi przyznać, że „postawa Finlandii była w tym sensie paradoksalna, iż prowadząc wojnę przeciwko wielkiemu mocarstwu, biorącemu udział w wojnie światowej, starała się równocześnie zająć swego rodzaju neutralną pozycję w konflikcie wielkich mocarstw”.

W dwóch ostatnich wojnach poległo 85 tysięcy Finów, rany odniosło 220 tysięcy, co stanowiło w sumie około siedmiu procent ogółu ludności.

Również i w tym kontekście nie wymienia się nazwiska Mannerheima.

11.

Z prawdziwie obłędnym kultem Mannerheima spotkałem się jednak właściwie raz i to nie w Finlandii, ale w NRF. Znany zachodni niemiecki pisarz, Edward Schaper, tworzący, jak sam przyznaje, książki w duchu „odrodzonego chrześcijaństwa”, napisał rzecz o Mannerheimie pełną uwielbienia i pokory. Przyznaje marszałkowi rangę najwyższą wśród znanych sobie osobistości, mieszczącą się w nierzeczywistej już, bo „mystycznej hierarchii”.

Schaper, antykomunista, ale i emigrant polityczny z Trzeciej Rzeszy, uciekł przed armią hitlerowską z Estonii do Finlandii. W tym samym czasie Brecht, marksista, uciekał przed hitlerowcami z Danii do Finlandii, gdzie w gościnnym dworcu pisarki Helli Wuolijoki pisał, w oparciu o jej pomysły, moralizującego „Pana Pontile”. Brecht szukał małego okienka, przez które mógłby się wymknąć prześladowcom, by potem przez większe okna, jakimi były jego dzieła, wyjść na szeroki świat. Schaper z kolei uciekł do Szwecji, wbrew późniejszym wydarzeniom unosząc w sercu obraz „niezłomnego marszałka”. Brecht przez Moskwę utorował sobie dalszy, daleki szlak emigracyjny. Schaper po wojnie ze Szwajcarią za pośrednictwem wydawnictw zachodni niemieckich uprawiał m. in. nadal agitację antykomunistyczną a po

śmierci Knuta Hamsuna, kolaboracjonisty, on, antyhitlerowiec, opublikował na jego cześć hymn pochwalny („Większy był od nienawiści, którą mu płacono, większy od współczucia, które mu darowano, większy od współczucia wobec samego siebie, widocznego tu i ówdzie w jego ostatnim rachunku sumienia”). Brecht wrócił do NRD i doskonale wiemy, co tam napisał i czym zadziwił świat.

Obaj niemieccy pisarze przechodzili obok siebie w Helsinkach i nie spotkali się. Jakże by się zresztą mogli spotkać? Po czym poznaliby się w tym mieście, które znajdowało się w stanie lekkiego odprężenia po jednej wojnie i w stanie ufnosci przed drugą wojną, w stanie nadziei gorliwie kolportowanych przez ludzi, którzy, udawczy się

w bojowy marsz przez Finlandię z małego Lapua, wierzyli również w mistyczną hierarchię. A owej mistycznej hierarchii raz jeszcze złowrogim dźwiękiem zabrzmiało słowo wojna.

Jakże tu zresztą wierzyć Schaperowi, gdy mówi, że poczucie godności marszałka Mannerheima było tak wielkie, iż posiadając je mógłby przegrać nawet trzecią wojnę a mimo to klęska ta nie zaciemniłaby w najmniejszym stopniu jego osoby i jego osiągnięć?

Uwierzmy raczej pisarzom fińskim.

12.

Väinö Valteri Linna, samouk z rocznika 1920, stał się sławny szeroko poza Finlandię przez swoją powieść „Żołnierz

nieznany”. W samej Finlandii sprzedano ponad pół miliona egzemplarzy „Nieznanego żołnierza”, co przy niespełna pięćmilionowej ludności dowodzi, iż książka ta znalazła się w każdym niemal domu fińskim.

Napisał ją uczeń Lwa Tolstoj, za którego się chętnie podaje i co w pewnym sensie potwierdza powieść, stworzona w dziesięć lat po wojnie. Linna miał odwagę rozbić uromantyzowany heroiczny obraz wojny. Ta wojna nie jest ani dobra, ani sprawiedliwa, ani konieczna. W tej wojnie nie ma miejsca na patos i od początku nie ma nadziei na zwycięstwo.

Gdy wojna się kończyła, Linna miał 24 lata. Widział ją oczyma rozczarowanego młodego człowieka, dla którego życie zaczynało się nie w płomieniach, lecz wśród niepojętej biedy. Miał więc odwagę wystąpić przeciwko takiej wojnie, która oszukiwała żywych. Nie spodziewał się chyba jednak, że będą mieli odwagę wystąpić przeciwko jego książce ci, którzy wciąż jeszcze stroili się w heroiczne gesty. Książka stała się bestsellerem, choć jej przeciwnicy krzyczeli: Linna zhańbił pamięć fińskiego żołnierza, zbrukał godność narodu, wyśmiał fińskie kobiety.

Atoli wkrótce ci, którzy go najwięcej potępiali, zorientowali się, że można na książce tej ubić własny ideowy kapitał. Opowiada o tym Pentti Saarikoski, również wybitny pisarz, z rocznika 1937, komunista, krytyk literacki, debiutujący w roku 1958 tomem wierszy. Jak przypomina zatem Saarikoski — przerobiono „Żołnierza nieznanego” na plenerowe widowisko teatralne i wszystko nagle przemieniło się w szyderstwo, chytrze wywiedzione z ideowego programu Linny po to, by ten program skompromitować. Oto prawdziwe tanki wjeżdżają na murawę, oto grzmiały prawdziwe karabiny i bohatersko umierają dzielni młodzi chłopcy. Pogarda dla wojny przemienia się w jej pochwałę. Teraz i wojsko pokonilo się „Żołnierzowi nieznemu”, ciężarówkami zaczęto podwozić żołnierzy na spektakl, który w nowej szacie artystycznej ukazywał wojnę jako piękne, bohaterskie, męskie widowisko.

Saarikoski zastanawia się: może to była wina samego pisarza, może jego epicka opowieść była zbyt mało namiętna, może stało się to samo, co przydarzyło się kiedyś powieści Remarque’a „Na Zachodzie bez zmian”, pacyfistycznej a przecież w pewnych okolicznościach wykorzystywanej jako próba heroizacji człowieka wpłatanego w wojnę.

Ustrzegł się przed tym Väinö Meri, syn oficera z Viipuri, urodzony w roku 1928. Brzydząc się wojną, Meri nie występuje przeciwko niej jako moralizator, głoszący mglisty pacyfizm, lecz ukazuje bezsens wojny w ironicznym ujęciu. Ma przy tym poczucie krępkiego, ludowego humoru, w czym bardzo podobny jest do Haszka i wystarczyłoby chwilami zamienić żołnierza, nazywającego się Joose Keppilä, na Szwajk, a „Historia sznura z manili”, znana także z polskiego przekładu, mogłaby się ostatecznie dziać na terenie Austro-Węgier. Jak Szwajk jest Meri groteskowo i absurdalnie dokładny w opisywaniu procedury wojennego, czego przykład mamy choćby w opowiadaniu „Zabójca”.

Jest to historia strzelca wyborowego, który samotnie poluje na nieprzyjaciół opanowawszy wszystkie tajemnice swej morderczej gry. Koledzy mają dla niego najgłębszy szacunek, ale dlatego tylko, że budzi w nich niesamowite uczucia i trwogę. „Trzeba uważać takich jak on za nadających się do swego zawodu, gdy się go widzi strzelającego ze stuprocentową pewnością do figury o wielkości głowy ludzkiej i to z odległości 600 metrów. Ale to mu nie wystarczało. Można odstrzelić człowiekowi twarz spod oczu a wszystko i tak będzie jedynie marnowaniem prochu. Są w głowie miejsca, w które można trafić i nie zabić. On jednak znał wszystkie finanse swego fachu, budowę ludz-

LETNIA WODA

długopisem

Niedawno do redakcji wpłynęły dwa listy. Jeden z nich odwoływał się do mojego felietonu („Temat — praca” w numerze majowym „Liter”), drugi polemizował z organizatorami i jury tegorocznej nagrody poetyckiej — „Kandelabr”. Niezależnie od racji w listach przedstawionych, wyjątkową satysfakcję sprawia tenor wypowiedzi obu Autorów. (Choć w jednym liście „dostało” się i Bernardowi.) Widać, że to o czym piszą Autorzy obchodzi ich żywo, że są poruszeni do głębi, że swojej wypowiedzi pragną nadać taką ekspresję, by poruszyła ona z kolei czytelnika. Rzadki to dziś wypadek w naszym leniwym i wygładzonym życiu kulturalnym. Oba listy są dowodem na to, że można jeszcze spotkać tu i ówdzie ludzi, którym na sercu leżą sprawy związane z życiem kulturalnym. Że wierzą w to, że o coś w tej kulturze chodzi i że czas poświęcony na trud myślenia nie jest czasem straconym. Te dwa głosy są chlubnym wyjątkiem w letniej wodzie naszej stabilizacji. To prawda, że „Kultura” funduje nam co tydzień felietony KTT i Hamiltona, „Współczesność” A. Małachowskiego i A.J. Wiczorkowskiego, a radio hrabiego Waldorffa. Ale przykłady te nie są jakoś zaraźliwe; szczególnie antyseptyczna sytuacja panuje w środowiskach pozawarszawskich, może dlatego odczutej „prowincjonalnie”.

Biadoli się u nas na przykład nad złym stanem krytyki, która ponoć nie nadąża. Krytycy z kolei odbijają piłeczkę ping-pongową w stronę twórców, wskazując na niedostatki literatury, sztuk plastycznych, filmu, teatru itp. Kółko się zamyka na okrągło. Na okrągło, bo i zarzuty są „okrągłe”. Nic więc nie mać spokoju. Cisza i wieczny odpoczynek. A przecież spory, polemiki, dyskusje — są nieodzownym elementem każdej dziedziny życia. O ile zależy nam w niej na postępie.

W sporcie znana jest dewiza: kto nie atakuje, ten przegrywa. W kulturze — kto nie walczy, ten się przeżywa. Sztuka powstawała również wtedy, kiedy nie było polityki kulturalnej, to prawda, ale są to tak zamierzchłe czasy, że tylko najświeżsi je pamiętają. I Hamilton. Andrzej Mencwel stwierdził m.in. na marginesie swego cyklu pt. „Kryzys w literaturze polskiej” („Współczesność”, nr 315), że „...polityczna czy też propagandowa nadgorliwość rodzi bezmyślność”. Obok samozadowolenia wynikającego z lenistwa lub ze starości, istnieje więc też samozadowolenie wynikające z oportunistów. Uгода na „letnią wodę” jest zaraźliwa i zataczając coraz większe kręgi poraża co śmielszych, nakładając im na nogi bambosze i sadzając ich w fotelach, najlepiej przed telewizorem. I tak trawią lek — lek przed zakłóceniem sielanki, lek przed osamotnieniem w środowisku, lek przed utratą zdobytych trofeów, lek przed samą sobą wreszcie. Tak, trzeba dużego samozaparcia, by ruszyć z kruczatą, by wstrząsnąć światkiem przeżywającym i sennie trawiącym własny spokój. Autorami wyżej wzmiankowanych listów do naszej redakcji byli — robotnik i student. Dodajmy też, że dzieliła ich spora różnica wieku. Bariery wiekowe i inne bariery zburzyła wspólna pasja prezentowania poglądów sprzecznych z powszechnie akceptowanymi przez środowisko. Swoją sprzeciw zaprezentowali na piśmie w nadziei, że mając rację mogą nią zarażać innych, lub dodać otuchy innym do walki o lepsze racje. Postawa godna pochwały niezależnie od racji obiektywnych. Te zawsze mają rację; ale sztuka bywa przewrotna.

Drgnął jednak barometr na niżu prowincjonalnym. Na przykład ostatnie obrady Zjazdu Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych w Zielonej Górze były pod tym względem symptomatyczne. Odnosi się to do dwóch wystąpień — do referatu Witolda Nawrockiego i do koreferatu Krzysztofa Nowickiego. Pierwszy potraktował temat „zachodni” w literaturze jako proces rozwojowy, który w trakcie tego rozwoju poszerza się i wzbogaca. „Dziś sam temat już nie wystarczy”. Miał referent zapewne na myśli nowe, szersze zadania, które dzisiaj stoją przed pisarzem podejmującym ten temat. Nowicki podjął rękawicę. Swoje sądy sformułował tak prosto, że nawet najbardziej niedomyślni musieli się domyśleć. Potraktował on literaturę o temacie „zachodnim” jako nieodłączną część literatury polskiej; postawił wniosek nieformalny, by zwalczać pewne nastawienia, które usiłują ferować oceny „z taryfą ulgową” dla autorów zajmujących się tematem „zachodnim”. Przypomniał takim klasyfikatorom, że autor zasługuje się kulturze tylko wartościami ideowo-artystycznymi i odkrywczością artystyczną, a nie samym tematem, czy dobrymi chęciami. Na szczęście wielu uczestników zjazdu podzielało tę opinię (wg „Życia Literackiego”), ale wiele jeszcze wody (letniej) upłynie w Raduni, nim wypowie się tę prawdę głośno u nas w Gdańsku. Zresztą głośno należy mówić nie tylko o literaturze, ale również o sztukach plastycznych, o teatrze, o muzyce i o wielu innych sprawach związanych z sytuacją w „gdańskiej” kulturze. Rozmowy towarzyskie w kawiarniach i redakcjach prowadzą jedynie do frustracji. Takie jest bowiem prawo fizyczne letniej wody. Wielu ludziom dobrze zrobi zimny prysznic. Czasem nawet o tym nie wiedzą.

BERNARD



Robert Frost

O, ZGAŚNIJ, ZGAŚNIJ*)

Grzechotała piła, warczała w podwórzu
I pyłem dmuchała tnąc na opał drzewo
Unosiły wiatry zapach trocin słodki.
A kto z tego miejsca oczy wzniośł, mógł zliczyć
Rzędy gór, pięć pasm ich, jedno poza drugim
Daleko w głąb Vermont, pod schylonym słońcem.
A piła warczała, grzechotała piła
To w lekkich obrotach, to w powolnym znoju,
Nic się nie zdarzyło, dzień dobiegał końca.
Odlóście robotę, gdybym mógł zawołać
By ucieszyć chłopca pół godziną czasu
Która tak smakuje, gdy ujęta pracy!
Siostra jego obok stanęła w fartuszu
I rzekła „Kolacja”. Na to słowo piła —
Jakby rozumiała, co kolacja znaczy —
Chłopcu z rąk wypadła czy tak mu się zdało,
Gdy rękę wyciągnął, by ją złapać w łocie
Jakkolwiek by było — stało się. Lecz ręka!
Pierwszy okrzyk chłopca był śmiechem żalosnym

Robert Frost, jeden z najwyżej cenionych i zarazem najpopularniejszych poetów amerykańskich, urodził się w San Francisco w 1874 r. Po śmierci ojca w r. 1885 przeniósł się do Nowej Anglii, z którą związał całe swoje życie i twórczość poetycką. Dwa razy zaczynał studia, raz w Dartmouth, drugi raz w Harvard. Nie ukończył ich jednak i podejmował wiele przypadkowych zajęć: pracował w fabryce tekstylnej, był nauczycielem, redaktorem, farmerem. Pierwszy swój wiersz opublikował w 1894 roku, po czym drukował nader rzadko. Do 1912 r. ukazało się ledwie dwanaście utworów poety. Sytuacja zmieniła się odgad Frost wyjechał do Anglii, gdzie mógł „drukować wiersze bez narażania rodziny na dalsze skandale” — jak sam pisał później. W okresie trzyletniego pobytu w Anglii Frost zaprzyjaźnił się z wieloma poetami, od których doznał zachęty do dalszego pisania. W Anglii ukazują się dwa pierwsze tomy Frosta — „A Boy's Will” (1913) i „North Boston” (1914). Ten drugi zbiór wydał poeta w rok później także i w Ameryce. Zawiera on już wiele słynnych utworów, które weszły do kanonu twórczości Frosta: „Mending Wall”, „After Apple-Picking”, „The Black Cottage”, „The Wood-Pile” i inne. Następne tomy to „Mountain Interval” (1916), „New Hampshire” (1923), „West-Running Brook” (1928) i wiele innych. Po powrocie do Ameryki w 1915 r. Frost zajmował się rolnictwem na farmie w New Hampshire i systematycznie pisał wiersze, które dzięki swej prostocie (pozornej zresztą!) i tematyce codziennej, wiejskiej, zyskały mu bodaj największą wśród współczesnych poetów amerykańskich poczytność. Poetyka jego opiera się na białym wierszu przekazywającym w potocznym, nieozdobnym, mówionym języku monologi lub dialogi bohaterów lirycznych. Często są to wiersze opisowe, dające się zaliczyć do poezji narażonej; wiele też wśród wierszy Frosta znajdziemy liryków o filozoficznej, refleksyjnej treści. W późniejszym okresie twórczości przeważa treść intelektualna nad opisem. Regionalizm Frosta ma dalekosieźne implikacje ogólnoludzkie, a najczęstszym motywem jego poetyckiej refleksji jest stosunek człowieka do natury. W ostatnich tomach pojawia się problematyka metafizyczna.

Robert Frost zyskał sobie wysokie uznanie społeczne dla swej twórczości, czego świadectwem były doktoraty honorowe takich uniwersytetów, jak Oxford, Cambridge, a nadto wielu amerykańskich uczelni; czterokrotnie przyznano mu (ręcz bez precedensu) nagrodę Pulitzera w zakresie poezji (1924, 1931, 1937, 1943), a wreszcie zaproszono go do udziału w uroczystości inauguracyjnej prezydentury J. F. Kennedy'ego; pierwszy tego rodzaju zaszczyt, który przypadł poecie. (Frost przeczytał wtedy swój wiersz pt. „The Gift Outright”). W roku 1962, 88-letni poeta odwiedził Związek Radziecki z ramienia Departamentu Stanu z „misją dobrej woli”. Zmarł 12 stycznia 1963 roku.

Leszek Elektorowicz

Od Redakcji: Niedługo ukaże się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego wybór wierszy Roberta Frosta w „serii celofanowej”. Wybór i przekłady są dziełem Leszka Elektorowicza, krakowskiego poety, eseisty i tłumacza.

Kiedy podbiegł ku nim, wyciągając rękę
Czy to w geście skargi, czy też jakby chwytając
Życie zbiegłe z dłoni. Chłopiec ujrzał wszystko
Dorosły na tyle by wiedzieć, wysoki,
Pracę mężczyzny spełniał, choć był dzieckiem w duszy,
Wiedział, że stracone wszystko. „Nie daj, siostró
By mi rękę odjął, kiedy przyjdzie lekarz,
Nie daj!” Tak. Lecz ręki nikt nie mógł ocalić.
Lekarz go w eteru ciemności wprowadził.
Leżał, wargi ciężkim oddechem wydymał.
Przeraził się lekarz za puls go trzymając.
Nikt nie wierzył zrazu. Serca mu słuchali.
Słabo bije — mniej — wcale! — taki koniec był.
Nic tu więcej zrobić. A ci, co zostali,
Oni nie umarli: do swych spraw wrócili.

*) Tytuł ten zaczerpnął poeta z „Makbeta”: „Zgaśnij, o zgaśnij, świecie krótkotrwała!” (V, 5; tł. Ulrich).

kiej czaszki znał bardzo dokładnie. Gdy kula jego nie trafiała śmiertelnie, zmarnowany miał dzień. Zawstydział go krzyk bólu”. I choć był z niego taki znakomity snajper, pewnego dnia poczęły go zawodzić oczy i ręka zaczęła drżeć przy strzelaniu. Straciło ono wszelki sens. „Był to bowiem przesadnie wyborowy strzelec” — powiada Meri.

Spytano go kiedyś, czemu ustawicznie pisał o wojnie i o żołnierzach. Odpowiedział: „Wydarzenia wojenne, które przeżywałem jako dziecko, zapadły mi w pamięci jako niezwykle dramatyczny, pełen napięcia obraz życia. Kiedy dojrzałem, obraz ten się rozpadł, wszystko w nim wydało mi się małe i nie było warte. Poznałem absurdalność życia. Wojna stwarza sytuacje, w których możliwości człowieka, by mógł decydować o sobie, zredukowane są do minimum. Opisuję wojnę jako skonkretyzowany lęk człowieka przed tym, czego nie może on pojąć. Moi bohaterowie stają się blaznami, ale ja nigdy nie śmieję się z ludzi. Śmieszność kryje się w zdziwieniu. Czytelnik musi być czujny, gotowy w każdej chwili widzieć rzeczy z nowego punktu widzenia, gdy jego zharmonizowany świat rozbijany jest na części. Albowiem jest to świat nieprawdziwy”.

Świat wojny, którą Meri widział oczyma dziecka z dobrej oficerskiej rodziny, był wła-

śnie takim nieprawdziwym światem. Dlatego się nad nim znęca.

11.

Obok siedzi Paavo Rintala. Gdybym nie wiedział, że ten młody jeszcze mężczyzna (z rocznika 1930, podobnie jak Meri, urodzony w Viipuri, odstąpionym po wojnie Związkowi Radzieckiemu wraz z całym Przesmykiem Karelskim) był także robotnikiem budowlanym, długo zgadywałbym, jaki jest jego prawdziwy zawód. Ale to jest spotkanie literackie i Rintala, obok Linny i Meri najbardziej utalentowany pisarz młodego pokolenia, przybył tu jako literat. Zacięta, przystojna twarz, nerwowe ruchy delikatnych rąk poprawiające włosy, spokojne, prawie nieruchome oczy.

Rintala najmocniej przyczynił się do tego, że bohaterka legenda mannerheimowska zbłądła i że marszałek pozostał takim, jakim go pamiętają, nie dający się tak łatwo olśnić pamiętnikarce: rozmiłowanym w sobie, rozkochanym w przepychu mundurów i wytwornego towarzystwa, rozpieszczonym przez licznie składane mu hołdy, zwłaszcza ze strony kobiet. Trzeba było niemałej odwagi, by ten były robotnik budowlany zmierzył się z wszechobecną legendą uwielbianego marszałka, z legendą uformowaną w pomniki

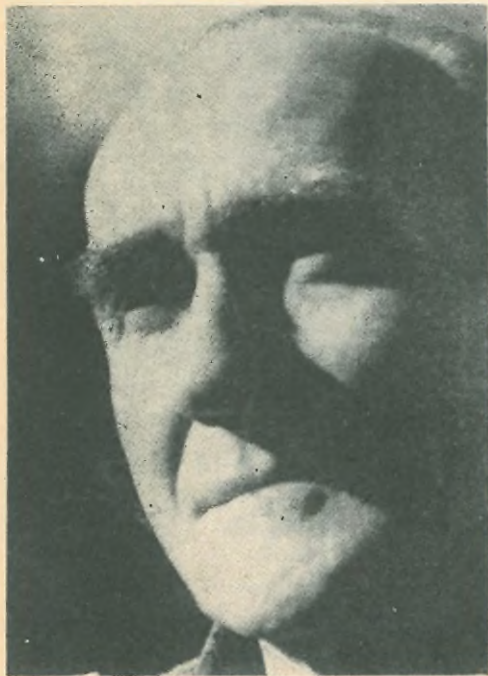
dłutem najlepszych rzeźbiarzy, krzyczącą z sztyldów ulicznych i zamkniętą w wielu dostojnych książkach. Etyczne jednak miary, jakimi posługuje się Rintala, odebrały mu zrozumiałą w tym wypadku nieśmiałość.

W trylogii z lat 1960—62, „Moja babcia a Mannerheim”, „Moja babcia a Marszałek” i „Przygody babci a Mannerheim”, ściga marszałka z piedestału patrząc inaczej, niż to czyniła tradycyjna, nacjonalistyczna literatura, na wydarzenia wojny domowej, na faszystowskie czy faszyzujące zjawiska lat trzydziestych, na wojnę fińsko-radziecką. Tę ostatnią wojnę i jej fińskie osobliwości przebuduje jeszcze raz w „Partyzanckim poruczniku”, zajmując się tym razem losami dziewcząt w mundurkach zwanych Lottami.

Nie powiedział o nich właściwie nic ponad to, co i tak było wszystkim wiadome: że zachowywały się nie tylko jak dzielne obrończynie ojczyzny, ale że na froncie i poza frontem były również — kobietami. Naruszył jednak przez to pewne narodowe tabu i oto przez cały rok toczyła się ostra z jego powieścią dyskusja a w odpowiedzi na „Partyzanckiego porucznika” opublikowano dokumentarne dzieło pewnego profesora uniwersytetu w Helsinkach, w którym to dziele profesor użył mirry i kadzidła na cześć stateczności kobiecej, uczciwości i bohater-

Andrzej Ściepuro

STANISŁAW BORYSOWSKI



Czterdziestolecie pracy twórczej prof. S. Borysowskiego, związanego od momentu zakończenia wojny do dnia dzisiejszego z dwiema uczelniami: Wydziałem Sztuk Pięknych UMK w Toruniu oraz Wyższą Szkołą Sztuk Plastycznych w Gdańsku, wydaje się być właściwym momentem dla szerszego spojrzenia na dorobek tego artysty i zasłużonego pedagoga.

S. Borysowski studia artystyczne odbył w krakowskiej ASP w latach 1926–1931 pod kierunkiem W. Jarockiego, J. Pieńkowskiego, S. Kamockiego, T. Axentowicza oraz J. Wojnarskiego (grafika). W ich trakcie na zakończenie każdego roku spotykały go nagrody i pochwały¹. Kontynuacją niejako tych wyróżnień było przyznanie mu w 1932 r. stypendium do Włoch. W. Weiss, ówczesny rektor ASP w Krakowie, uznawał Borysowskiego za jednego z najwybitniejszych absolwentów, o czym świadczy jego opinia, wystawiona artyście w 1934 r.² W latach 1934–1935 Borysowski tworzył pod okiem J. Pankiewicza w jego pracowni w Paryżu. Głównymi tematami obrazów z tego okresu, jak pozwalają zorientować się katalogi wystaw Artystów Polskich „Sztuka”, w których uczestniczył od 1930 r., oraz katalogi szeregu innych ekspozycji, były martwe natury i pejzaże. Debiutem zagranicznym 27-letniego malarza stała się zorganizowana przez TOSSP w 1933 r. „Wystawa Sztuki Polskiej” w Moskwie, Rydze i Tallinie. Radzieccy krytycy w licznych recenzjach jej poświęconych zwrócili uwagę na młodego twórcę. A. D. Gonczarow pisał: „Ciekawe są obrazy Borysowskiego, jednego z najwięcej utalentowanych artystów, na którego pracach w znacznej mierze odbiły się wpływy francuskiej kultury malarskiej”³.

Galeria Sztuki Zachodniej w Moskwie zakupiła wówczas jego obraz „Zmrok”. Podobnie jak krytyk radziecki, recenzent włoski Ugo Ojetti⁴ z okazji XIX Biennale w Wenecji w 1934 roku łączył go z aktualną sztuką francuską, zwracając uwagę na płynny styl malarski, charakteryzujący prezentowane tam płótna. W 1935 r. obrazy artysty ekspozowane były na wystawie „Polnische Kunst”

w Berlinie, Monachium, Kolonii oraz Dreźnie. W tym też roku wystawiał w Rumunii, Bułgarii, na Węgrzech, w Jugosławii oraz uczestniczył w „Internacional Exhibition of Paintings” w Pittsburgu i Ohio. W 1937 r. na międzynarodowej wystawie w Paryżu S. Borysowski otrzymał srebrny medal. W 1939 r. wziął udział w międzynarodowej wystawie w Nowym Jorku. Obrazy ekspozowane na niej, podobnie jak większość dorobku twórczego artysty, uległy w czasie wojny rozproszeniu. Na podstawie zachowanych nielicznych płócien oraz reprodukcji publikowanych w pismach poświęconych sztuce i katalogach wystaw, można wnioskować, że ewolucja malarstwa Borysowskiego przebiegała od prac utrzymanych w konwencji postimpresjonistycznej w kierunku coraz bardziej uproszczonych środków obrazowanej rzeczywistości, przy ciągłym zwracaniu uwagi na wartości koloru. Przykładem może być „Martwa natura” z 1937 r., gdzie przedstawione przedmioty wydobyte zostały przy pomocy nieomal że płaskiej plamy ujętej mocnym konturem. Pierwsze prace powstałe tuż po wojnie wskazują na kontynuację tych rozwiązań plastycznych, których zapowiedzią był wspomniany powyżej obraz, nagrodzony w Paryżu w 1937 r. W tym też czasie Borysowski zaczął uprawiać grafikę, pozostając jej wierny do dnia dzisiejszego. Ona to głównie sygnalizuje jego ówczesne zainteresowania dynamiką ruchu, do którego to zagadnienia w swej sztuce powrócił po 1956 r. Początkowo interesujące go zjawisko przedstawiał artysta uciekając się do tematów będących samymi w sobie nośnikami tego problemu. W 1949 r. powstała akwatin-ta „Bieg” gdzie zgeometryzowane sylwetki sportowców, zwielokrotnione i zróżnicowane walorowo wyrażają swoisty rytm. W cyklu akwafort-akwatin-t „Temat muzyczny” z 1957 r. twórca ich, wychodząc od konkretnego przedstawienia, w następujących po sobie pracach coraz bardziej je przetwarzał, uzyskując w efekcie przy pomocy czystej formy zwięzłość i lekkość plam szerokiej skali szarości i czerni. Różnica „ciężaru” tych plam powodowała płynność form oraz ich ruch. Podobnie jak w grafice, problem ruchu wyrażał artysta w swych płótnach. W oleju

z 1957 r. „Taniec” przedstawił cztery postacie ludzkie, rozmieszczone obok siebie, zbudowane z drobnych, geometrycznych, kolorowych płaszczyzn tworzących w całości pełną dynamiki kompozycję. W 1958 r. na pierwszej wystawie „Grupy Toruńskiej” (Borysowski był jej głównym inicjatorem) zaprezentował obraz, którego kompozycja oparta została na zgeometryzowanych formach plastycznych nie sugerujących już jakiegokolwiek związku z rzeczywistością. Od 1964 r. artysta zaczął uprawiać grafikę kolorową w technice mieszanej, stosując duże formaty. Ulotne formy, usytuowane w centrum pracy, początkowo przedstawiane w postaci załączkowej, z czasem zaczęły się rozrastać i dominować nad pierwotnie tak ważnym tłem. W obecnych swych kompozycjach artysta w zróżnicowaną, delikatną w swej barwie i fakturze powierzchnię wprowadza począwszy od osi symetrii, bądź też po przekątnej, różnej wielkości płaskie, obłe plamy intensywne w kolorze, które przecinając się wzajemnie i przesłaniając, zmuszają odbiorcę do zrekonstruowania ich pierwotnego kształtu. Plamy te o fakturze spłótów tkaniny, pozbawione konturu wylaniając się z wielowymiarowej głębi, skupione wokół siebie, wyrwywają się ku przodowi lub tworzą plany: pierwszy, drugi itd. Wąziutkie pasemka bieli przecinające całość, w formie wirujących, elipsoidalnych krzywizn, potęgując ruch i rytm, nadają płaskim plomom właściwości brył zdających się być uchwyconym w ułamku sekundy stadium czegoś tworzącego się i szybko zmieniającego. Prace te podobnie jak całość dorobku artysty prezentowanego licznie na większości wystaw ogólnopolskich, cechuje mistrzostwo warsztatu, ciągłość poszukiwań i ukończenie piękna, które przekazuje innym. ■

¹ J.E. Dutkiewicz, Materiały do dziejów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie 1895–1939, Wrocław 1969, s. 240.

² Ibid., s. 240.

³ A.D. Gonczarow, Sowietsoje Iskusstwo, Moskwa, 14 XI 1933 r.

⁴ U. Ojetti, Corriere della Sera, Milano, 17 VI 1934 r.



STANISŁAW BORYSOWSKI: TANIEC (OLEJ, 1957)

Bogumił Grott

„W SPRAWIE RETRY — RADOGOSZCZY RAZ JESZCZE”

Kult Swarożycza odegrał ogromną rolę w życiu politycznym Słowian północno-zachodnich, w szczególności zaś u Luciców, zamieszkujących tereny na zachód od dolnej Odry i południe od wybrzeży Bałtyku aż po Rostok. Wokół niego ześrodkowywał się opór pogaństwa przeciw narzucaniu plemionom słowiańskim religii chrześcijańskiej, co w tamtejszych warunkach w praktyce równało się utraceniu przez nich niepodległości. Świątynia Swarożycza w Radogoszczu zaczęła nabierać z biegiem czasu charakteru „ideologicznego centrum” naszych zaodrzańskich pobratymców, skąd wychodziły antyniemieckie i antychrześcijańskie impulsy, umacniające ich nie tylko w zaciętym oporze przeciw najeźdźcom lecz także i skłaniające do podejmowania ataków w głąb terytoriów wrogów.

I tak w r. 963 Lucice biorą udział w wyprawie Wichmana na państwo Mieszka I.

demdziesiątych XI w., traktuje ją jako istniejącą. Jest więc całkiem możliwe, że świątynia przetrwała niemiecki napad, a jedynie wyrocznia utraciła swe dawne znaczenie na skutek utraty świętego rumaka służącego do wróżb. Może też została zdobyta i spalona w czasie wzmiankowanego najazdu, lecz wkrótce ją odbudowano.

W następnych latach po wyprawie biskupa Burcharda wyraźnie zaznacza się spadek dawnej bojowości Związku Wieleckiego. Gdy w r. 1073 wybucha powstanie Sasów przeciw Henrykowi IV, Lucice namawiani przez obie zwalczające się strony do udzielenia pomocy nie mogą się na nie zdecydować. W roku następnym nie reagują nawet na tak ponętną propozycję ze strony cesarza, jak zagarnięcie takiej części ziem saskich, jaką zdołają sami zdobyć. Jeszcze rok później decydują się co prawda wystąpić po stronie swych dawnych wrogów — Sasów przeciw Henrykowi, zdaje się jednak, że zamiar ten nie został obrócony w czyn, gdyż nie nam nie wiadomo o ich wyprawie w głąb Niemiec.

Ostatnie lata XI w. to okres względnego spokoju na wiecznie płonącej przeciw słowiańsko-niemieckiej granicy. Lucice zachowują nadal niepodległość, wydaje się jednak, że bardziej z powodu wewnętrznego osłabienia Niemiec niż na skutek własnej siły militarnej. W tym czasie to Związek Wielecki ulega, w coraz to większym stopniu, wewnętrznemu rozkładowi. Adam z Bremy, który w r. 1075 zakończył swą kronikę, podaje, że w owych czasach najwaleczniejszymi wśród Słowian byli Ranowie i nie



BOG SWAROŻYCZ
WG WYOBRAŹNI PROF. JAKUBOWSKIEGO

dużego konia zwanego świętym, a z tego, jakby mocą boską obdarzonego, dawali odpowiedź co do losów pierwszej danych do odgadnięcia. Jeżeli w obu razach jednakowa wróżba wypadła, godziło się badającym swój zamiar wypełnić, w przeciwnym wypadku obowiązani go zaniechać, odchodzili zasmuceni”.

Niestety, nie dochowały się prawie żadne wiadomości dotyczące samego boga Swarożycza. Można jednak wnosić, że był on chyba centralną postacią słowiańskiego Olimpu. O nim bowiem jedynie mówią źródła związane ze Słowiańszczyzną połabską, jak i z Rusią. Do dyspozycji badaczy pozostaje więc jedynie jego imię. Na podstawie etymologii niektórzy uczeni utrzymują, jakoby był bogiem nieba, słońca lub ognia.

Znacznie obfitsze natomiast są wiadomości o jego posagu. Nie wykluczone, że rzeczy materialne, jak posąg boga, świątynia i jej obwarowania, bardziej docierały do świadomości postronnych obserwatorów, którzy dostarczali wiadomości kronikarzom, niż obce dla nich i zawiłe tajniki słowiańskiej religii. Według Adama z Bremy figura Swarożycza była sporządzona ze złota. W lewej ręce boga miał tkwić topór obosieczny, na piersiach wisiała okrągła tarcza z podobizną łba tura lub byka, na głowie zaś siedział ptak z rozpostartymi skrzydłami. W pobliżu znajdowało się łóżko pokryte wspaniałym czerwonym kobiercem. Niektórzy uczeni wątpią w prawdziwość tego opisu. Zarówno obosieczny topór, jak i ptak należą przecież do symboliki skandynawskiej. Również i łóżko wydaje się nieco podejrzane. Zastrzeżenia budzi też tworzywo samego posagu — złoto. Z drugiej jednak strony Ebbon w swojej kronice mówi o istnieniu złotego posagu Trzygłowa w Wolinie. Kronika Adama z Bremy jest bardzo różnie szacowana przez znawców źródeł. Poczekajmy więc, może w przyszłości wypowiedzą się oni bardziej jednoznacznie na temat tego, jakże pobudzającego wyobraźnię, opisu wnętrza świątyni w Radogoszczu.

Najwięcej jednak sporów i kłopotów spowodował pozostawiony przez wspomnianego już Thietmara opis samej świątyni i jej umocnień. Zgodnie z jego treścią Radogoszcz nie była siedzibą ani któregoś z książąt, ani też nawet osadą zamieszkałą przez większą liczbę ludzi. Nic więc dziwnego, że wraz ze zniknięciem świątyni i upadkiem pogaństwa imię jej, choć obrosło legendą, utraciło powiązanie z jakimkolwiek punktem na mapie w kraju dawnych Luciców. Radogoszcz, podobnie jak Arkona, świątynia Świętowita na Rugii, była jedynie miejscem kultowym położonym na uboczu. Jedynym punktem wyjścia dla podejmujących wysiłki mające za cel jej lokalizację pozostał tylko opis Thietmara. Określa on gród świątynny jako „urbs tricornis ac tres in se continens portas”. Szczupłość i niejasność tej wzmianki doprowadziła do powstania około dwudziestu hipotez na temat lokalizacji Radogoszczu, a literatura poświęcona temu problemowi mo-



RETRA — RADOGOSZCZ WG WYOBRAŹNI PROF. JAKUBOWSKIEGO

W r. 983 zaś poszkodowany przez Sasów książę obodrzycki Mściwój uzyskuje poparcie kapłanów z Radogoszczu, którzy pobudzają słowiańską ludność tych okolic, gdzie chrześcijaństwo powoli zaczęło już zapuszczać korzenie, do powstania przeciw nowej religii. W połowie XI w. dwaj czescy misjonarze, prowadzący działalność wśród Luciców, ponoszą śmierć w świątyni Swarożycza. W r. 1066 w czasie powstania przeciw Niemcom i szerzącemu się chrześcijaństwu, szczególnie w księstwie obodrzyckim, Lucice zdobywają nadbaltycki Wyszomir, będący siedzibą nowo założonego biskupstwa, prowadzącego akcję misyjną w tych stronach. Biskup Wyszomiru, Jan, zostaje przetransportowany do Radogoszczu, gdzie ginie okrutną śmiercią z powodu obcięcia członków.

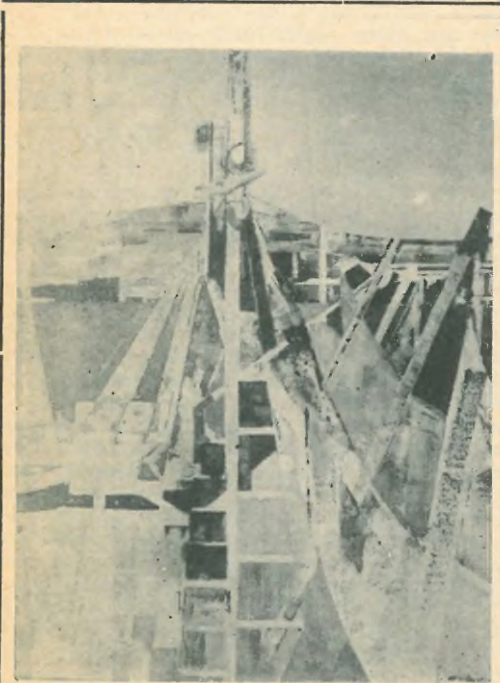
Mając tak wielki wpływ na Połabian, Radogoszcz stała się, rzecz jasna, celem napadów ze strony feudałów niemieckich prących systematycznie na wschód. Zemsta za męczeńską śmierć biskupa Jana oraz chęć złupienia bogactw świątyni, doprowadziła w zimie 1067/68 r. do zorganizowania przeciwko niej wyprawy. Na czele wojsk stanął jeden z biskupów saskich Burchard z Halberstadtu. W tym punkcie sprawa zaczyna się gmatwać. Kroniki bowiem wspominają jedynie o uprowadzeniu przez niego świętego konia Swarożycza i zbeszczeszczeniu tym samym tego boga. Natomiast nie mówią nic o zdobyciu i spaleniu samej Radogoszczu. Adam z Bremy, piszący swą kronikę w latach sie-

nie działo się bez zasięgnięcia ich opinii. Chodzi tu zapewne o wyrocznię w Arkonie, która swym znaczeniem musiała już przewyższyć, o ile nie zastąpić całkowicie Radogoszcz. Widać więc wyraźnie, że świątynia Swarożycza, niezależnie od tego czy zniknęła z powierzchni ziemi na skutek wyprawy Burcharda, jak chcą jedni, czy też istniała dalej i została ostatecznie zniszczona dopiero w r. 1127 przez cesarza Lotara, jak chcą inni, nie odgrywała już po r. 1068 żadnej roli, a wraz z tym faktem utracili swe dawne znaczenie waleczni Lucice.

* * *

Kapłani Swarożycza wywierali za pośrednictwem wróżb przemożny wpływ na wyobraźnię oraz decyzje polityczne plemion Połabskich. Byli oni przecież, zgodnie z wierzeniami pogan, pośrednikami między bóstwem a masami ludności, zdolnymi do odczytywania jego woli. Bez ich udziału nie przystąpiono do wojny, nie zawarto przymierza. Biskup merseburski Thietmar, a zarazem kronikarz, przekazał nam opis wróżb dokonywanych przez kapłanów. Píše on: „żerzy tajemniczo pomrukując między sobą grzebali z przerażeniem w ziemi, aby z losów rzuconych mogli coś pewnego powiedzieć o rzeczach wątpliwych. Te ukończony losy przykrywali zieloną darnią, po czym w kornej postawie przeprowadzali przez dwie włócznie na krzyż utkwione grotami w ziemi

głaby stworzyć małą biblioteczkę. Archeologowie i historycy długo mozolili się nad interpretacją określenia „urbs tricornis” (gród trójrożny). Dla jednych słowo urbs oznaczało gród. Nie zabrakło jednak i takiej hipotezy, która chciała identyfikować je z całym terytorium plemiennym Radarów, gdzie miała znajdować się poszukiwana świątynia. Również i owa trójrożność (tricornis) stała się przyczyną zamieszania. Rozumiano ją jako oznaczenie grodu lub obszaru w formie trójkąta, co pociągało za sobą możliwość lokalizacji Radogoszczy na rozmaitych trójkątnych wysepkach lub półwyspach. Schuchhardt, jeden z ostatnich badaczy tego problemu, wzmiankowaną już trójrożność uznał za świadectwo istnienia trzech wież. Przypuszczenie to skojarzył ponadto ze wzmianką Thietmara, jakoby w umocnieniach świątyni znajdowały się trzy bramy. W tym momencie wszystko zaczęło się wydawać stosunkowo proste. W średniowiecznych warowniach na ogół ponad bramami wznoszono wieże, jako że stanowiły one najsłabsze punkty obrony, wymagające dodatkowych umocnień. W takiej sytuacji należało tylko znaleźć możliwe duże grodzisko nad jeziorem, posiadające trzy bramy, a owa trójrożność byłaby już wytłumaczona. Warunkom tym zdawało się doskonale odpowiadać grodzisko położone na cyplu nad szerokim Jeziorem Lucińskim w pobliżu miasteczka Feldberg w Meklemburgii. Pasowało ono prawie idealnie do nowej interpretacji danych źródłowych dokonanej przez Schuchhardta, znacznie lepiej niż inne miejsca nad jeziorami: Doleńskim, Lieps lub Karwickim, gdzie uprzednio próbowano już umiejscawiać Radogoszcz. Wody szerokiego Jeziora Lucińskiego okalają półwysep, na którym usadowiło się ono, z dwu stron, ze wschodu i południa, od zachodu zaś znajdują się dwa stawy, południowy niewielki i północny o znacznie większym rozmiarach. Wschodnią część grodziska stanowi platforma górująca nad jego resztą. Ma ona dł. 114 m i szerokość do 45 m. Prowadzący tu badania w r. 1922 Schuchhardt uznał ją za gród górny, gdzie znajdowała się świątynia. Jako potwierdzenie tej tezy, przyjął warstwę zalegających kamieni o wym. 12 x 20 m uznając ją za pozostałości fundamentów świętego przybytku. Według tego badacza domniemana świątynia miał otaczać wał o trzech bramach. Ich trzy odpowiedniki przecinały wał zewnętrzny obejmujący znacznie większy obszar bo dochodzący do dł. 250 m. Wzniesiono go w konstrukcji rusztowej, na szerokiej podstawie o szer. 3,20 m.



KAZIMIERZ SRAMKIEWICZ: SYCYLIA IX - 64

Po jego stronie wewnętrznej natrafiono na pozostałości domów, stanowiących, jak sądzono, schronienie załogi Radogoszczy. Trzeba tu nadmienić, że prace wykopaliskowe prowadzone przez Schuchhardta na grodzisku nad szerokim Jeziorem Lucińskim nie odznaczały się wystarczającą dokładnością. Ziemię przekopywano łopatami, nie trudząc się rozdrabnianiem gród, aby wyłowić średnie i małe przedmioty. Nic więc dziwnego, że plon nie był obfity. Datowanie grodziska oparto na uzyskanych skorupach naczyń, pochodzących, jak się wówczas wydawało, z X—XI w., a więc z okresu, kiedy istniała świątynia w Radogoszczy. W świetle powyższych danych Schuchhardt, znalazłszy grodzisko o trzech bramach, które broniły, jak zakładał, wieże, a więc „urbs tricornis”, którego część wznosiła się nad taflą jeziora, w kierunku wschodzącego słońca, i była miejscem gdzie mógł być uprawiany jego kult, sądził, że odkrył legendarną Radogoszcz. Pobliski las bukowy mógł być identyfikowany ze wzmiankowaną przez Thietmara świętą puszcza, która miała rozciągać się w pobliżu świątyni.

Nie wykluczone, że wobec takich argumentów teza o istnieniu przybytku Swarożycy w pobliżu Feldbergu przyjęłaby się w nauce na trwałe. Tak się jednak nie stało. Badania prowadzone przez jednego z archeologów niemieckich nad ceramiką słowiańską z Meklemburgii pozwoliły wykryć pomyłkę Schuchhardta. Okazało się bowiem, że typ ceramiki zwany feldberskim, który występował przede wszystkim w domniemanej Radogoszczy ma pochodzić z VII—IX w., nie zaś z X—XI w. Ta gruntowna zmiana w datowaniu ceramiki podważyła propozycję przez Schuchhardta lokalizację świątyni Swarożycy. Wobec zaginięcia materiału ceramicznego, z jego wykopalisk, aby ostatecznie ustalić chronologię grodziska, nad szerokim Jeziorem Lucińskim, które jest także reprezentantem całej grupy obiektów tego rodzaju, trzeba było jeszcze raz odwołać się do badań archeologicznych. Latem 1967 r. przystąpiono więc do dzieła dokonując szeregu przekopów sondażowych o łącznej długości 1150 m. Wyniki tych prac, przeprowadzonych przez Herrmanna, okazały się zgoła inne od tych, jakie otrzymał jego poprzednik w r. 1922.

Po dokładniejszym zbadaniu domniemane-gro grodu górnego, gdzie miała znajdować się świątynia, okazało się, że nie ma tam ani żadnych fundamentów ani śladów umocnień. Resztki przypuszczalnych wałów okazały się pozostałościami domów mieszkalnych. Również i teza o trzech bramach, które miały łączyć gród górny z dolnym, okazała się nieprawdziwa. W jednym wypadku była to piwnica domu, w dwu pozostałych wyżłobione przez erozję ścieżki. Ostatni badacz problemu Radogoszczy, Herrmann, próbuje zlokalizować miejsce kultu na cyplu wychodzącym z masywu grodziska w kierunku jeziora. Za taką możliwością miałyby przemawiać znalezione tam resztki jakiegoś budynku, zbyt małego jednak, aby mógł się kojarzyć ze świątynią Swarożycy, którą kroniki przedstawiają jako dość okazałą. Innym znaleziskiem również przeczącym, jakoby grodzisko koło Feldbergu mogło kryć w swym łonie szczątki Radogoszczy, są ślady licznych domów wzniesionych wewnątrz pierścienia wałów. Przekroje podłużne przeprowadzone przez te budynki wykazują, że ich długość wahała się w granicach od 7 do 13, a szerokość od 5 do 6 m. Ogółem uchwycono 51 takich domów, z których co najmniej 32 były podpiwniczone. Tak więc zasadniczy plan grodu został ustalony, jakże przecież sprzeczny z sugestiami Schuchhardta. Przeźrocze obliczenia pozwalają, jak twierdzi Herrmann, na umieszczenie tam od 600 do 800 osób, co stanowi według niego cały szereg. Radogoszcz natomiast miała być zamieszkała jedynie przez kapłanów i załogę.

Tak więc po kilku wiekach domysłów i poszukiwań znowu stoimy wobec pytania: gdzie leżała sławna Radogoszcz — centrum Luciców i świątynia Swarożycy.

Mikołaj Duszyński

POEMAT

O

KOPERNIKU

Przy okazji wydania numeru „Liter” poświęconego Kopernikowi (luty 1970) zauważono wyjątkowo skromny dorobek poetycki poświęcony tej postaci historycznej i tematowi z nim związanemu. Łątwo jednak odgadnąć tę niechęć, szczególnie u poetów współczesnych. Wynika ona z trudności i niebezpieczeństw jakie czyhają na pisarza. Trudności związane są ze znalezieniem odpowiednich środków artystycznych, by temat „wielki” przedstawić czytelnikowi w kształcie możliwie odnowionym, współcześnie brzmiącym. Niebezpieczeństw jest wiele — najgroźniejsze to łatwe uleganie fascynacji podmiotom lirycznym; fascynacja ta przywieść może poetę do pisarstwa z rodzaju „żywołów świętych”.

Kopernik jest postacią historyczną, genialną, a jego życie jest jasne i dobre, żeby nie powiedzieć cnotliwe. Tak przynajmniej przekazują nam je historycy, i to od wielu, wielu lat. Bo to i geniusz, i społecznik, i patriota swej ziemi... Jak wiadomo w takich wypadkach wyodrębnienie wypowiedzi wyrazistej jest o wiele trudniejsze, niż gdy mamy do czynienia z bohaterami bardziej kontrowersyjnymi. Napisano ostatnio kilka poematów, których kanwę stanowiły wydarzenia i bohaterowie historyczni. Najciekawsze dokonania związane są z tymi wydarzeniami i bohaterami, o których nie ma jasności do końca, które pociągają swoją tajemniczością, pewnym marginesem fantazji, a przejmują czasem tragicznymi losami.

A jednak odważni są jeszcze na tym świecie. Trzeba chyba podziwiać takiego twórcę, który podejmuje wysiłek „uwiecznienia” postaci Kopernika. Jan Sobczyk, poeta olsztyński, wydał ostatnio poemat w ośmiu „księgach” pt. „Astronom z różą”. Publikację tę należy traktować więc jako wydarzenie związane z jubileuszowymi uroczystościami, a więc rzeczą „na czasie”. Ale poemat Sobczyka nie jest laurkowym uświetnieniem rocznicowym. Lepiej, widać wyraźnie, że poeta olsztyński stara się wyjść poza konwencje związane z tym tematem i dotychczas stosowane. Podmiot liryczny nie uzewnętrznia w nim wypowiedzi — jest obecny w zapisie lirycznym pośrednio „opisany” poprzez sytuację historyczną, poprzez ekspresyjne obrazowanie, w tonacji ściszonej. Istnieje tylko świat otaczający Wielkiego Astronoma, a uwspółcześnienie tematu Sobczyk osiąga między innymi przez poprowadzenie wątku równoległego, którym jest współczesny watek miłosny. „Motyw Anny” powtarza się w poemacie kilka razy, prowadząc nierzadko do ciekawych skojarzeń semantycznych: „Otarze. Grobowce, posągi. Anno”.

Dopiero późniejsze przywołanie imienia kobiecego wyjaśnia nam dwiślość interpretacji — („anno” — od łacińskiego oznaczenia roku).

Najważniejszym jednak środkiem jakim Sobczyk stara się wypowiedzieć — to elementy opisu krajobrazu warmińskiego, w którym nasycenie barwą i dramatycznością wydarzeń pozwala usunąć pogłosy liryki „olsztyńskiej” Gałczyńskiego. Te ambitne zmagania poety z tworzywem za łatwo podchodzącym pod pióro są dość widoczne. Na ogół udaje się zaproponować coś innego. Podporządkowanie podmiotowi lirycznemu nie jest więc naładowane, „udostojniane” je refleksja religijna łącząca się z postacią Kopernika i z Warmią („Baranek Boży”, który jest w herbie Warmii), dramatyzuje je refleksja historycznych wydarzeń (gwalt krzyżackie). Jest to więc poemat, w którym osoba Kopernika jest pretekstem w celu wypowiedzenia osobistej refleksji autora poematu. Przedstawiony świat jest zarazem światem „Astronoma z różą” jak

i poety współcześnie piszącego poemat o nim. Stopień nasycenia uczuciowego wskazuje, że poeta ma dziś więcej do powiedzenia, niż to mogło być u poetów poprzednich pokoleń. Coraz więcej analogii historycznych niesie ze sobą coraz większe doświadczenia. Tylko człowiek jest tak samo „nagi”:

„Człowiek jest pełen czerwonego soku.
Człowiek się rodzi
rozsuwając biodra”.

Są oczywiście miejsca w poemacie, które mało znaczą, ale rzecz trzeba traktować całościowo. Wtedy dokonanie Sobczyka stawia jego poemat w rzędzie dokonani nie tylko na miarę najwyższego osiągnięcia w twórczości własnej.

Jan Sobczyk, „Astronom z różą” (str. 53, cena 9) Pojezierze, Olsztyn, 1970.

Władysław Zajewski

CIEKAWA MONOGRAFIA

Rozprawa habilitacyjna dr A. Słomkowskiej zajmuje się małym, ale ważnym problemem zagadnień kół rządowych Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego o powołanie oficjalnej gazety rządowej na wzór francuskiej „Moniteur Universel” czy pruskiej „Allgemeine Preussische Staatszeitung”. Autorka korzystała z 13 archiwów krajowych, co niewątpliwie jest cenną zaletą i rzadko spotykaną u historyków prasy polskiej.

W obszernych sześciu rozdziałach autorka analizuje perypetie władz oraz osób desygnowanych do powołania gazety rządowej. Godne podkreślenia jest, że treścią książki są nie tylko realne zabiegi, lecz omówione zostały także wszystkie zachowane projekty, pochodzące od kół rządowych, polityków lub publicystów. Wysiłki władz Królestwa Polskiego przyniosły tylko połowiczny sukces po Kongresie Wiedeńskim. Ściśle mówiąc po pierwszych rewolucjach karbońskich w Neapolu, Hiszpanii i Portugalii, gdy reakcja triumfowała w polityce europejskiej wielkich mocarstw, wówczas twórcza reakcyjnego systemu oświatowo-wychowawczego i główny cenzor „wycinający kartki mówiące o wolności” Józef Kalasantsz Szaniawski powołał do życia pismo rządowe „Monitor Warszawski” (1824–1828). Celem pisma była obrona religii, moralności chrześcijańskiej, systemu oświaty i porządku społecznego, innymi słowy walka z „bezbożnymi maksymami”.

Pismo to głównie opierało się na przedrukach ultrakonserwatywnej prasy francuskiej jak „Le Drapeau Blanc” czy „La Gazette de France”. Pismo nie znalazło jednak nabywców, za to bardzo dużo oponentów i rychło upadło. Jego kontynuatorem miał być „Powszechny Dziennik Krajowy” Adama Chłędowskiego. Wydawca jego po roku, mimo oporów Rady Administracyjnej, przekształcił pismo w dziennik prywatny. W epoce rządów cenzury Mikołaja Nowosiłcowa i J.K. Szaniawskiego najgorszą reklamą jaką mogła być, była informacja: „gazeta rządowa”. Ponieważ rząd nie mógł sam bezpośrednio redagować, mimo przyznawanych przywilejów wydawanie takiej gazety przynosiło straty, gdyż odstępowano z reguły czytelników. Niepowodzeniu politycznemu towarzyszyło z reguły załamanie finansowe wydawcy, który nie mógł znaleźć dostatecznej liczby prenumeratorów. W trakcie powstania „Dziennik Powszechny Krajowy” choć uważany był za pismo półrządowe, był faktycznie wyrazicielem kół patriotycznych społeczeństwa polskiego. Ale nie był też organem najbardziej postępowym i radykalnym. Trafnie pisała paryska „Constitutionnel” w nr 250 z 7 IX 1831, że „wszystkie gazety warszawskie są rewolucyjne, ponieważ rewolucja jest we wszystkich sercach”, lecz najbardziej rewolucyjnym pismem była „Nowa Polska”, dziennik powiązany z Towarzystwem Patriotycznym, zasługujący na oddzielną monografię.

Wiele miejsca poświęciła Słomkowska na omówienie spraw związanych z informowaniem europejskiej opinii publicznej o celach i przebiegu powstania. Była to niezmiernie istotna sprawa. Propaganda carska, pruska i austriacka zgodnie dyskredytowały powstanie i jego przywódców, jako nieodpowiedzialny ruch „bandy jakobinów”. Rząd Narodowy wydawał w stolicy gazetę w języku francuskim oraz niemieckim. Pisma te informowały o przyczynach wybuchu i celach powstańców. Oprócz tego przysyłano informacje w okolicznościach do naszych nieoficjalnych misji dyplomatycznych w Paryżu i Londynie. Te zaś przekazywały wszystkie informacje do redakcji żyjących nam dzienników. W ten sposób, mimo zaciętej kontroli propagandy wrogich nam ambasad, opinia europejska była na ogół dość dobrze informowana o tym, o co właściwie walczyli się nad Wisłą. Po zdławieniu powstania, cała nasza prasa krajowa została podporządkowana reżimowi feldmarszałka Paskiewicza. Ale nie oznaczało to generalnego zaprzęgnięcia i serwilizmu wobec zabójcy. Dla przykładu tylko można wymienić publicystykę byłego masona i poety Kazimierza Brodzińskiego, profesora skasowanego Uniwersytetu Warszawskiego. Brodziński na łamach „Magazynu Powszechnego” propagował nowe wzorce moralności i etyki mieszczańskiej i był właściwie prekursorem pracy organizacyjnej.

Wykład autorki na ogół dobrze udokumentowany, skłania niekiedy jednak do uwag polemicznych. Cenzura w epoce Księstwa (s. 41) była daleko bardziej liberalna niż w Królestwie Polskim. Polskie brzmienie imienia Nowosiłcowa jest Mikołaj a nie zaś „Nikolaj” (s. 52). Trzeba wyjaśnić czytelnikowi czy Jędrzej Horodyski to identyczna postać z Andrzejem Horodyskim. Autorka podaje sprzeczne informacje o nakładach „Constitutionnela” na podstawie jednej i tej samej książki francuskiej (s. 165, przypis 189 i s. 166). „Tygodnik Petersburski” nie musiał w przededniu powstania bronić polityki cara Mikołaja I ponieważ polityka ta nie była atakowana i nie mogła być krytykowana na łamach prasy polskiej. Zdarzają się też autorskie powtórzenia np. w sprawie konfliktu A.T. Chłędowskiego z J.K. Szaniawskim (s. 62, przypis 59 i powtórzenie na s. 89) lub o projekcie biura informacyjnego w 1831 r. (s. 111 i 137). W bibliografii (s. 208) mylnie autorka podaje, że mój artykuł o gen. Krukowieckim ukazał się w „Przeglądzie Historycznym”; faktycznie drukowany był w „Kwartalniku Historycznym” (1962, nr 3). Natomiast w „Przeglądzie Historycznym” ogłosiłem rozprawę o nieznanym i interesującym gazecie („Sandomierzanie”) z doby powstania listopadowego [w 1964, nr 2]. Do tego artykułu autorka nie dotarła zresztą. Usterki te nie umniejszają zalet monografii. Czytelnik otrzymał pracę wartościową, owoc wieloletniej kwerendy archiwalnej i bibliotecznej. Monografia A. Słomkowskiej jest solidnym wkładem w znajomość XIX-wiecznej prasy polskiej.

Alina Słomkowska, Prasa rządowa Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego (1807–1838), Warszawa 1969, PWN, ss. 210, cena 50 zł.

ZAPISKI

WYDAWNICZE

MARIA BOGUCA: *Handel zagraniczny Gdańska w pierwszej połowie XVII wieku*. Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk. Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław 1970, s. 172, cena 33 zł.

Rozprawa naukowa o handlu Gdańska, który w pierwszej połowie XVII wieku skupiał około 75 proc. obrotów Polski szlacheckiej z innymi krajami. Praca składa się z sześciu rozdziałów, w których autorka kolejno analizuje: koniunkturę na Zachodzie a możliwości produkcyjne szlacheckiego folwarku, rozmiary i strukturę gdańskiego handlu, geografii gdańskiego handlu w omawia-

nym okresie, skup towarów eksportowanych, przemiany w handlu zamorskim oraz ceny i zyski. Książka bardzo wartościowa, stanowiąca dalszy, poważny krok w rozpoznawaniu gdańskiej przeszłości.

KRZYSZTOF DUNIN-WASOWICZ: *Obóz koncentracyjny Stutthof*. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1970, s. 303 — + tabl. ilustr. + mapy i plan obozu na wkłękach, cena 30 zł.

Drugie poprawione i poszerzone wydanie cennej monografii obozu koncentracyjnego w Stutthofie, w którym więziony był również jej autor. W porównaniu z pierwszym wydaniem, Dunin-Wasowicz znacznie poszerzył bazę źródłową, szczegółowo wykorzystał opracowania publicystyczne na temat Stutthofu, te zaś partie książki, które opisują na podstawie własnych przeżyć i bezpośrednich obserwacji, opatrzone zastrzeżeniami, że może patrzeć na różne sprawy subiektywnie, co zresztą jest zrozumiałe. Zastrzeżenia te budzą jednak zaufanie do autora i treści monografii, gdyż wskazują na obiektywne potraktowanie tematu. Omówimy osobno.

ROMAN WYROBEK, MARIA ODYNIEC: *Organy oliwskie*. Biblioteka Gdańska. Gdańskie Towarzystwo Naukowe, Gdańsk 1969, s. 32 + 38 ilustracji, cena 25 zł.

Czwarte, poprawione wydanie albumu poświęconego słynnym organom oliwskim. Tekst obrazujący historię organów napisała Maria Odyńiec, fotografie wykonał Roman Wyrobek. Streszczenie w języku angielskim.

MEDYCYNĄ MORSKĄ. Wybrane zagadnienia pod redakcją prof. dra Zenona Buczowskiego. Gdańskie Towarzystwo Naukowe, Wydział II Nauk Biologicznych i Medycznych. Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław 1970, s. 230, ilustr., cena 31 zł.

Na tom składa się dziewiętnaście różnych prac z zakresu medycyny morskiej, psychologii i socjologii. Tak na przykład Zenon Buczowski przedstawia „Medycynę morską w Polsce”, Zofia Buczowska pisze o „Higienie wody okrętowej”, Janusz Uselis i Władysław Kierst piszą o „Pylcy płuc u spawaczy przemysłu stocznioowego”, Jan Horbulewicz analizuje „Niektóre czynniki towarzyszące wzrostowi niezrównoważenia emocjonalnego rybaków podczas połowów dalekomorskich”, Franciszek Bławat rozpatruje „Sanitarną ochronę granic a choroby kwarantannowe”. Praca specjalistyczna.

JAN KAWECKI, BOLESŁAW ROMAN: *Ek. Z dziejów miasta i powiatu*. Pojezierze, Olsztyn 1970, s. 330, ilustr., cena 48 zł.

Kolejną monografią miasta, w województwie olsztyńskim, podobnie jak poprzednie wydania bardzo estetycznie. Autorzy przedstawiają ziemię eicką — jej położenie, podział administracyjny, środowisko geograficzne i walory turystyczne, następnie omawiają przeszłość miasta i powiatu, okres 25-lecia Polski Ludowej i osobno folklor. Na końcu mamy alfabetyczny wykaz miejscowości powiatu eickiego, nazwy fizjograficzne i indeksy. Książka wartościowa.

ALFONS KŁAFKOWSKI: *Granica polsko-niemiecka po II wojnie światowej*. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1970, s. 120, cena 10 zł.

Syntetyczne ujęcie podstawowych problemów prawnych formowania się granicy polsko-niemieckiej po II wojnie światowej. Praca popularnonaukowa, bardzo potrzebna i pożyteczna.

SZYMON STAROWOLSKI: *Setnik pisarzy polskich albo pochwały i żywoty stu najznakomitszych pisarzy polskich*. Przełożył i komentował opatrzył Jerzy Staronawski. Wstęp napisał: Franciszek Bielak i Jerzy Staronawski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1970, s. 360 + tabl. ilustr., cena 50 zł.

Piękne wydanie swobodnego słownika bio- i bibliograficznego w przekładzie z wydania weneckiego 1627 roku. Biografie pisarzy polskich, wykazy ich prac oraz wiersze pochwalne pisane przez różnych poetów, chyba specjalnie w celu umieszcze-

nia ich w pracy Starowolskiego. W subiektywnym odczuciu autora poznajemy m.in. Hołdusa, Łaskiego, Karnkowskiego, Solikowskiego, Kromera, Długosza, Herburt, Wapowskiego, Kopernika, Skargę... Lektura bardzo przyjemna.

PIEŚŃ O CYDZIE. Przełożyła Anna Ludwika Czerny, postawielem zaopatrzony Zygmunt Czerny, opracowanie graficzne Józefa Wilkonia. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1970, s. 136 + barwne tablice ilustr., cena 35 zł.

Bardzo ładnie wydany hiszpański poemat zapewne z połowy XII wieku, opiewający czynny wojenne sławnego bojownika z drugiej połowy XI wieku, bohatera narodowego i pogromcy Maurów. Znakomita lektura i do tego wyjątkowo pięknie podana czytelnikowi przez krakowskie wydawnictwo.

NAUTOLOGIA. Polskie Towarzystwo Nautologiczne. Szczecin—Gdynia—Warszawa, R. III, 1968, nr 3—4, s. 104, ilustr., cena 50 zł. Redaktor naczelny: Władysław Antoni Drapella.

Kwartalnik, jak wskazuje jego nazwa poświęcony nautologii. Bogaty zestaw publikacji, m.in. Henryka S. Romańska pisze o „Pierwotnych mapach żeglarskich z obszaru Oceanii”, Zygmunt Brocki zamieszcza artykuł „Z terminologii topografii wybrzeży morskich”, a Władysław Szulist omawia „Nieznane archiwalia o dziejach dawnej Gdyni”. Szulist omawia archiwalia pochodzenia świeckiego i kościelnego, przy czym zwraca uwagę szczególnie na archiwalia parafialne, przeważnie dotąd nie wykorzystane, zwłaszcza znajdujące się w Oksywju, Chwaszczynie i Wejherowie. Zawierają one cenne materiały do dziejów XIX i XX-wiecznej Gdyni. Postuluje też spisanie monografii Gdyni — inicjatywę w tym zakresie onegdaj podjęto, opublikowano schemat przyszłej monografii i na tym skończono. Numer kwartalnika jest bardzo ciekawy.

WIECZORY BADENSKIE CZYLI POWIEŚCI O STRACHACH I UPIO- RACH. JÓZEFA MAXYMILIANA HRABI Z TENCZYNA OSSOLIN- SKIEGO. Przedmowa Aleksandra Małachowskiego, opracowanie graficzne Jerzego Jaworskiego. Czytelnik, Warszawa 1970, s. 144, ilustr., cena 19 zł.

Książka napisana w ostatnich latach XVIII wieku, wydana zaś po śmierci autora w 1852 roku. Przednia, gawędziarska polszczyzna, a duchy i upiory? To nawet sympatyczne zjawy, na które naprawdę warto spojrzeć oczyma hrabiego z Tenczyna, komandora Orderu Świętego Stefana... Książka wydana bardzo ładnie — dobra lektura i ozdoba biblioteki.

JACQUES DE LAUNAY: *Historia tajnej dyplomacji od 1914 do 1945*. Z francuskiego przełożyła Julia Ryłska, przedmowę napisał Henryk Batowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1970, s. 410, cena 55 zł.

Bardzo interesująca napisana książka o kulisach dyplomacji, której ośnową są głównie Niemcy. Całość składa się z trzech części: pierwsza obejmuje lata 1914–1918, druga 1919–1939 i trzecia 1939–1945. Bohaterem książki są sfery rządzące, osoby utytułowane. Autor oparł się na źródłach i opracowaniach wyłącznie zachodnich. Stąd poważne braki metodologiczne i merytoryczne. Ale swoją drogą — lektura prawie kryminalna.

STANISŁAW ZABIEŁŁO: *W kręgu historii*. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1970, s. 220, cena 50 zł.

Zbiór rozpraw i artykułów z zakresu historii najnowszej, a właściwie historii dyplomacji. Część pierwsza traktuje o Polsce w II wojnie światowej, część druga poświęcona jest polityce zagranicznej ZSRR, część trzecia — rozmaite rozmyślenia o historii. Czyta się doskonale, jak wszystkie książki Zabiełły, byłego urzędnika służby zagranicznej, zajmującego się z pasją historią dyplomacji. Tę książkę warto i trzeba gruntownie przestudiować.



S. BORYSOWSKI: BIEG (AKWATINTA)

RÓWIEŚNIK UNIwersYTETU GDAŃSKIEGO

Niemal w tym samym czasie kiedy powoływano formalnie Uniwersytet Gdański (marzec 1970 r.) zapadła decyzja rządu belgijskiego o powołaniu Uniwersytetu Antwerpijskiego (kwiecień 1970 r.). Co więcej, oba uniwersytety rozpoczynają swą działalność już w najbliższym roku akademickim, tj. w październiku 1970 r.

Ten ciekawy zbieg okoliczności jest dla naszego środowiska, środowiska ludzi morza i Wybrzeża o tyle interesujący, że z Antwerpią — miastem i portem — łączą nas liczne więzy i tradycje. Antwerpia bowiem to nie tylko ogromny — trzeci co do wielkości obrotów w Europie — port morski. Port często odwiedzany przez polskie statki i ściśle związany różnymi kontaktami gospodarczymi z polską gospodarką morską, nie mówiąc już o licznych i bogatych tradycjach współpracy kulturalnej łączącej oba kraje. W okresie międzywojennym tamtejszy Państwowy Instytut Handlowy (z prawami uczelni wyższej), w skrócie ISCA, był jednym z ośrodków kształcenia kadr dla rodzącej się wówczas w Gdyni — polskiej gospodarki morskiej. W Antwerpii właśnie kształcili się pierwsze polskie kadry administracji gospodarczej, które po zakończeniu II wojny światowej przystąpiły do odbudowy całkowicie zniszczonej gospodarki morskiej.

Zbliżone są przesłanki, na których opierano postulaty stworzenia obu uczelni, choć powstały one w krajach o zupełnie różnych ustrójach polityczno-gospodarczych, o odmiennych tradycjach i potrzebach kulturalnych. Powstanie bowiem uniwersytetu w Antwerpii to nie tylko powstanie jeszcze jednej uczelni w kraju. Nieduża przecież Belgia (niecałe 10 mln ludności) posiada już kilka wyższych uczelni i to o dużych tradycjach, wielkim dorobku i autorytecie naukowym.

Długoletnie zabiegi Antwerpii o uzyskanie własnej uczelni uniwersyteckiej nie wypływały z chęci stworzenia jeszcze jednej — jak stwierdził to jeden z komentatorów prasy antwerpijskiej — fabryki dyplomów. U podstaw dążenia Antwerpii do posiadania „własnego” uniwersytetu leżał przede wszystkim żywiołowy rozwój gospodarczy miasta i portu. Jest to zapewne najaktywniejszy region gospodarczy Belgii. W tych warunkach stworzenie równorzędnej odpowiednika w postaci uczelni o najwyższej randze, ściśle związanej z rozwojem ekonomicznym regionu — stało się koniecznością.

Komentując decyzję rządu o powołaniu uniwersytetu prasa antwerpijska pisała: „Od 20 lat domagaliśmy się stworzenia w tym mieście Instytutu Transportu, ale wówczas jeszcze nie przypuszczaliśmy, że rozwój a raczej rewolucja technologiczna w tak krótkim

czasie stworzy sytuację ekonomiczną, w której potrzeby naukowe znacznie przekroczy poziom ośrodka naukowego o wąskiej specjalności transportowej. To, czego nam potrzeba obecnie to uniwersytet o szerokim profilu naukowym, wrośnięty w swoje środowisko społeczno-ekonomiczne i odpowiadający zapotrzebowaniu jego poszczególnych komponentów”.

Antwerpia to już nie tylko trzeci co do wielkości port morski w Europie — 73 mln ton przeładunku w 1969 r. — ale jednocześnie i jeden z największych w świecie ośrodków petrochemicznych. Interesującą ilustracją nowoczesności przemysłu chemicznego jest fakt, że obecnie 40–50% produkcji największych koncernów chemicznych reprezentuje wytwory całkowicie nieznane 10 lat temu, a wg przewidywań 2/3 tej produkcji w najbliższych 15 latach to produkty dziś jeszcze nieznane.

W przypadku Antwerpii właśnie przemysł petrochemiczny okazał się bezpośrednim impulsem do szerszego otwarcia drogi dla nowych technik automatyzacji i elektroniki. Uniwersytet w Antwerpii ma przy tym czuć nie tylko nad problemami postępu wiedzy, ale przede wszystkim nad problemami humanistyki, na które często nie starcza miejsca w organizmie produkcji, w uczelni o profilu wyraźnie zawodowym, wąsko specjalistycznym. Antwerpia oczekuje więc od swego uniwersytetu czegoś więcej niż nowej serii dyplomów. Oczekuje odeń takiej reformy metod nauczania, by opuszczająca go młodzież o-bok odpowiedniego quantum wiedzy posiadała pełną świadomość roli i zadań jakie będzie miała do wypełnienia jutro przy swoich warsztatach pracy. Antwerpia oczekuje, że jej nowa uczelnia pozostając w centrum regionu gospodarczego stanowić też będzie pełną formę zabezpieczenia przed falą niepokoju studentów niekających stare uniwersytety Europy Zachodniej.

Uniwersytet Antwerpijski powstaje w zasadzie na bazie połączenia dwóch działających tam dotychczas uczelni, a mianowicie: Katolickiego Wydziału Uniwersyteckiego im. św. Ignacego (obejmującego nauki ścisłe, prawo, filozofię, humanistykę, nauki polityczne i ekonomiczne z ekonomią stosowaną) oraz Państwowego Instytutu (ośrodek uniwersytecki) z wydziałem lekarskim i ekonomią stosowaną z sekcjami tłumaczący i krajów rozwijających się.

Przewiduje się utworzenie następujących wydziałów z uprawnieniami doktoryzowania: matematyka, fizyka, chemia, biologia, medycyna, prawo, filologia romańska i germańska, nauki społeczne i polityczne oraz — już bez uprawnień doktoryzowania — farmacja i studia pedagogiczne przygotowujące do nauczania w szkolnictwie średnim oraz wyższym na wydziałach matematyki, fizyki i chemii oraz filologii romańskiej i germańskiej.

Halina Wierchucka

TADEUSZ BREZA

Przyjęliśmy wieść o śmierci Tadeusza Brezy z ogromnym żalem. Ceniliśmy tego pisarza, ceniliśmy jego książki dla ich wysokich walorów czytelniczych. Dzieła Brezy łączą w sobie bowiem elementy wysokiej kultury artystycznej z treściami o bogatym ładunku ideowym, z „walczącym humanizmem”. Stwierdzenie to można odnieść do pierwszych Jego książek, które powstały przed wojną. Pierwocin późniejszego talentu literackiego można się było dopatrzeć już w próbach dziennikarskich, charakteryzujących się maksymalną zwięzłością stylu, trafnością sądu, celnością ujęcia. Reportaż, sprawozdanie sądowe i filmowe formy przez długie lata uprawiane przez Brezę wyróżniały się spójnością narracji, refleksyjnością, co zbliżało je do esejistyk.

W wieku 20 lat zdobył Breza nagrodę za wiersze w konkursie Uniwersytetu Poznańskiego, później nagrodę za nowelkę, tym razem w konkursie Uniwersytetu Warszawskiego. Do rozslawienia nazwiska Brezy przyczyniła się dopiero powieść „Adam Grywald” (1936 r.). Na doświadczeniach osobistych i obserwacjach współczesnej mu inteligencji wyrosły następne książki kontynuujące najlepsze tradycje analizy psychologicznej.

Obszar pisarskich penetracji jest zbyt doćkiwliwy, zbyt rozległy by nie sięgać i nie wracać do takich książek jak np. „Mury Jerycha” (1946 r.), dwutomowa „Niebo i ziemia” (1950 r.), „Uczta Baltazara” (1952 r.), „Listy hawańskie”, „Spizowa brama” i „Urząd” to książki będące ukoronowaniem działalności publicystycznej i pisarskiej Tadeusza Brezy. Prof. Zygmunt Jakubowski tak pisze o „Spizowej bramie”: „nie jest to książka tradycyjnego typu, gdzie autor opisuje przede wszystkim znane przykłady starej kultury i sztuki, antycznej i renesansowej architektury, pejzażu włoskiego, różnorodnych uroków „wiecznego miasta... Ale jego uwagę skupia struktura organizacyjna, cała maszynieria kurii rzymskiej, przemysłowe środki rządzenia”. W tych słowach zawarta jest pochwała pisarza intelektualisty, unikającego banału nasycającego swe utwory problematyką historyczno-moralną. O trudnych i zawiłych sprawach Breza potrafił mówić trapiąco i to zjednywało mu tylu czytelników. Jego ideałem był człowiek wolny i mądry. Dlatego książki autora „Spizowej bramy” nie znajdują się wśród tych, które przykrywa kurz zapomnienia.

Warto zaznaczyć, iż Breza był laureatem „Odrodzenia”, laureatem nagród państwowych, za wybitne zasługi literackie i społeczno-polityczne odznaczony został Orderem Sztandaru I i II klasy.

(sp)

NOMINACJE RADY PAŃSTWA

Rada Państwa zatwierdziła w maju dokonany przez Zgromadzenie Ogólne Polskiej Akademii Nauk wybór 33 członków rzeczywistych PAN, wśród których znajdują się dwaj wybitni uczeni pochodzący z Pomorza kaszubskiego: prof. dr Gerard Labuda — kierownik Katedry Historii Powszechnej i Średniowiecznej Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, kierownik Zakładu Historii Pomorza Instytutu Historii PAN oraz prof. dr Abdon Stryszak — kierownik Katedry Epizootologii Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, przewodniczący Komitetu Nauk Weterynaryjnych PAN.

Rada Państwa nadała też tytuły naukowe profesorów zwyczajnych 25 osobom, a profesorów nadzwyczajnych 62 osobom. Tytuł profesora zwyczajnego otrzymał m.in. prof. dr Ignacy Sulma z gdańskiej Akademii Medycznej, a tytuły profesora nadzwyczajnego — docenci Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie: Tadeusz Piezchalski, Tadeusz Łodykowski i Jan Wojewnik. (b)

PROJEKTY „ARKADY”

W planach wydawnictwa „Arkady” z zakresu sztuki i architektury na lata 1970–71 widnieją m.in. następujące publikacje, dotyczące Gdańska: maly album (16 x 16 cm) „Gdańsk” — III wyd. — S. Szermera, B. Stankiewicza, E. Kupieckiego (fotografy) — w wersjach polskiej, angielskiej, francuskiej, rosyjskiej i niemieckiej oraz większy album tych samych autorów, zatytułowany „Gdańsk. Krajobraz i architektura”, również w 5 wersjach językowych. W dziele „Skandynawianin” interesującą zapowiada się album „Sztuka romańska Skandynawii” z esejem A. Tuulise (260 reprodukcji), który ma być przygotowany we współpracy z wiedeńskim wydawnictwem Schroll. (m.m.)



BLASKI I CIEŃ NIEDOJRZAŁOŚCI

Wznowienie przedstawień scenicznej adaptacji „Przedwiośnia” skłania do refleksji nie tylko ze względu na wprowadzone zmiany w obsadzie. Od premiery minęło prawie dziesięć miesięcy, toteż niezbyt wyraźnie pamiętam tamto przedstawienie, co uniemożliwia przeprowadzenie jakichkolwiek porównań.

Adaptatorzy (Zbigniew Bogdański i Zbigniew Florczak) starali się być „wierni” i „lojalni” wobec autora, w miarę możliwości tak skomplikowanego zadania, jak prze-

tworzenie epickiego materiału powieściowego na dzieło teatralne. W centrum ich uwagi znalazł się bohater Cezary Baryka, którego dzieje uczyniły zasadniczym elementem kompozycyjnym przedstawienia. Trzy części widowiska stanowią trzy kolejne etapy historii Cezarego, potraktowanej jako historia dojrzewania i kształtowania się świadomości bohatera, przy czym wszystkie oglądane na scenie zdarzenia są obrazami retrospektywnymi, stanowią ilustrację wspomnień Baryki. Reżyser Bogdański rozpoczyna i kończy przedstawienie tą samą sceną (inspirowaną finałem powieści), kiedy Baryka kroczy wraz z tłumem manifestujących robotników i w obliczu skierowanych ku bezbronnyemu łuf karabinów dokonuje błyskawicznego bilansu swoich dotychczasowych doświadczeń, przebiega myślą całe swoje życie, uświadamiając sobie drogę jaką przeszedł od dzieciństwa do dojrzałości, od Rosji do Polski, od sztabackiej fascynacji rewolucją do...? Ale o tym później.

Cezary Baryka jest centralną postacią przedstawienia, na nim spoczywa cały ciężar problemowy inscenizacji „Przedwiośnia”. Andrzej Piszczatowski ma idealne warunki fizyczne do tej roli — jest wysoki, smukły, zgrabny, bardzo urodziwy... Najpewniej czuje się w roli Cezarego w I części jako czternastoletni, a potem nieco starszy chłopak. To wymarzony Czarus w gimnazjalnym mundurku, z rozwi-

chzoną blond grzywką, z dziecienną delikatną buzią, trochę niezgrabny i jak wyrostek w tym wieku sztywny, z przeszkadzającymi w ruchach kończynami. Jest autentycznie chłopięcy i pełen wdzięku. Przekonywająco przeżywa swoje pierwsze życiowe doświadczenia, potrafi być krnąbrny i arogancki czy też szczerze choć naiwnie przejęty rewolucją.

Ta część, pod względem kompozycji może najmniej spójna, bo złożona z szeregu osobnych scen — obrazów, z licznymi zmianami miejsca choć zachodzącymi w tej samej umownej przestrzeni, z bardzo szybko płynącym czasem, którego upływ sygnalizuje tykanie zegara, rozświetlanie i wygaszanie sce-

ny oraz turkot-pędzących, pociągów, odznacza się wielką nastrojowością i poetyckością zarazem. Zasługa to przede wszystkim znakomitej pary rodziców Cezarego (Kira Pęplowska, Tadeusz Gwiazdowski). Zwłaszcza sceny z ojcem, począwszy od spotkania w Baku, stanowią dzięki Gwiazdowskiemu przejmujący fragment dziejów młodego Baryki – jego droga do Polski, w miarę zbliżania się do granicy jest drogą kłósk, marzeń o szklanych domach ale i zamknięciem okresu dzieciństwa Cezarego, nie tylko w sensie fizycznym ale przede wszystkim psychicznym.

Potem wg wskazówek tekstu spotykamy się już z innym Baryką, dojrzalszym, bardziej wewnętrznie skomplikowanym, stojącym wobec konieczności podjęcia decyzji, dokonania wyborów. Piszczałowski pozostaje nadal ślicznym chłopcem z I części, co tam było jego atutem, tu staje się brakiem. Dalej prezentuje się bardzo ładnie, równo w mundurze jak i we fraku, ale jest zbyt młodzieńczy, powiedziałabym dziecinny, nieporadny, skrepowany. Okazuje się, że jego wdzięk był pozorny – Czarus nie jest Czarnoksiężnikiem; głos jego brzmi zwłaszcza w natężeniu górnych tonów niemile, drażniaco; na twarzy pojawiają się grymasy, zacisnięte pięści i gwałtowność ruchów znamionują bezsilność – nie Cezarego, lecz aktora. To borykanie się Piszczałowskiego z postacią Baryki tym bardziej staje się wyraźne, że obok niego oglądamy doskonale dopasowanego do postaci Hipolita Wielosławskiego – Edwarda Otanę. W jego obecności Cezary prawie przestaje istnieć.

Wydało mi się, że druga część „Przedwiośnia” jest najbardziej teatralna, z określonym miejscem i czasem akcji, jednościaną fabuły, sprzyjającym konfliktem. Część teatralizuje przede wszystkim bardzo dobre aktorstwo; postaci są zdecydowane, wyraziste, barwne. Trzeba by wymienić wszystkich po kolei: od kapitalnej rodzącej przekupki warszawskiej (Izabella Wilczyńska) – szkoda, że gra w takiej „pustce” otoczona martwym, nie reagującym, z wyjątkiem ruchliwych chłopów, tłumem statystów – po prymitywnego choć sympatycznego i właściwie budzącego współczucie Barwickiego (Stanisław Michalski). Nie sposób pominąć milczenie uroczego, pełnego żywiołowej radości i ciepła księdza Anastazego (Zbigniew Bogdański) czy ślicznej, bystrej, inteligentnej i zadziornej Karusi (Elżbieta Goetel). Zapada w pamięć przejmująca postać Wandy (Barbara Paterska), wyrazistej ze względu na fizyczne predyspozycje wykonawczyni do tej roli.

Na tym tle szczególnie ostro rysują się wszystkie braki i niedomagania głównych bohaterów, bo i Laura (Jolanna Bogacka) budzi szereg moich zastrzeżeń. Przede wszystkim kwestionowałabym obsadzenie Bogackiej w tej roli z uwagi na jej wiek, warunki fizyczne i typ aktorstwa. To ładna dziewczynka ubrana w bogate stroje damy z towarzysztwa, która zakochała się pierwszą miłością w ślicznym chłopcu i potem wynikły z tego bardzo skomplikowane sprawy. Można się spierać co do tego, jaka powinna być Laura i czy w ogóle można to kategorycznie określić? Sądzę, że jest to możliwe, mimo całego szacunku dla inwencji inscenizatora i aktora w ukształtowaniu tej postaci.

Dla mnie Laura jest piękna, wspaniała i dojrzała kobieta, świadoma swoich walorów kobiecych i umiejętnie je wykorzystująca. Ma seks i znajduje się w stanie gotowości oddania się kochankowi, na którego bezustannie czeka. Pożąda prawdziwego mężczyzny, jest w niej coś z samicy i

kotki, ale Laura obok tego nie gardzi pieniędzmi, dba o pozory, z talentem kłamie i ośzukiuje, głos płci, bo nawet nie serca, umiejętnie godzi z głosem rozsądku. Wbrew pozorom nigdy nie traci pewności siebie i nawet słabość wykorzystuje na swoją korzyść. Nie ma w gruncie rzeczy zalet – jest po prostu piękna i pociągająca a Cezary jest młody i chciwy erotycznych przeżyć. Porównując Bogacką i Goetel, trudno byłoby mi pojąć, dlaczego Cezary wybiera Laurę a odrzuca Karusię? Laura Bogackiej nie załamuje niczym Karoliny ani żadnej z kobiet (z wyjątkiem Wandy), krążących na balu wokół Cezarego. Oboje w scenach miłosnych są jak dwoje bezradnych dzieci, szukających wzajemnie w swoich ramionach ucieczki i ratunku przed światem. Ma to wiele wdzięku ale niewiele wspólnego z „Przedwiośnią”. Słowem oboje młodzi zostali obciążeni ciężarem trochę zbyt wielkim, jak się okazało, na ich siły; w miarę możliwości wywiązują się ze swoich zadań jak najlepiej umieją, ale zdarzają się im potknięcia i upadki – to nawet nie bardzo ich wina.

W trzeciej części „królują” niepodzielnie Gajowiec (Leszek Ostrowski) poznany już w części poprzedniej. Sceny z nim eliminują znużenie, w które wtrąca ta część inscenizacji. Trudno mieć pretensje do adaptatorów, bo, jak sądzę, to również najsłabsza część powieści z powodu nadawania jej publicystyką i retorycznością. Realizatorzy wychodzą nawet z zastawionej przez powieść pułapki obroną ręką tak konstruując sceny, że bohater staje twarzą w twarz na przemian, to z Gajowcem, to z komunistami,



FOT. TADEUSZ LINK

to znów z rzeczywistością Polski międzywojennej upostaciowaną w policjancie. Rozterka, jaką przeżywa Cezary, trudności w dokonaniu wyboru postawy i skryzalizowaniu poglądów ujawnia się w metaforycznej scenie, kiedy to wokół oświetlonego punktówką Baryki krąży różne postaci przytaczające natrętnie swoje argumenty, wzmacniane i zwielokrotnione w wyrazie poprzez puszczanie głosów z taśmy magnetofonowej. Sądzę, że realizatorom chodziło o obiektywne i rzeczowe przedstawienie różnych racji i różnych punktów widzenia, bez sug-

rowania rozstrzygnięć i podsuwania wniosków. Widz razem z Baryką prowadzi polemikę z różnymi zdaniem na temat teraźniejszości i przyszłości Polski. Tymczasem, jak sądzę przekornie wobec intencji twórców, najbardziej przekonywająca jest argumentacja Gajowca a raczej Leszka Ostrowskiego, który umie sugestywnie przekazywać tekst, umie wywołać wrażenie, że wierzy w to co mówi; nawet frazesy i utopijne mrzonki brzmią w jego ustach przekonująco. Oponenti – komuniści mimo bardzo dobrego aktorsko Łulka (Henryk Bi-

sta), a przecież kompromitowanego przez autora, rysują się bardzo błado i niezdecydowanie. Nie stanowią tej drugiej tak ważnej dla procesu dojrzewania Baryki racji. Piszczałowski atakujący komunistów i Łulka jest bardzo szubacki i młodzieńczo czupurny, wobec dojrzałego argumentacji Gajowca staje się, mimo wypowiedzianych słów, bezsilny. W sumie Baryka w III części jest bezsilny wobec rzeczywistości jaka go otacza, wobec rozmówców i antagonyzistów – nie oskarża, nie atakuje, jest na to za słaby.

Przeto dziwi bardzo finałowa scena: Baryka wylania się z samego środka manifestantów i staje na ich czele w żołnierskim płaszczu, nawiązując pierś składającym się do strzału żołnierzom. A więc Baryka jednoznacznie wybrał – stanie na czele robotników, ale nie jako jeden z nich lecz jako żołnierz, ten sam, który walczył o tę Polskę, a teraz zginie jako jeden z pierwszych. Za czyją sprawę?

Żołnierz Baryka na czele komunistów w obliczu śmierci – to poprawka wniesiona do Zeromskiego. Nie budziłoby to nawet moich wątpliwości, gdyby Piszczałowski umiał mnie przekonać, że decyzja Cezarego pokazana w końcowej scenie została podjęta dojrzałe i odpowiedzialnie przez bohatera, a nie jest jedynie posłusznym podporządkowaniem się aktora reżyserkiemu rozwiązaniu finału przedstawienia.

Ewa Nawrocka

*) Cezary Baryka – Andrzej Piszczałowski
Łulek – Henryk Bista
Pani Turczyka – Bogusława Czosnowska

Andrzej Urbańczyk

WIELCY LUDZIE I... KOTY

TWORCY

Mahomet, jak mówi historia, darzył koty ogromnym sentymentem. Kiedy pewnego razu ulubiona kotka Mueza usnęła w zwojach jego burnusa, Mahomet, chcąc wstać nie budząc kotki, odciął po prostu kawał odzieży. Legenda mówi, że Mahomet wybrał kotom u Allaha zdolność spadania na cztery nogi.

Koty hasają po stole Francesco Petrarki z Arqua, bezkarnie strącając manuskrypty. Kiedy zmarł najukochańszy z kotów, autor Sonetów kazał go zabalsamować – był to rok 1370.

Poeta Joachim Du Bellay (renesans francuski), twórca sonetów miłosnych, miał kilka kotów, którym w przystępie dobrego humoru odpisywał swoje utwory.

Hiszpański Szekspir – Lope de Vega uwielbiał wprost koty i poświęcił im wiele znakomitych zwrotek w swych 1500 sztukach teatralnych.

Domenico Scarlatti, znakomity organista oraz kompozytor, musiał być wielkim przyjacielem kotów, skoro pozwalał im spacerować



E. HEMINGWAY Z ZONA

po klawiaturze swego instrumentu. Tak powstała słynna „Kocia Fuga” – sonata w tonacji G-dur skomponowana przez włoskiego mistrza w oparciu o tony towarzyszące klawiszowej wędrówce jego kota.

Jeśli jesteśmy już przy muzyce, należy odnotować wspaniałą kompozycję Maurice Ravela „Koty”. Twórca „Rapsodii hiszpańskiej” dał w tej miniaturze miłą imitację pomruku śpiącego kocura.

Henri Sauguet, również muzyk, twierdził, iż każdy z jego kotów lubi słuchać melodii innego kompozytora, i tak: kotka

Maria Adelaida wsłuchiwała się w utwory Debussy'ego, a kot Host zamierał na dźwięk organów. Nie sposób pominąć tu kapitalnego opowiadania pt. „Liszt” (drukowanego przed laty w „Przekroju”) o muzycznym kocie, w którym żyła zreinkarnowana dusza Liszta...

Angielski encyklopedysta Samuel Johnson karmił swego ulubionego kota ostrymi, ku zgorszeniu przyjaciół.

Oddany przyjaciele kotów był Lord Byron. Musiał on włożyć wiele trudu, aby pogodzić je z psami, które też bardzo lubił. Przyjaciele kotów i głosicieli ich „zalet” był Wiktor Hugo. Autor „Nędzników” napisał: „Kot – to przejrysty i poprawiony tekst dzieła stworzenia. Bóg stworzyłszy mysz powiedział: „zrobiłem głupstwo” – i stworzył kota – korektę”.

Charles Dickens miał ulubionego białego kota, całkowicie głuchego. Kot ten podobno gasił łapą świecę ilekroć uznał, iż autor „Klubu Pickwicka” zbyt długo siedzi nad tekstami.

Charles Baudelaire fascynowały koty. Opiekował się nimi i opiewał je w swych poematach, nazywając oceanem tajemniczości.

Przy kotach tworzył swe słynne nowele Henry James. Kot niejednokrotnie siedział wówczas pisarzowi na karku.

George Bernard Shaw nie mógł żyć bez kota. Wielki Szyderca był stałym pięćdziesiąt kotów: „Kot bez fałszu okazuje nam, że nie chce być naszym niewolnikiem (jak pies) – oto przyczyna, dla której nazywamy go fałszywym”.

Gabrielle Colette nie tylko lubiła koty, ale i hodowała ich po kądzieli gromadę. Wiele z nich umieszczała na stronach swych książek np. Franchette w „Klaudynie”. Ferenc Molnar miał w domu prawdziwą menażerię: hodował koty, psa, nawet sępa. Nienawidził bestii – zwykły mawiał autor „Chłopców z placu broni” – ale uwielbiał zwierzęta: zwłaszcza koty.

Słynny malarz szwajcarski Paul Klee nie potrafił pracować, jeśli w pobliżu nie znajdował się komplet 7 ulubionych kotów. Motyw kota często powtarza się w twórczości Klee, szczególnie znany jest obraz „Kot z ptaszkiem” – ogromny leń kocura z małym ptaszkiem na czole.

Z kotem odbywał podobno swoje szachowe tournée arcymistrz Alechin, wierząc, że obecność kota przynosi mu szczęście.

„Papa” Hemingway był jednym z największych miłośników kotów w licznych gronie pisarzy. W jego posiadłości na Kubie żyła horda 50 kotów, które bynajmniej nie należały do najładniejszych. Pierwsi protoplaści tego rodu mieszkali w willi Hemingwaya, niestety, gdy rozmnożyli się i stali więcej niż niesforni, zostali wyeksmitowani do słynnej wieży, która została wzniesiona specjalnie, aby w jej murach autor „Starego człowieka” mógł znaleźć spokój.

Podobno na fermie trzymano specjalnie kilka krów, aby ta rzesza mogła być wykarmiona.

Po obiedzie, Hemingway osobiście odbarzał koty surowym mięsem. Oczywiście, nie było mowy aby legion ten utrzymywał w ryżach. Niektóre koty wywalczyły sobie prawo spania w łóżku, inne – asystowania przy posiłkach, inne jeszcze zamieszkiwały w kuchni. Koty pojawiają się często w twórczości Hemingwaya.

T.S. Eliot był zagorzałym miłośnikiem kotów. Wiele jego wierszy opiewa urok i zalety kotów, z których nie sposób nie wymienić chociażby przeuroczego „Kota Mefistofelesa”.

„W razie pożaru przedsięwziętym byłoby kota niż obraz Rembrandta. Życie ma większą wartość od sztuki” – oświadczył Alberto Giacometti – malarz, rzeźbiarz i poeta, dając wyraz szlachetności swych uczuć i niewątpliwie sympatii dla kota.

Poeta, eseista i powieściopisarz Aldous Huxley (Nowy wspaniały świat) mówił: „Kot i jego życie małżeńskie wielce przypomina życie człowieka żonatogo. Jeśli chcecie mówić o ludziach, obserwujcie parę kotów. Nic prawdziwszego, jak pożyć kota ze swoją małżonką”.

SZKIC DO PORTRETU

Zostać najlepszą z najlepszych — to zobowiązuje, to zwraca uwagę otoczenia. Nagroda Czerwonej Róży staje się coraz bardziej znacząca.

Szamocąc się z ogrodową furtką domu p. Stanisławy Fleśzarowej-Muskat, gdzie mieszka zdobywczyni nagrody Czerwonej Róży, Janka Ludańska (studentka IV roku WSE w Sopocie), zadawałam sobie pytanie: kogo odkryje poza fenomenalnym wynikiem średniej 4,964...?

— Jaki był styl mojego zwycięstwa? — zastanawia się laureatka — odpowiedź trochę nie wprost. Kiedy jechałam do Warszawy, poznałam w pociągu mojego konkurenta do nagrody Andrzeja Jabłońskiego z Wydziału Elektroniki Politechniki Gdańskiej. On też w czasie studiów miał tylko jedną czwórkę. Moja średnia była wyższa dlatego, że w sumie zdawałam więcej egzaminów. Rozmawiałam z Andrzejem swobodnie, ale czułam pewne wahania, czy to aby mnie należy się Nagroda. Uważam, że egzamin chociaż jest miernikiem zdobytej wiedzy, jest miernikiem trochę przewrotnym. Dlatego nigdy nie chciałam uzyć się na stopień, czy „pod egzaminatora”. Przy zdawaniu rozpręłam się, choć byłam jednocześnie skupiona, nigdy nie bałam się. Czy to jest tak ogromny wysiłek? Zalekniiony głosik — oto podstawowa przyczyna klęsk egzaminowych.

— Jesteś zatem zwolenniczką egzaminów polegających nie tylko na sprawdzeniu określonej liczby wyuczonych faktów, ile raczej ułożenia tych faktów w pewien łańcuch przyczynowo-skutkowy. W skrócie: raczej egzamin z myślenia?

— Na pewno! Teraz największą wagę przykładam do se-



FOT. JERZY HAJDUL

minarium magisterskiego i kół naukowego żegluga. To mnie pochłania i daje solidne podstawy metodyczne do za-

wodu. W sporcie jednak nie wyspecjalizowałam się. Może bałam się zniekształcenia sylwetki? Uwielbiam za to mie-

dzypaństwowe mecze piłkarskie.

— Pewnie postawiłaś na Górnika w meczu z Manchesterem?

— Odwrotnie. Typowałam nawet wyższą porażkę. Rozsądnym trzeba być zawsze. Myślałam nawet, że przegramy 4:1. Lubię też teatr. Zarówno nasz, wybrzeżowy, jak i poniedziałkowy, telewizyjny. W domu p. Fleśzarowej szczególnie wyczuliłam się na rozmaite wydarzenia teatralne. W poniedziałek z satysfakcją słuchałam komentarzy na temat telewizyjnych premier. Czasami sama się włączam. Czytam tylko te pozycje, które wypadają za, ale nie wybrałam jeszcze autora, do którego mogłabym stale powracać. Czytam sporo literatury społeczno-politycznej. Emocjonująca wydała mi się książka „Studium tyranii” Bullocka.

— Pisziesz pracę magisterską...

— Tytuł jest dość długi: „Żegluga polska jako czynnik aktywizacji polskiego handlu zagranicznego na przykładzie linii do zachodnich wybrzeży Ameryki Północnej”. Chciałabym też dostać się na studium doktoranckie.

Rozmawiał: W. TOCZYŃSKI

W ROCZNICĘ ŚMIERCI

— 5 V 1970 r. — Janusza Adama Krassowskiego — otwarto w Teatrze Polskim w Szczecinie wystawę projektów Jego prac scenograficznych. Na wystawie znajdują się projekty prac wykonanych dla teatrów Warszawy, Torunia i Szczecina.

Urodził się w 1929 roku w Warszawie. Ukończył Wydział Scenografii w tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych w pracowni prof. Władysława Dąbrowskiego. Pracował dla teatrów w Warszawie, Gdańsku,

Szczecinie, Poznaniu, Olsztynie, Toruniu.

Prace Jego były nagradzane oficjalnymi werdyktami. Ci, którzy widzieli szczecińską „Antygone”, zapamiętają niewątpliwie do antyku, bardzo prostą dekorację — szare chropawo płaszczyzny stopni, posrodku ze szczeliną wchłaniającą Antygone.

Zginął tragicznie w Warszawie 5 maja 1969 roku.

(EHM)

KOŚCIOŁ BEZ BOGA

Pierwszy zeszyt „Pamiętnika literackiego” za rok 1970 poświęcony został pamięci Stanisława Pigonia, wybitnego historyka literatury, edytora i eseisty. Wśród rozpraw i artykułów tego liczącego 440 stron tomu znajdujemy pracę Stanisława Dąbrowskiego, uczonego filologa i poety gdańskiego, „W sprawie ułotnego powiedzenia” Mickiewicza”. Dąbrowski śledzi genezę i proponuje interpretację głośnego, a nigdzie nie zapisanego „powiedzenia” Mickiewicza, który młodzieńczę poezję Słowackiego miał nazwać „kościółem bez Boga”. Zainteresowanych odsyłamy do „Pamiętnika”. (m.m.)

SREBRNY JUBILEUSZ

Minęło 25 lat od momentu, gdy pamiętnego czerwca w eter poszły pierwsze polskie słowa w wywołonym Gdańsku w 1945 r. Trudno po latach dokładnie ustalić kiedy nadszedł pierwszy audycje, najprawdopodobniej stało się to 7 czerwca. Od tamtego czasu Rozgłośnia PR w Gdańsku zaczęła systematyczną pracę — wiernie towarzyszyła wszystkim troskom, trudom, nadziejom i osiągnięciom społeczeństwa Trójmiasta, Kaszub i pozostałych regionów ziemi gdańskiej. Na jej dorobek składają się nie tylko olbrzymie tasemoteki z cennymi nagraniami ale przede wszystkim inicjatywy patronackie. Poszczególne redakcje — literacka, muzyczna,

socjalno-ekonomiczna, młodzieżowa, dzienników — odgrywały i nadal odgrywają rolę mecenasa penetrującego teren i ułatwiającego start wielu młodym twórcom, autorom.

Z okazji srebrnego jubileuszu odbyła się w czerwcu w Rozgłośni PR konferencja prasowa, na której red. naczelny gdańskiej placówki radiowej, Stanisław Goszczurny przedstawił pokrótce poszczególne etapy rozwoju Rozgłośni i nakreślił dalszy „program” jej unowocześnienia. Całość programu Rozgłośnia jest wewnętrznie powiązana z życiem Wybrzeża, z gospodarką morską i z regionem. Zarówno słuchacze jak i Naczelny Komitet do Spraw Radia i Telewizji oceniają wysoko programy, emitowane z Gdańska. A jest ich sporo. Rozgłośnia bowiem dysponuje 4,5 godzinnym odcinkiem na falach ogólnopolskich, 3,5 godzinny liczy program lokalny. Nie trzeba chyba specjalnie reklamować takich audycji jak: „Dla tych co na morzu”, „Notatnik kulturalny Wybrzeża”, „Ziemie nasze” (stały cykl prowadzony przez red. T. Matynię), „Z warsztatu twórcy”, „Młodzi muzycy Wybrzeża”, „Popołudnie z młodzieżą”, „Bariera dźwięku” i in. Dodajmy do tego recenzje spektakli dramatycznych, teatrów, zainteresowanie ruchem amatorskim, sportem, doskonałą publicystyką, aktualny felieton społeczno-kulturalny, informację, a będziemy mieli obraz ośrodka radiowego pracującego na prawdziwie nowoczesnych „parametrach”. Pełnię nowoczesności osiągnie on wówczas, gdy w Gdańsku powstanie zaprojektowane centrum radiowo-tele-

ŁUDZIE NAUKI

Ojciec dynamiki, Izaak Newton bardzo lubił koty. Dwa z nich — mały i duży, które najbardziej lubił sypiały z nim w jednym pokoju. Przeszkadzały mu w odpoczynku biegając nocą i budząc go ze snu. Nie chcąc rozłączyć się z kotami, a jednocześnie dobrze się wysypiać, Newton zrobił dla nich dwa otwory w drzwiach — wielki i mniejszy. Pochwalił się zaraz swoim „wynalazkiem” i był bardzo zdziwiony kiedy przyjaciele powiedzieli: „A po co zrobiliście dwie dziury? przecież przez tę wielką dziurę mógłby wyjść z pokoju i ten mały kot?” — „Widzisz, nie pomyślałem o tym”. Wielki uczoney widać był zajęty ważniejszymi sprawami.

Francuski popularyzator nauki — filozof Fontenelle (XVIII w.) był miłośnikiem kotów. Do nich właśnie wygłaszał teksty przemówień, które następnie dopiero usłyszeć mieli członkowie akademii nauk.

G. Couvier też bardzo lubił koty. Obserwując przez pół roku młodego orangutana, dał mu do zabawy parę kociąt. — „Były od niego znacznie mądrzejsze” — oświadczył.

Pracownicy uczonych były zawsze azylem dla kotów, co często przynosiło obustronne korzyści. Któregoś dnia 1811 roku, francuski chemik Bernard Courtois zjadł z apetytem śniadanie siedząc przy laboratoryjnym stole, na ramieniu uczonego tkwił — jak zawsze — „kot laboratoryjny”. W pewnym momencie kot skoczył na stół i stracił naczynia. Ze zmieszanych cieczy zaczęły się wydobywać pary krystalizujące na sierści przestraszonego kota. Tak odkryty został pierwiastek jod.

Otto Hahn, który miał słabość do kotów zapytano raz, co sądzi o metafizyce. Odkrywca rozszczepialności uranu zamyslił się i odpowiedział: „Metafizyka, to poszukiwanie czarnego kota przez człowieka mającego zawiązaną oczy, w ciemnym pokoju, w którym na dodatek tego kota... wcale nie ma”.

Na uniwersytecie Harvard pracuje prof. Louis Fieser oraz jego żona Mary pisząc znakomite podręczniki chemiczne, jak np. „Organic chemistry”, tłumaczone na liczne języki, z polskim włącznie. Na tytułowych kartach dzieł państwa Fieserów niezmiennie figuruje fotografia czterech kotów syjamskich należących do autorów. Pozwolenia na tłumaczenie udziela się pod warunkiem niepominięcia wizerunku kotów. Na zapytanie jaki jest związek kotów z książkami, prof. Fieser odpowiedział: „Nasze koty doskonale rozumieją treść książek. Czasem wskazują na moje biurko i drą kartki, które im się nie podobają; zawsze stwierdzaliśmy, że kartki podarte przez koty zawierały błędy... Szczególnie zasłużony jest kot George Pooh. Pomagał on nam przy pisaniu pracy o fenantrenach; został też, umieszczony w książce, w spisie współpracowników”.

POLITYCY

Politycy często lubią koty. Być może cenią, oni ich rozważają i skrytość działania.

Pięknym przykładem przyjaźni kota jest wydarzenie z XVI w. Ulubiony kot (którego imię niestety nie przetrwało) wybitnego brytyjskiego męża stanu Henry Wrayta, towarzyszył mu w celi, gdzie Wrayt, zgodnie z wyrokiem, oczekiwał na śmierć głodową. Począwszy kot każdej nocy wychodził przez okno na dach więzienia powracając z gołębiem w pysku, ratując w ten sposób swego pana od śmierci. Tak miały dni, aż bieg wydarzeń przyniósł Wraytowi oswobodzenie.

Kardynał Richelieu miał ulubioną kociankę liczącą ponad 10 sztuk. Niektóre najbardziej faworyzowane koty „urzędowały” wraz z kardynałem zasypiając często na jego biurku. Bez faworyzowanej kotki Rittu kardynał nie potrafił podobno skupić myśli.

Richelieu troszczył się o nie jak o ludzi. Koty te sypiały na skrapianych wonnościami łożach.

Przyjacielem kotów był — o czym niemal nikt nie wiedział — Włodzimierz Iljicz Lenin. Lubiał przyglądać się kotom, karmił i opiekował się nimi troskliwie, jeśli pozwalały na to jego liczne zajęcia.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Calvin Coolidge, przenosząc się do Białego Domu zabrał ze sobą ulubionego kota. Pewnego razu, zaprosił przyjaciół z lat dziecięcych na obiad. Goście, nie orientując się w zawiłościach etykiety, postanowili dokładnie naśladować prezydenta. Gdy ten, po podaniu kawy, odlał trochę



W. I. LENIN I N. K. KRUPSKA W GORKACH (1922 R.)

z filiżanki na spodek, goście zrobili to samo. Następnie, prezydent dodał śmietanki i cukru, co wszyscy powtórzyli także. Coolidge nachylił się i z talerzykiem zniknął pod stołem. Zebrani uczynili to samo i dostrzegli, że prezydent podaje talerzyk swemu kotu.

Jakież musiało być zdumienie Macmillana, gdy w ekskluzywnym klubie „Other Club” w Londynie (dewiza „dobrze jeść, dobrze pić, nie rozmawiać o polityce”), podczas uroczystego obiadu ujrzał siedzącego obok Winstona Churchilla potężnych rozmiarów kota ze śnieżną białą serwetą pod szyją. Zaskoczonymu, Churchill oznajmił, iż kot „Kasper” jest jego ulubieńcem i maskotką klubu. Uczestniczył on w licznych posiedzeniach „Other Club” na warunkach pełnoprawnego członka.

Nie sposób w krótkim artykule wymienić wszystkich entuzjastów kociego rodu. Koty obdarzali sympatią tacy sławni ludzie, jak Tasso, Leonardo da Vinci, Montaigne, Bernardin de Saint Pierre, Jean Jacques Rousseau, Chateaubriand, Ernst Hoffman, Mérimée, Théophile Gautier, Maupassant, Flaubert, Taine, Alexander Dumas, Anatole France, Pius VII, Samuel Johnson, Courteline, Leautaud, Matthew Arnold, Lincoln, Washington, Schweitzer i wielu, wielu innych.

wizyjne. Zaplecze techniczne to sprawa istotna, jednak czynnikiem decydującym jest fachowość i pasja zawodowa pracowników Rozgłośni PR. Dlatego z takim zainteresowaniem słuchamy tego, co jest wspólnym dziełem redaktorów, techników i spikerów gdańskiego ośrodka radiowego.

Można oczekiwać, że gdańska Rozgłośnia PR w drugim kwartale obdarzy nas programami współbrzmiającymi z potrzebami słuchaczy, z potrzebami nadmorskiej ziemi.

(sp)

REMUS DLA T. BOLDUANA

Wejherowska nagroda „Remusa” przyznawana corocznie za szczególne zasługi dla powiatu „obrosła” już tradycją. Tym razem otrzymali „Remusa” z rąk przewodniczącego oddziału GTPS Jerzego Kiedrowskiego następujący działacze: red. Tadeusz Bolduan z „Liter”, mgr Edward Wróbel z Prezydium WRN, Irena Kamecka — kierownik Biblioteki Powiatowej, Roman Roloff — zastępca działacza Kaszubskiego Okręgu Śpiewaczego, dr Tadeusz Staniewski — aktywista Koła Przyjaciół Biblioteki w Wejherowie. Zespołowe nagrody „Remusa” przyznano Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Gdańsku, Prezydium MRN w Rumi, Klubowi Rolnika w Linii, Oddziałowi Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Wejherowie. Gratulujemy! (sp)

DOROBK ARCHEOLOGII NA POMORZU ZACHODNIM

W kwietniu br. otwarto w Muzeum Archeologicznym w Gdańsku interesującą wystawę ukazującą dzieje i wyniki badań wykopaliskowych, prowadzonych w okresie powojennym na Pomorzu Gdańskim. Efektem wieloletnich i żmudnych badań, w których oprócz archeologów wzięli także udział przedstawiciele innych dyscyplin naukowych, jest rozpoznanie ponad 300 pochodzących ze wszystkich stanowisk archeologicznych, epok pradziejowych. Największy jednak nacisk położono na zbadanie kultur prastawiańskich i słowiańskich. Szczególnie doniosłym wydarzeniem stało się odkrycie i udowodnienie słowiańskiego charakteru najstarszego grodu, podgródzia i portu gdańskiego z X—XIII w.

Dzięki badaniom wykopaliskowym zgromadzono pokaźne zbiory zabytków, liczące obecnie ponad 20 tysięcy przedmiotów. Warto dodać, że jest to prawie w całości plon 25-lecia powojennego, gdyż po zniszczeniach wojennych ocalały jedynie nieliczne zabytki. Spośród tej liczby, ok. 1.700 najciekawszych i najbardziej efektownych eksponatów zgromadzono w gablotach umieszczonych w 4 salach wystawowych. Wiele zabytków wyeksponowano po raz pierwszy. Ta ciekawa i potrzebna wystawa czynna będzie do końca 1971 roku. jtp

PIĄTY DZIEŃ POEZJI

odbył się w kwietniu staraniem Forum Poetów, Hybrydy i Warszawskiego Zespołu Twórczego Młodych TRZZ. Połączony był z symposiumem oraz z wręczeniem Ogólnopolskiej Nagrody Poetyckiej Młodych „Nike Warszawska” za rok 1969 i turnieju „Lenin i świat dzisiaj”. „Nike Warszawska” za rok 1969 otrzymał Roman



FOT. WITOLD JANUSZEWSKI

Goźlewski z Łodzi za cykl wierszy pt. „Wojna słowiańska”. W turnieju „Lenin i świat dzisiaj” pierwszą nagrodę zdobył Janusz Żernicki z Ciechocinka za wiersz pt. „Pierwszy dzień”. Przyznano również specjalną nagrodę TRZZ — Andrzejowi K. Waśkiewiczowi z Zielonej Góry za całokształt twórczości poetyckiej, krytycznej i publicystycznej. W pracach jury brał udział poeta gdański — Mieczysław Czychowski. (abf)

XII FESTIWAL

W dniach 13–21 czerwca odbywał się w Toruniu XIII Festiwal Teatrów Polski Północnej. Na inaugurację Teatr Polski z Bydgoszczy wystawił „Dni Turbinów” Buthakowa w reżyserii Zygmunta Wojdana. Następnie wystąpiły teatry: z Koszalina-Słupska („Fedra” Racine’a i „Sen srebrny Salomei” Słowackiego), z Grudziądza („Burmistrz” Hoffmanna i „Wiosna 21” Szejtina), z Gdyni („Druga twarz” Fricke), z Białegostoku („Niespokojna starość” Rachmanowa i „Życie jest snem” Calderona), z Olsztyna-Elbląga („Bolszewicy” Szatrowa i „Edward II” Marlowe’a), Teatr „Wybrzeże” z Gdańska („Przedwiośnie” wg Żeromskiego), z Torunia („Hamlet” Szekspira i ponownie „Niespokojna starość” Rachmanowa) i Szczecina („Wesele” Wyspiańskiego).

Omówienie przebiegu festiwalu wraz z oceną spektakli zamieścimy w sierpniowym numerze „Liter”. Tu informujemy jedynie, że rozeszły się już pogłoski o likwidacji festiwalu toruńskiego, począwszy od roku przyszłego: 12-letnia tradycja — to za wiele, jak na improwizatorski charakter naszej kultury. Toruń jest podobno zmęczony coroczną fetą, a bydgoskie PWRN zaoferowało Gdańskowi i Szczecinowi przejęcie pałaczkę „festiwalu rotacyjnego”, z zmienną siedzibą na przemian w Toruniu, Gdańsku i Szczecinie. Czy i na ile pogłoski te odpowiadają prawdzie — napiszemy za miesiąc. (m.m.)

TEATR PEIPERA

działa w Toruniu. Tworzą go: Janusz Kryszak jako inicjator przedsięwzięcia, jednocześnie adaptator tekstu, Lech Gwit — aktor, Stanisław Laskowski — scenograf, Jerzy Streich — światło. Ten właśnie zespół zaprezentował „Kronikę dnia”. Program — ulotka przedstawienia zawiera wypowiedź Tadeusza Peipera. Zacytujmy jej końcowy fragment:

„Wiele rozumiem. I dlatego, choć znam śmiech przeciwko ludziom, znam też ból w ich obronie. Gdy dzisiaj idę za moimi poematami i myślę o krytykach, takim śmiechem śmieję się i takim bólem boleję.”

Teatr Peipera — jedyny chyba teatr nie tylko jednego aktora, ale i jednego autora — zasługuje niewątpliwie na uwagę (i opiekę). Tym bardziej, że pomysłowi twórcy ciekawą realizacją sceniczną.

Obecnie Teatr Peipera przygotowuje opublikowany w 1925 roku utwór sceniczny poety pt. „Szóstka! Szóstka!” (EHM)

WOJEWÓDZCY DZIAŁACZE KULTURY

Tegoroczny Dzień Działacza Kultury obchodzony uroczystość w salach nowego Miejskiego Domu Kultury w Rumi. Oprócz czołowych działaczy kulturalno-oświatowych naszego województwa, zjechali tutaj 11 maja br. również przedstawiciele władz wojewódzkich i powiatowych. Honory gospodarza sprawował przewodniczący Prezydium MRN, Jerzy Kijak, który powitał gości i omówił powojenny rozwój i awans Rumi.

Przewodniczący Prezydium PRN w Wejherowie, Wojciech Elke udekorował pięciu wyróżnionych przez Radę Państwa działaczy krzyżami zasługi. Następnie kierownik Wydziału Kultury Prezydium WRN, Mieczysław Preis wręczył 26 osobom odznaki „Zasłużonego Działacza Kultury” a 12 oso-

bom nagrody ministra kultury i sztuki. 41 osób otrzymało nagrody Wydziału Kultury Prezydium WRN.

W części artystycznej wystąpiła aktorka Teatru „Wybrzeże” Halina Słojewska w świetnym monodramie opartym na fragmentach powieści Romain Gary „Korzenie nieba”, Faulknera „Przypowieści” i amerykańskich protestsongach. Uroczystość zakończyła się towarzyskim spotkaniem działaczy przy lampce wina w sali widowiskowej rumiańskiego MDK.

Przy sposobności uwaga: tuż obok MDK stoi rozpadający się zjazd specejący otoczenie tego ekspozowanego miejsca. Wypadałoby ów zaizolowany budynek co rychlej rozebrać. L.M.

ZAPOMNIANY RYTOWNIK

Jan Fryderyk Mylius, rytownik-portrecista i wykonawca ekslibrisów, rozwijał działalność w pierwszej połowie XVIII w. w Gdańsku. Później przeniósł się do Warszawy, gdzie uzyskał tytuł szycharza królewskiego. Być może w latach 1741–1743 przebywał we Francji. Szczegółów biograficznych brak. Pochodził z Gdańska, gdzie zapewne uczył się rytownictwa i gdzie zaczął szychować, najpierw miernie, potem tak się wydoskonalił, że zaczął zaliczać się do lepszych artystów-miedziorytników. Dr T. Przypkowski odrzuca tezę o jego pochodzeniu z Gdańska. Dowodzi, że zarówno sztuka jak i nazwisko wywodzą się z Holandii.

lipa Brejne „Dissert. de Polythalamis...” (Gedani 1732) oraz Jakuba Brejne znakomita praca „Prodromus, fasciculi rariorum plantarum...” ze wspaniałymi rycinami (miedziorytami) roślin egzotycznych (Gedani 1739).

W Warszawie, w latach 1730–1749, powstaje szereg doskonałych szychów Mylius, posługującego się techniką miedziorytniczą. Są to portrety polskich osobistość, wykonane przeważnie według Szymona Czechowicza, Ludwika de Silverestre, Adama de Manyki. Oto najważniejsze z nich: Zaluskich, Sapiechów, Michała Czartoryskiego bp S. Dembowskiego, Kazimierza Poniatowskiego, A.S. Grabowskiego, J.A. Lipskiego, J. Mniszczaka, Piotra Skargi, poczmistrza generalnego poczt polskich G.H. Holtzbrincka. Prócz tego rytownik wykonał szereg szychów motywowych oraz 10 ekslibrisów: dla Zaluskich, Sapiechów, Mikołaja Dembowskiego, Fr. Bielińskiego, hetmana St. Jabłonowskiego i dla Biblioteki Zaluskich w Warszawie. Jako twórca ekslibrisów wykazał się J.F. Mylius dużą biegłością techniczną, zrównoważoną kompozycją i pewną głębią, przestrzegającą szczególnie w ostatnich pracach. Po 1750 r. wiadomości o Myliusie urywają się.

Przedstawiamy portret generalnego poczmistrza Jerzego Hermana Holtzbrincka (1664–1743), autora pierwszej ordynacji pocztowej. Był on najwyższym zwierzchnikiem Poczty Polskiej, w Koronie, na Litwie, w Prusach Królewskich i w Gdańsku. Jest to jeden z najlepszych miedziorytów wykonany w 1743 r. przez J.F.



Pierwszym znanym szychem gdańskim Mylius — jak informuje autora Zofia Jakrzeska-Sniezko, kustosz gabinetu rycin Biblioteki PAN w Gdańsku — jest obrazek symboliczny przedstawiający dzieci bawiące się szkieletem ludzkim, sygnowany „J. F. Mylius fec. Dantisc”. a także ilustracje do dzieł przyrodniczych Jakuba Teodora Kleina, wybitnego gdańskiego lekarza i botanika — „Au Tithimaloides” (Gedani 1730), Jana Fi-

Mylius. Szych przedstawia popiersie w trzech czwartych. Poniżej tarczy 4-palowa herbowa z drugą tarczą pośrodku. Na lewo księga oprawna — ordynacja pocztowa i na niej pieczęć z napisem w otoku: Generalis praefectura postorum regni Poloniae, na prawo trąbka na karcie pocztowej i księgi. Na ozdobnej podstawie napis łaciński.

ALEKSANDER SNEZKO

OPIEKUN MOJEJ ŻONY W GDYNI

Przed laty (1862–1921) żył i działał Georges Feydeau. W młodości napisał zabawną farsę „L'affaire Edouard”, nieco później zaś stworzył głośną „Damę od Maxima”, dalej „Opiekuj się Amelią” i inne znane szlagiery teatru bulwarowego. Po jakimś czasie zmarł, a że nie osiągnął wielkości Fiersa i Caillaveta (choć przecież został klasykiem gatunku i wszedł do historii literatury i teatru), przeto wydany został dziś na łup różnym panom z branży rozrywkowej, którzy skłonni są — za małą opłatą — podnosić nieszczęsnego Feydeau do rangi wyz. wzmiankowanych mistrzów farsy. Należy do nich Jerzy Walden, autor (?!), „Opiekuna mojej żony”, farsy przerobionej z młodzieżowej sztuki Feydeau. Motywem przeróbki stało się głębokie przeświadczenie Waldena, że Feydeau oryginalny jest do niczego, że „wiele chwytów jest nieporadnych, wiele się zestarzało”. Trzeba tu powiedzieć, że chwyt Waldena nie są nieporadne, czy jednak zaprowadzą „przerabiacza” aż na karty historii literatury? „Opiekun mojej żony” nie jest ani lepszy, ani dowcipniejszy, ani bardziej współczesny od pełnej wdzięku „L'affaire Edouard”.

Inna sprawa, że Wanda Wąblewska potrafiła sporządzić z waldenowskiego libretta zgrabne przedstawienie, że podobały się niektóre piosenki Piotra Hertla do słów Mirosława Łebkowskiego, że Wiesław Suchoples doskonale poprowadził spektakl muzyczny. Mniej podobały się dekoracje Barbary Jankowskiej, a już zupełnie nieznośna wydała nam się korekta programu: pani Remfeld jako aktorka nosi imię Elwira, a jako „współchoreograf” Emilia, zaś p. Andrzejczyk w roli doktora Lambert zamienił się w Bolesława Nadrzejczyka.

Dla sprawozdawcy teatralnego „Liter” tzw. aktorskie premiery w Teatrze Muzycznym w Gdyni — to przede wszystkim radość ze spotkania z Józefem Korzeniowskim, tym

razem świetnym, bawiącym do ruz merem miasta varontaine, panem Charencon. Obok Korzeniowskiego dobrze wyczuł styl farsy Elwira Remfeld w roli żony mera, Jan Wodzyński w roli brata komisarsza policji oraz Marian Kożek — uroczy Ezechiel, lokaj mera. (m.m.)

PROF. DR WITOLD ŁUKASZEWICZ

Uczelnia rostocka gościła w maju br. posła na Sejm PRL rektora UMK w Toruniu prof. dra W. Łukaszewicza, któremu nadano zaszczytny tytuł doktora h.c. Naukowiec toruński wygłosił w Rostoku odczyt „Lenin w Polsce”, zapoznał swych kolegów z NRD ze stanem przygotowań do obchodów rocznicy kopernikańskiej.

(sp)

„PRZETARG 70”

Uczelniany Parlament ZSP Politechniki Gdańskiej organizował Ogólnopolski Przegląd Dorobku Kulturalnego Uczelni Technicznych w 1970 r. Impreza była zorganizowana po raz pierwszy i miała na celu dokonanie bilansu dotychczasowych osiągnięć kulturalnych tych środowisk akademickich, które nie mają wykształcenia humanistycznego. Obok festiwalu plastycznego, literackiego, teatralnego, fotograficznego, tanecznego, zorganizowano seminarium poświęcone problemom humanizacji uczelni technicznych. (abf)

JUDYM Z BĘDOMINA

Tegoroczny Kongres Siłaczek i Judymów zgromadził w Gdańsku tych najbardziej zafascynowanych działalnością społeczną. W gronie Judymów znalazł się również kierownik szkoły podstawowej w Bedominie Edmund Zieliński (pow. Kościerzyna), który jest jednocześnie opiekunem Muzeum Józefa Wybickiego, mieszczącego się w tamtejszej szkole.

Na zdjęciu: Andrzej Cybulski wręcza Judymowi z Bedomina nagrodę. (s.p.)

FOT. LORETTA MACZOLEK



RZEŻBA ELŻBIETY SZCZODROWSKIEJ

W pawilonach sopockiego BWA eksponowana w maju dość duży zestaw rzeźb Elżbiety Szczodrowskiej, poświęcony tematowi wojny i okupacji, od dawna interesującego tę artystkę. Były to przeważnie płaskorzeźby, często barwione, przedstawiające „Transporty”, „Pojmanych”, „Uwięzionych”, „Ponizanych i dręczonych więźniów. Materiałem, w którym Szczodrowska realizuje swe prace, jest cement — tworzony wyjątkowo dobrze dobrane do tematu i pozwalające na ukształtowanie rzeźb w niespokojnej, bardzo ekspresyjnej formie. Znaczna liczba wystawionych prac, zgromadzona wspólnie w ramach jednej ekspozycji, robi na zwiedzających duże wrażenie, głównie dzięki wyjątkowo rzadko spotykanej jednolitości tak tematyki, jak stylu i formy wypowiedzi. Za szczególnie trafne należy uznać zlokalizowanie tej wystawy w czasie, zbiegające się z obchodami 25-lecia zwycięstwa nad faszyzmem. Rzeźby Elżbiety Szczodrowskiej przypominają czasy i wypadki, o których nigdy zapomnieć nie wolno — nieludzkie, antyhumanistyczne i zbrodnicze zjawisko faszyzmu, czasy pogardy i uciśku, grożące całemu naszemu narodowi zagładą biologiczną. (mk)

TRIUMF WYOBRAŹNI

W Sieni Gdańskiej zaprezentowała nam swe prace malarskie Jadwiga Budzisz-Buynowska, emerytowana nauczycielka z Kwidzyna. Są to prace amatorskie, i pod względem techniki artystycznej można by im postawić sporo zarzutów. Sprawy te jednak zdecydowanie ustępują na dalszy plan w chwili, gdy bezpośrednio obcujemy z tym wyjątkowo rzadko spotykanym zjawiskiem, jakim jest szczera, bardzo intymna, nie sugerująca się żadną modą czy stylem osobista wypowiedź. Prace Buynowskiej to wyłączenie twarde ludzkie, twory jej wyobraźni, marzeń, myśli, różnych nastrojów. Namalowane bezpretensjonalnie, będące po prostu notatkami, wykonanymi przy pomocy pędzla, wyjątkowo czytelnie przekazują widzowi nastroje i uczucia swej wykonawczyni poprzez dużą dozę zawartej w nich ekspresji, nie podkreślanej zresztą żadnymi sztuczkami technicznymi. Wystawa była swego rodzaju triumfem talentu i wyobraźni nad często spotykanymi na wystawach wymysłami i sztucznymi fajerwerkami biegiłości formalnej, pozbawionymi zupełnie treści, wypranymi z najmniejszej choćby dozy uczucia czy odrobiny indywidualności autora. (mk)

1000 ŚLUB

Ratusz przy ul. Korzennej pełni dwójki rodzaju funkcje: służy Wojewódzkiemu Domowi Kultury oraz jest wykorzystywany jako pałac ślubów. Antyczna, starożytna oprawa Ratusza widocznie działa na wyobraźnię młodych, skoro z każdym rokiem rośnie liczba nowożeńców pragnących stać na ślubnym kobiercu w sali mieszczącej Starego Ratusza. Oto już w początkach maja odbył się w USC przy Korzennej tysięczny ślub w bieżącym roku. W księdze ślubów pod liczbą 1000 figurują nazwiska Danuty (z domu Sobota) i Stanisława Morawskich.

N.z.: Szczęśliwi nowożeńcy w otoczeniu najbliższych. (p)

CHÓR FILHARMONII

W lutym br. opublikowaliśmy recenzję z wykonania „Requiem” Mozarta, z krytyczną uwagą o uczestnictwie chóru filharmonicznego, opartej na opinii kierownictwa artystycznego POiFB. W odpowiedzi otrzymaliśmy list, którego odpisy skierowano do KW PZPR i Wydziału Kultury PWRN. Oto istotne fragmenty listu:

„...Jesteśmy zdziwieni, że ciesząc się ogólnie dobrą opinią czasopisma kulturalne Wybrzeża umieściło recenzję niesprawiedliwie krzywdzącą amatorski zespół śpiewaczy Wybrzeża.

Zarząd Chóru niejednokrotnie w ciągu trzynastoletniego okresu pracy zespołu usiłował nawiązać kontakt z Redakcją Miesięcznika, lecz bezskutecznie. Do spotkania nie dochodziło z winy Redakcji, której wobec tego pozwalamy sobie przekazać następujące dane dotyczące naszego zespołu.

Chór Filharmoniczny został założony w 1957 r. przez ówczesnego dyrektora POiFB, dr. Latoszewskiego, zrzeszając 130 osób. W chwili obecnej jest to jedyny w Polsce chór filharmoniczny amatorski (członkowie zespołu nie otrzymują za pracę żadnego wynagrodzenia). W okresie od 1957 r. zespół przygotował 29 dzieł symfonicznych zaprogramowanych przez POiFB, dając około 86 koncertów filharmonicznych. Równocześnie członkowie zespołu brali i biorą udział w 7-miu pozycjach operowych, takich jak „Orfeusz i Eurydyka”, „Halka”, „Aida”, „Baron Cygański”, „Don Carlos”, „Turandot”. Poza pracą na terenie opery i filharmonii zespół prowadził działalność środowiskową, dając koncerty w szkołach (na otwarcie szkół tysiąclecia w Nowej Karczmie, w szkole im. Markiejkowej w Gdańsku-Oliwie i innych), w domach kultury, w zakładach pracy wykonując program własny a capella.

W dniu 19 listopada 1967 roku odbył się koncert X-lecia zespołu związany z ob-

chodami 50-lecia Wielkiej Rewolucji Październikowej. O koncercie tym zawiadomiono Redakcję przesyłając równocześnie zaproszenie na adres Miesięcznika. Redakcja nie skorzystała z zaproszenia na koncert, jak również z zaproszenia na poprzedzającą koncert konferencję prasową zorganizowaną przez dyrektora POiFB tow. T. Rybowskię.

We wspomnianym numerze „Liter” z lutego br., recenzja sugeruje, że zespół nie posiada własnego programu i daje odczuć niechęć recenzenta do zespołu. Przed opublikowaniem opinii o pracy Chóru proponujemy zasięgnąć informacji np. u tak kompetentnych przedstawicieli życia muzycznego, jak PWSM w Gdańsku, gdzie zespół nasz, poza programem przygotowanym dla POiFB w roku 1969, dał dwa koncerty. W koncertach dyrygowało 6-ciu dyplomatów uczelni, co świadczy o dużej elastyczności chóru, dostosowującego się w miarę potrzeby w krótkim czasie do zmiany dyrygentury.

Poza koncertami w PWSM w okresie roku 1969, przygotowaliśmy się do wzięcia udziału w wystawieniu opery „Trubadur”, rapsoдії góralskiej „Wierchy” Malawskiego, wystawionej na akademii 25-lecia PRL. Należy podkreślić, że w tym okresie zespół poza codziennymi próbami (przypominamy, że jest to zespół amatorski), brał udział w przedstawieniach operowych.

Dalszą uwagą recenzenta o niepełnym komplecie zespołu na próbach grudniowego koncertu symfonicznego tłumaczyć tym, że okres II półrocza, a szczególnie IV kwartału 1969 r. charakteryzował się nasileniem prac związanych z opracowywaniem pięcioletniego planu gospodarczego oraz pełnej mobilizacji sił do wykonania planu 1969 r. W związku z powyższym na próby, które odbywały się prawie codziennie, członkowie chóru przychodzili na zmianę, łącząc obowiązki służbowe z pracą społeczną.

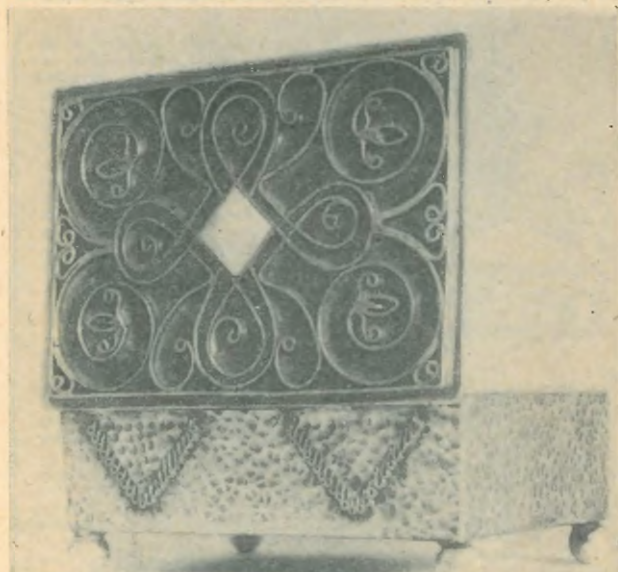
Wypisywanie błędnych opinii o pracy zespołu nie zachęca do dalszej pracy społecznej, a raczej zniechęca. Po Miesięczniku Kulturalnym Wybrzeża spodziewaliśmy się pomocy, a nie utrudnienia pracy. Jak silne jest umiłowanie pieśni niech świadczy fakt, że niektórzy chórzyści, prosto po pracy, bez obiadu i odpoczynku przychodzą na próby i po wielu godzinach nieraz ciężkiej pracy zawodowej poświęcają czas pracy społecznej.

Przykładem może być chórzystka mieszkająca w Borowie pow. Kartuszy, wyjeżdżająca z domu do pracy o godz. 6, a wracająca po próbie czy koncercie o godz. 23.

Kontynuowany przez nas amatorski ruch śpiewaczy ma za sobą historię dawnych zespołów, które kultywując polską pieśń, przeciwstawiały się germanizacji. Biorąc powyższe pod uwagę, oraz 13-letnie zasługi zespołu na terenie Wybrzeża, należałoby służyć pomocą, czy dobrą radą, zamiast nieuzasadnionego spowodować moment załamania opublikowaną recenzją.

Domagamy się wyjaśnienia i sprostowania opublikowanej recenzji, pociągnięcia do odpowiedzialności służbowej winnych zaistnienia faktu podania obraźliwych opinii na temat zespołu ludzi, którzy od wielu lat bezinteresownie pracują dla środowiska Wybrzeża. (następują: pieczęć okrągłą, dwa nieczytelne podpisy)

OD REDAKCJI: Merytoryczny związek z recenzją „Liter” posiada jedynie akapit piąty od końca, zaczynający się od słów: „Dalszą uwagę...”; istotnie — nie uwzględnił nasilenia prac nad opracowywaniem założonego planu 5-letniego. W przyszłości powróćmy do tematyki życia chóralnego w Trójmieście. ■



FOT. WŁODZIMIERZ NIEZYWIŃSKI

BARWY SZTUKI LUDOWEJ I RZEMIOSŁA ARTYSTYCZNEGO

W dniach od 4 do 10 maja br. czynna była w gdańskim Dworze Artusa duża wystawa sztuki ludowej i rzemiosła artystycznego Polski Północnej zorganizowana przez sopockie Spółdzielcze Zrzeszenie Chatupników i Wytwórców Rękodziela Ludowego i Artystycznego „Art-Region”. Wyświetlone Zrzeszenie obejmuje swoją działalnością wielki obszar pięciu województw: gdańskiego, olsztyńskiego, bydgoskiego, koszalińskiego i szczecińskiego, zrzeszając ogółem 2 600 członków. Wartość

ciąg form dominują fantastyczne barwy zestawione w najrozmaitszych odcieniach. Polyskływały złotawożółtym kolorem duże płachty mazurskich mat słomianych. Cieszyły oko malowane ptaki cięte w drewnie (Białaczka z Fromborka, Zwołakiewicz z Kościerzny, Geldon z Czarnej Wody); dalej zaś wielobarwne lub utrzymane w odcieniach złota i żółciowawej bieli hafty (kaszubskie, pyrzyckie, pałuckie, powiślańskie, kujawskie).

Wśród obficie reprezentowanej i atrakcyjnej rzeźby ludowej, trafiły się okazy polichromowe. Również w dziale rękodziela artystycznego można było odczuć piękno świata barw. Trybowane wyroby metaloplastyczne zachwyciły brązowymi i srebrnymi odblaskami, a kute żelazo srebrystą czernią.

Ogromna skala wielobarwności była chyba głównym magnesem przyciągającym rzeszę zwiedzających na tę interesującą i pożyteczną wystawę.

Dużą atrakcją w dniu otwarcia wystawy stanowiły pokazy twórczości ludowej: kunsztowne tworzenie ceramiki, tkanie na krosnach i malowanie pisanek. Miłym urozmaicheniem był także występ folklorystycznego zespołu z Pałuk.

Longin Malicki

SZTUKI POLSKIE

Teatr „Wybrzeże” uczestniczył w maju w XI Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu, prezentując spektakl „Morze dalekie — morze bliskie” wg scenariusza Stanisława Hebanowskiego (por. recenzję Ewy Nawrockiej — wewnątrz numeru). Występ teatru gdańskiego został bardzo dobrze przyjęty przez publiczność, natomiast reakcja krytyki była bardziej zróżnicowana. Wyczuwano się swoistą „odległość” morską tematu, zaskoczenie formą. Pozytywną recenzję zamieściło „Słowo polskie” („Coś z Conradem”), negatywną „Wieczór Wrocławia” („Materiał na słuchowisko radiowe”), umiarkowaną „Gazeta Robotnicza”. W XI Festiwalu uczestniczyły teatry z Wrocławia (2), Warszawy (2), Krakowa, Gdańska, Poznania, Lublina, Katowic i Bielska, prezentując „klasykę współczesną” (Kruczkowski, Brodziewicz, Lutowski), sztuki nowe („Rodeo” Scibor-Rylskiego, „Pacjent” Otiwinowskiego, „Stara kobieta wysiaduje” i „Akt przerywany” Różewicza, „Rzecz listopado-

wa” Brylla) oraz adaptacje („Wrzesień” wg Putramenta i widowisko morskie z Gdańska). Również we Wrocławiu rozszły się pogłoski o przekształceniu dorocznego festiwalu w biennale; motywem ma być niedostateczny napływ nowych, dobrych sztuk współczesnych polskich autorów.

Podczas festiwalu otwarta została wystawa, obrazująca 25-lecie teatru na ziemiach odzyskanych (proj. plastyczny Lech Zahorski, scenariusz Michał Misiorny, komisarz Miechysław Marszycki), na której mocno eksponowane zostało 25-lecie teatralne Wybrzeża („Bim-Bom”, balet Jarzyńówny, teatr „Miniatura”, teatr TV oraz, przede wszystkim, wybitne inscenizacje Iwo Galla, Lidii Zamkow, Zygmunta Hübnera, Jerzego Golińskiego, Tadeusza Minca i Marka Okpińskiego). Odbyła się również sesja krytyki teatralnej z referatami Jerzego Adamskiego, Jana P. Gawlika, Janiny Hera, Zbigniewa Kopalki, Stanisława Kuszewskiego, Michała Misiornego i Zbigniewa Osińskiego. Przedstawieniem festiwalowym przyglądała się i uczestniczyła w pracach sesji 9-osobowa grupa artystów z ZSRR — aktorów i reżyserów — laureatów zeszłorocznego wszechzwiązkowego festiwalu sztuk polskich. (m.m.)

KASZUBI W KANADZIE

Jak informuje poznański „Przegląd Zachodni” (1969, nr 6), jesienią 1969 r. przebywał w Kanadzie kierownik Zakładu Socjologii Instytutu Zachodniego, doc. dr Zygmunt Dulczewski. Odwiedził on liczne ośrodki polonijne i nawiązał kontakty z zakładami naukowymi prowadzącymi badania nad problematyką migracyjną. „Na życzenie grupy działaczy polonijnych — informuje „Przegląd Zachodni” — doc. dr Dulczewski przeprowadził rekonesans socjologiczny w miejscowości Barry's Bay, Ont., zamieszkałej przez mówiących po kaszubsku byłych polskich emigrantów, osiedlonych w Kanadzie od przeszło stu lat. Rekonesans miał za zadanie zorientowanie się co do możliwości i celowości zorganizowania w tym terenie systematycznych badań socjologicznych.”

Jesteśmy ciekawi, czy takie badania zostaną podjęte przez polskich uczonych? (b)

LAUREACI

Konkurs literacki „Ossolineum”, ZLP i wrocławskiej Rady Narodowej na powieść i reportaż, ogłoszony z okazji 25-lecia wyzwolenia Ziemi Zachodnich i Północnych, został rozstrzygnięty. W dziale powieści przyznano 4 równorzędne nagrody po 15 tys. złotych oraz 6 wyróżnień po 5 tys. złotych. Jedno z wyróżnień przyznano Janowi Tetterowi z Gdańska za powieść „Wypogadza się koło południa”.

Laureatem tegorocznego Toruńskiego Maja Poetyckiego został Mieczysław Zychowski (II nagroda) za zestaw wierszy. (m.m.)

KANDELABR 1970

Nagrodę poetycką w corocznym konkursie poetyckim zorganizowanym przez ZSP przy WSE w Sopocie o „Kandelabr” (fundator — Stanisław Skura) zdobył Kazimierz Nowosielski (I i III nagroda) — student IV roku filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. (abf)

OBRZĘDOWOŚĆ LUDOWA POMORZA WSCHODNIEGO

Z początkiem maja br. odbył się w ramach tzw. spotkań autorskich organizowanych wspólnie przez Muzeum Etnograficzne i Oddział Gdański Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w oliwskim Pałacu Opatów odczyt kustosa dra Longina Malickiego na temat obrzędowości ludowej Pomorza Wschodniego.

Autor przedstawił słuchaczom w cyklicznej kolejności najciekawsze momenty roku obrzędowego, do których zaliczają się okresy godowy (noworoczny), wiosenny, sobótkowy (letni) i żniwny. Dla uplastycznienia swoich wypowiedzi, de-

monstrował prelegent odpowiednio dobrany zestaw rekwizytów w postaci masek, maszkar, kukiełek szopkowych, obrzędowych instrumentów muzycznych oraz barwnych obrazów ilustrujących niektóre zwyczaje. Mówca zwrócił szczególną uwagę na widowiskowe i plastyczne wartości obrzędowości ludowej, nadające się wybornie do pielęgnowania w naszym współczesnym życiu kulturalnym.

Wartości te mogą być wykorzystane zarówno w formie tradycyjnej jak również w adaptacji scenicznej w różnego rodzaju uroczystościach, obchodach, zabawach itp. Ich ścisłe powiązanie z muzyką, tańcem i strojami przyczynia się w pełni do uatrakcyjnienia i ubarwienia wszelkich widowisk.

Junosza



FOT. RYSZARD PETRAJTIS

PORANEK FOLKLORYSTYCZNY ZESPOŁU „KASZUBIA”

W dniu 10 maja odbył się w Muzeum Etnograficznym w Oliwie (Pałac Opatów) poranek folklorystyczny, na którym wystąpił wiejski zespół amatorski „Kaszubia” z Kielna w pow. wejherowskim. Ów zespół wokalo-muzyczny (z akordeonem i gitarą), liczący 12 osób posiada stare tradycje. Działa bowiem nieprzerwanie od 1909 roku, czyli już przeszło 60 lat. Kierownikiem zespołu jest muzyk Korneliusz Treder, który objął dyrygenturę po swoim ojcu Józefie. W skład zespołu wchodzi także żona i syn Tredera.

Jako zespół folkloryzujący „Kaszubia” pielęgnuje zarówno tradycyjne pieśni ludowe jak też utwory kompozytorów kaszubskich albo własne, skomponowane przez K. Tre-

dera. „Kaszubia” jest zespołem wielce zasłużonym, który działał w ukryciu nawet podczas okupacji niemieckiej kultuwając pieśń ojczystą. Za swą działalność i artystyczne osiągnięcia odznaczony został odznaką honorową II stopnia Zjednoczonych Polskich Zespołów Śpiewających i Instrumentalnych.

Ten dobrze szarmonizowany zespół przyodziany w barwne stroje kaszubskie zaprezentował na poranku zestaw pieśni Fr. Sędzickiego, J. Trepczyka, K. Tredera i wybór melodii kaszubskich, które zyskały sobie poklask audytoryum. Wśród słuchaczy obecna była m.in. duża grupa starszych uczniów Średniej Szkoły Muzycznej z Wrzeszcza pod opieką mgr Dziędzicowej. Do zorganizowania występu przyczynił się Oddział Gdański Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego oraz Powiatowy Dom Kultury w Wejherowie, który przetransportował śpiewaków z Kielna do Oliwy.

L.M.



wytworów wyprodukowanych i zakupionych przez to Zrzeszenie w ub. r. wynosiła niebagatelną sumę 64 mln zł.

Ekspozycja dzieliła się na dwie części: sztukę ludową i rzemiosło artystyczne. Oba działy zawierały zarówno wytwory oryginalne (unikalne) jak też prace inspirowane wzornictwem ludowym albo sztuką historyczną. Odnosiło się wrażenie, że nad różnorodność



GRAFIKA WIESŁAWA TUMIELEWICZA

W siedzibie GTPS wystawiał w maju swe prace graficzne Czesław Tumielewicz, młody plastyk, będący wychowankiem gdańskiej PWSSP. Zaprezentowany przez niego publiczności zestaw 18 barwnych linorytów wyróżniał się jednolitością wizji artystycznej i zastosowanej formy plastycznej wypowiedzi. Szereg prac Tumielewicza zaskakiwał niecodzienną i trudną do rozwiązania pod względem kompozycyjnym formą kolistą. W grafice Tumielewicza mimo zastosowania efektów barwnych główną rolę gra mocna, zdecydowana kreska. Częstym efektem – przejętym być może z arsenału środków wypowiedzi stylu op-art, jest stosowanie dużej liczby linii równoległych, nieraz falistych, czasami tworzących drgającą w oczach kratę czy siatkę, co w wielu wypadkach stwarza złudzenie ruchu, obrotu, niepokoju. Tematyka prac Tumielewicza to postaci ludzkie i zwierzęce, które choć mocno zdeformowane i odkształcone, dają się jednak rozpoznać, wskazując na czerpanie inspiracji ze świata realnego. Największą jednak rolę grają zgeometryzowane, niespokojne w kształcie formy abstrakcyjne, tworzące tło, z którego z dużą ekspresją wyłaniają się intrygująco ruchliwe sylwetki. (mk)

M/S „MIKOŁAJ KOPERNIK”

Podczas niedawnego pobytu ministra żeglugi mgra inż. J. Szopy w Toruniu omawiano m.in. sprawy związane z nadaniem jednemu z nowo budujących się statków PMH nazwy „Mikołaj Kopernik”. Najprawdopodobniej ów statek podniesie banderę w 1973 r.

czyli w rocznicę urodzin genialnego polskiego astronoma. Patronat – jak wynika z enuncjacji rektora UMK, prof. dra W. Łukaszewicza – nad tym nowym kolosem morskim objąłby Uniwersytet Mikołaja Kopernika i jego młodzież akademicka. (sp)

„SZKOŁA” F. MAJKOWSKIEJ

Powiatowy Dom Kultury w Wejherowie wspólnie z oddziałem GTPS zorganizował wystawę haftów kaszubskich wykonanych przez zespół hafciarek pod kierownictwem Elżbiety Ebel. Różnorodne hafty będące dziełem członkiní zespołu (A. Dibowska, J. Czepulnis, A. Guzowska, G. Podwojska, M. Rak, M. Wąglar, M. Suchomska) urzekły drobiazgową poetyką, koronkowością wykonania. Niektóre hafty wyraźnie nawiązywały do tzw. „szkoły” Franciszki Majkowskiej. (sp)

WYSTAWA SZEŚCIU

Owocem zacieśnianych się kontaktów między plastycznymi środowiskami Trójmiasta i stolicy, oraz coraz lepszej współpracy GTPS-u z nowymi władzami okręgowymi ZPAP była eksponowana w maju w sali Dworu Artusa wystawa prac sześciorga malarzy warszawskich. Były to przeważnie prace abstrakcyjne, w mniejszym lub większym stopniu opierające się jednak na rzeczywistości u trzech spośród wystawiających: Andrzeja Możejki, którego prace były naciękawsze, Radwana Pkowskiego, twórcy wielkiego malowidła na płótnie, stanowiącym tło dla całości ekspozycji, oraz – mniej interesującego w wybrany przez siebie styl – Leszka Okołów. Nieco inne w stylu, łączące

swobodnie elementy bardziej realistyczne z całkowicie abstrakcyjnymi, wskazujące na dużą fantazję, było malarstwo Barbary Szubińskiej-Rutkowskiej. Zupełnie nie starają się wywoływać skojarzeń przedmiotowych Juliusz Narzyński i Tadeusz Bochen. Podczas jednak, gdy abstrakcje Bochena są spokojne, wyważone, dążące do maksymalnej prostoty, Narzyński jest bardziej dynamiczny i gwałtowny, wzmaga i tak dużą ekspresję swych prac przez efekty fakturalne.

W sumie wystawa, reprezentując styl odrębny od uprawianego przez większość nazwanych twórców, interesująca. Walory jej wzbogaciła niekonwencjonalna, lecz w pełni udana ekspozycja. (mk)

O KASZUBACH W AUSTRII

W sali konferencyjnej hotelu Stiegelbräu w Salzburgu odbyło się w maju spotkanie członków Towarzystwa Austriacko-Polskiego, na którym Ferdynand Neureiter mówił o Kaszubach – ich historii, folklorze i literaturze. Wysłuchano z dużym zainteresowaniem tekstów kaszubskich i pieśni nagranych przez p. Neureitera podczas jego ostatniego pobytu w Polsce, w kwietniu bieżącego roku. Wieczór upłynął w miłej atmosferze. (b)

O „BATORYM” NA WĘGRZECH

Artysta-grafik i dziennikarz węgierski Vincze Lajos opublikował w budapesteskim czasopiśmie politycznym „Magyar Hirnap” obszerny reportaż z wizyty na statku „Batory”, zatytułowany „Egy oceanjáró metamorfózis”. W jednym z następnych numerów tego czasopisma, Vincze Lajos zamieścił wywiad ze Stanisławem Mikulskim pt. „Kloss – vagy Mikulski?”. (b)

SCENA WSPÓŁCZESNA

Z inicjatywy KW ZMS i przy współpracy Teatru „Wybrzeże” zainaugurowano w Gdańskim Klubie Kultury „Rudy Kot” działalność „Sceny Współczesnej”. Pierwszy spektakl, zarazem prapremiera, odbył się 1 czerwca br. Wybrano teksty reportażu Jerzego Lovella, które adaptował („Koncert na trzcinę i wiatr”) dla klubowej sceny reżyser spektaklu, Olgierd Sochacki. Wiceprezidentką KW ZMS, Wiktoria Kusińska, napisała w związku z premierą w programie przedstawienia: „Scena Współczesna – brzmi jak pierwsze zdanie deklaracji programowej. Istotnie, teatr nasz będzie sięgał po tematy współczesne, najaktualniejsze, będzie mówił o problemach światopoglądowych, o etyce, o kształtowaniu ludzkich postaw, rozumnie zaangażowanych”.

Sceną „Sceny Współczesnej” jest parkiet i estrada klubowa kawiarni, publiczność zasiada przy stolikach na parterze i na balkonie. Aktorzy zjawiają się wśród publiczności,



Jan K. – Elbląg

Pisanie wierszy „politycznych” jest bardzo trudnym przedsięwzięciem. I nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem. Ale tak samo jak dziennikarz, poeta powinien znać geografię, historię. (Pomylił Pan np. Sajgon z Hanoi). Oba wiersze nie nadają się do druku; rezygnujemy z dalszych przykładów.

Żuławiak – ?

Proszę podać swój adres i nazwisko – chcemy wykorzystać wiersz pt. „Marynarz”.

J.Z. – Tczew

Dyskreja zapewniona. Nikomu nie powiem, nikomu nie ujawnię nazwiska Autora wierszy pt. „Uduchowione”, „Do brzy?”, „Dziecko z ryżem”, tym bardziej, że wiersze są bardzo słabe.

Nina W. – Gdynia

Zgadzam się z Panią całkowicie. Wyobrażam sobie jak kiepskie muszą być te wiersze, które Pani nie odważyła się przesłać do „Liter”. Samokrytycyzm jest pierwszym stopniem do samowiedzy. A to się może przydać artystcie.

Krystyna P. – Kościerzyna

Z wierszy rzeczywiście wyłania się Pani drugie hobby – plastyka. „Granatowe uczucia”, „czerwony pachnący krwią blask”, „rozwikłana materia plastyczna”, „świecący cynober”, „ultramaryna ze złocistymi kulami jabłek”, „włos (który) ma smak pędzla malującego swój obraz ugiem”. Na razie to wszystko jest za ledwie nazwaniami; a może obrazy, które pewnie Pani maluje są bardziej kolorowe?

Maksymilian K. – Bydgoszcz
Rzeczywiście żądam Pan zbyt wiele. Odpowiadam w Pocztynionie: wiersze są słabe.

Bogumiła K. – Gdańsk

Na podstawie jednego wiersza trudno odpowiedzieć, czy

poczyniła Pani postępy w pisaniu wierszy. Nadesłany utwór pt. „Oddech” wyraźnie odcina się od poprzednio nadesłanych. Jest to nieudana próba spisania dość abstrakcyjnych myśli, stąd metafora niejasna i często ryzykowna. Ale nie jest to ryzyko wynikające z odważnego stosowania nowego obrazowania. Spotykamy tu raczej dość ogólne chwytliwy literackie znane w poezji młodopolskiej. Łączymy pozdrowienia.

Ryszard N. – Wawrzynowo,

pow. Kościerzyna
Zbyt wiele błędów, żeby je wszystkie omówić. Sądzę jednak, że warto Panu szczególnie powiedzieć o dotychczasowych wynikach na „niwie poetyckiej”. Są one bardzo mizerne. Tradycja poezji ludowej wskazuje na inspiracje czasem naiwne, czasem bardzo proste, ale często zdarza się tu dokonanie poetyckie prawdziwie wzruszające. Niech Pan się rozglądnie wokół siebie, niech Pan posłucha opowieści i pieśni starszych – może to Pana natchnie do autentycznej przygody poetyckiej?

Andrzej W. P. – Lublin, M. C. A. – Orlina Wielka, woj. poznańskie, Roman M.R. – Legionowo k/Warszawy, Marian G. – Kraków – Nie skorzystamy.

„Aleksandra” – Pruszc Gdański

Jak na studentkę wydziału humanistycznego plan wysiłku jest bardzo mierny. Skąd Pani bierze ten łatwy werbalizm? Otrzymujemy wiele wierszy od „amatorów” i trzeba przyznać, że widać w nich troskę o jak najszersze wyrażenie swoich uczuć. U Pani nie ma nawet spekulacji. Zresztą i spekulacjami do niczego się w sztuce nie dojdzie. A może już po wysłaniu wstydzi się Pani swoich natrętnych deklaracji?

Świętobój P. – Gdańsk

Lektura nadesłanych wierszy nastrocza wiele pytań. Są to jednak przeważnie pytania wynikające ze zbyt lekkiego traktowania przez Autora twórczości literackiej. Przytoczę tylko jeden fragment świadczący o tym. Z wiersza pt. „Refleksja”: „Nie troszczy się gród piastowy, / o życie swoich mieszkańców...” A kto zaopatruje ludność w wodę, gaz, światło, żywność itp.? Krasnoludki? Odpowiedzialność za słowo obowiązuje również obywatela grodu piastowskiego, nawet jeśli chodzi tylko o wiersze. (abf)

ci, mówią wprost do niej. Teksty reportażu Lovella, może nie najszybszeliwiej dobranych pod względem ich „skuteczności teatralnej”, przemówiły jednak do widowni; dyskusja po przedstawieniu trwała do późna w noc. Reżyserował inteligentnie Olgierd Sochacki, oprawę plastyczną dał Marek Durczewski. Wystąpili aktorzy Teatru „Wybrzeże” – Bronisław Wilczek, Henryk Sakowicz, Jerzy Łapiński, Joanna Bogacka, Jerzy Nowacki, Bar-

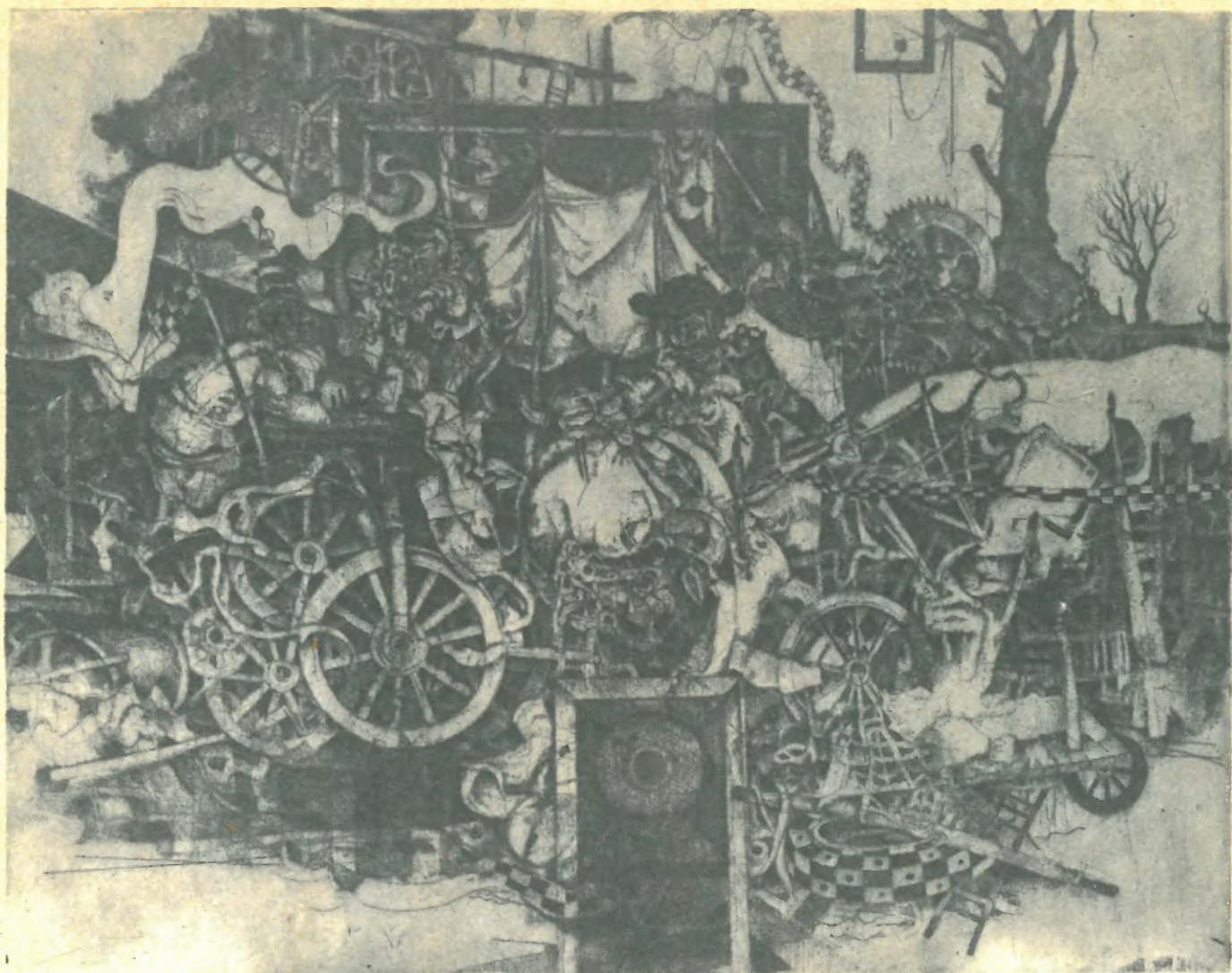
bara Patorska, Janusz Złamał i Florian Staniewski.

Spektakle „Sceny Współczesnej” mają się odbywać od tygodnia co poniedziałek – z przeznaczeniem dla ZMS-owskiej publiczności z zakładów pracy i instytucji Trójmiasta. W kilka dni po pierwszym przedstawieniu ukończyła się rada programowa „Sceny”, a opiekę dodatkowo objęły WKZZ, Wydział Kultury PWRN oraz – patronat – „Głos Wybrzeża”. (m.m.)



REDAGUJE ZESPÓŁ: EDGAR MILEWSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ BOLDUAN (zastępca red. naczelnego, sekretariat, dział nauki), BOLESŁAW FAC (poezja), STANISŁAW FLESZAROWA-MUSKAT (proza), MICHAŁ MISIŃSKI (dział krytyki), EWA MOSKALOWNA (publicysta), STANISŁAW PESTKA (dział społeczno-kulturalny), RYSZARD STRYJC (dział graficzny), TADEUSZ WOŹNIAK (publicysta). Korekta: BARBARA NOWICKA

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, telefon 31-18-25. Warunki prenumeraty: kwartalnie zł 15, półrocznie zł 30, rocznie zł 60. Zamówienia indywidualne przyjmują placówki pocztowe oraz listonosze do 10 każdego miesiąca na następny okres prenumeraty. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO nr 52-6-141 PUPIK „Ruch” w Gdańsku, ul. Tkacka 9/10. NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA. WYDAWCA: Gdańskie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa”. Druk Zakłady Graficzne w Gdańsku. Zam. 2211 – M-2

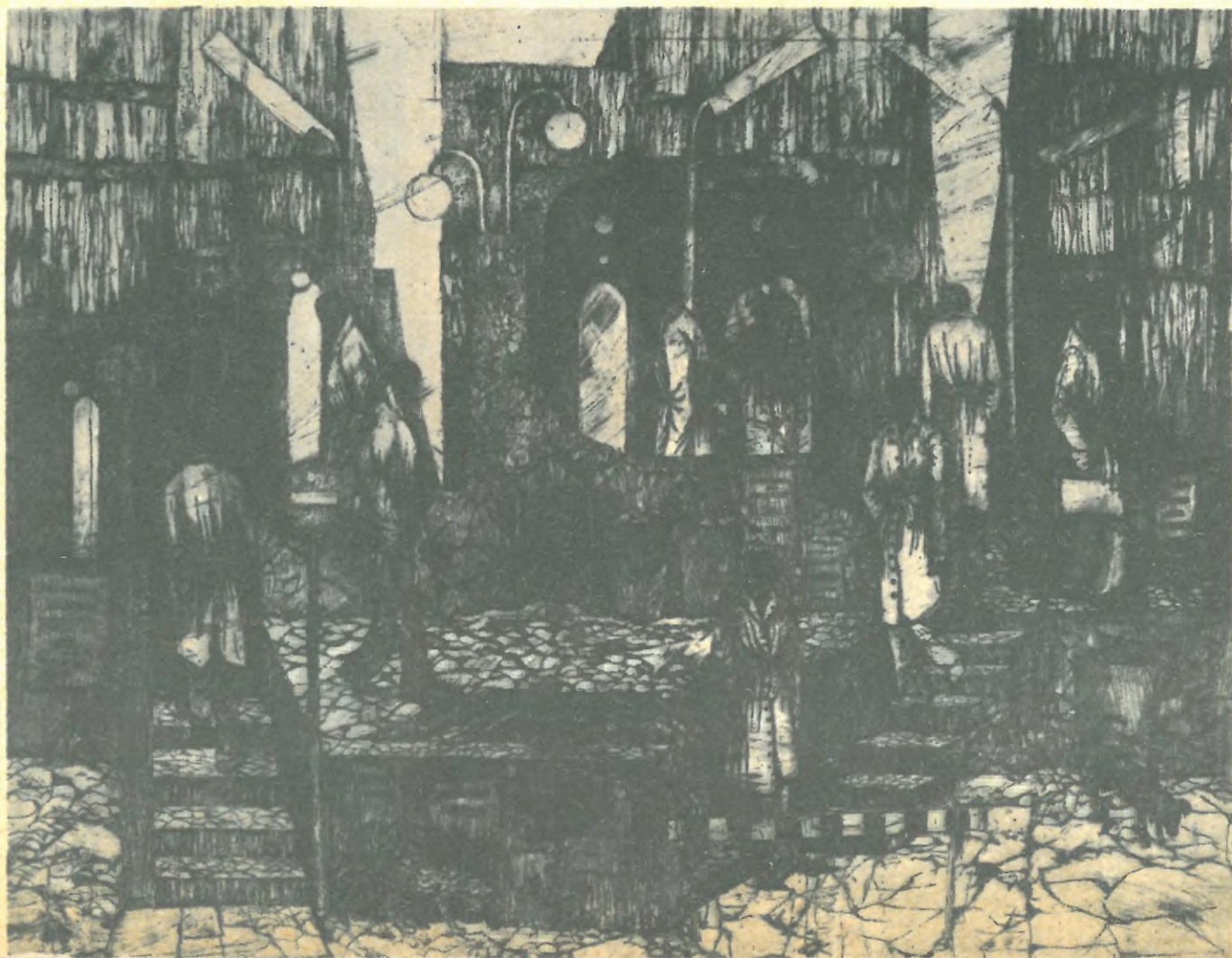


Piotr Zajecki

Corrida (akwaforta)

Łukasz Rogiński

Ulica (akwaforta)





Kazimierz Śramkiewicz

Motława (olej)